

ASTRID
LINDGREN

DZIECI
Z BULLERBYN

Nasza Księgarnia

Astrid Lindgren

Dzieci z Bullerbyn

Przełożyła
Irena Szuch-Wyszomirska

Wersja elektroniczna książki nie zawiera ilustracji
(oprócz tej jednej :-))

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

Dzieci z Bullerbyn

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Zajrzyj na strony

Część I DZIECI Z BULLERBYN

MY – DZIECI Z BULLERBYN

TRUDNO WYTRZYMAĆ Z BRAĆMI

MOJE NAJPRZYJEMNIEJSZE URODZINY

DALSZE PRZYJEMNOŚCI W DNIU URODZIN

LEKCJE SIĘ SKOŃCZYŁY!

PLEWIMY RZEPEŃ I DOSTAJEMY MAŁEGO KOTKA

W JAKI SPOSÓB OLLE DOSTAŁ PSA

PRZYJEMNIE JEST MIEĆ WŁASNE ZWIERZE, LECZ DZIADZIUSŃ TEŻ

JEST DOBRĄ RZECZĄ

CHŁOPCY NIE MOGĄ MIEĆ PRZED NAMI ŻADNYCH TAJEMNIC

ŚPIMY W STOGU

ANNA I JA UCIEKAMY Z DOMU

URZĄDZAMY SOBIE POKOIK DO ZABAWY

JEST TAK, JAK MÓWIŁAM – CHŁOPCY NIE MOGĄ MIEĆ PRZED

NAMI ŻADNYCH TAJEMNIC

ZNÓW IDZIEMY DO SZKOŁY

PRZEBIERAMY SIĘ

WIELKA ŚNIEŻYCA

WKRÓTCE JUŻ ŚWIĘTA!

Część II JEST JUŻ NAS SIEDMIORO W BULLERBYN

KTO MIESZKA W BULLERBYN

JAK OBCHODZIMY W BULLERBYN GWIAZDKĘ

JEŹDZIMY NA SANECZKACH

CZUWAMY DO PÓŁNOCY W NOC SYLWESTROWĄ

JEDZIEMY Z WIZYTĄ DO CIOCI JENNY

LASSE WPADA DO JEZIORA

IDZIEMY DO SZKOŁY I ŻARTUJEMY RAZEM Z PANIĄ

WIELKANOC W BULLERBYN
ANNA I JA ZAŁATWIAMY SPRAWUNKI
PATRZYMY NA WODNIKA
NOWA SIOSTRZYCZKA OLLEGO
GDY PADA DESZCZ
SZUKAMY SKARBU

ANNA I JA SPRAWIAMY LUDZIOM PRZYJEMNOŚĆ
DZIADZIUSZ KOŃCZY OSIEMDZIESIĄT LAT

Część III W BULLERBYN JEST ZAWSZE WESOŁO

W BULLERBYN JEST ZAWSZE WESOŁO

DOSTAŁAM JAGNIĄTKO

PONTUS IDZIE DO SZKOŁY

GDY WRACAMY ZE SZKOŁY

OLLEMU RUSZA SIĘ ZĄB

ANNA I JA SAME NIE WIEMY, CO ROBIMY

SKRZYŃKA MĘDRCÓW

LASSE POLUJE NA DZIKIE BAWOŁY

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA W BULLERBYN

„WIŚNIOWA SPÓŁDZIELNIA”

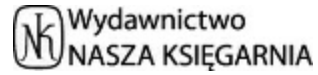
MOŻE ANNA I JA ZOSTANIEMY PIASTUNKAMI DO DZIECI

ŁOWIMY RAKI

Karta redakcyjna

Zajrzyj na strony:

www.nk.com.pl



Znajdź nas na Facebooku

www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia



Część I
DZIECI Z BULLERBYN

MY – DZIECI Z BULLERBYN

Nazywam się Lisa. Jestem dziewczynką, to chyba od razu widać z imienia. Mam siedem lat i wkrótce skończę osiem. Czasem mama mówi:

– Jesteś dużą córeczką mamy, możesz więc chyba dzisiaj wytrzeć naczynia...

Czasem zaś Lasse i Bosse mówią:

– Takie brzdące nie mogą się z nami bawić w Indian. Jesteś za mała!

Dlatego też zastanawiam się, czy właściwie jestem mała, czy duża. Jeśli jedni uważają, że jestem duża, a drudzy, że jestem mała, to pewno jestem w sam raz.

Lasse i Bosse to moi bracia. Lasse ma dziewięć lat, a Bosse osiem. Lasse jest bardzo silny i umie biegać o wiele szybciej ode mnie. Lecz ja umiem biegać tak szybko jak Bosse. Czasem, gdy chłopcy nie chcą, żebym szła z nimi, Lasse przytrzymuje mnie przez chwilę, gdy tymczasem Bosse biegnie naprzód. Potem Lasse puszcza mnie i leci jak strzała.

Siostry nie mam. To wielka szkoda. Chłopcy są tacy nieznośni! Mieszkamy w zagrodzie, która nazywa się Środkowa. Nazywa się tak dlatego, że leży pomiędzy dwiema innymi. Tamte zagrody nazywają się Północna i Południowa. Wszystkie trzy położone są obok siebie. Jak na rysunku.



To niezupełnie tak wygląda w rzeczywistości, ale to dlatego, że nie umiem zbyt dobrze rysować.

W Zagrodzie Południowej mieszka chłopiec, który ma na imię Olle. On nie ma wcale rodzeństwa. Lecz bawi się z Lassem i Bossem. Ma osiem lat i też bardzo prędko biega. Natomiast w Zagrodzie Północnej mieszkają dziewczynki. Dwie. Co za szczęście, że i one nie są chłopcami! Nazywają się Britta i Anna. Britta ma dziewięć lat, a Anna tyle co ja. Obie lubię jednakowo. Może tylko trochę bardziej Annę.

Więcej dzieci nie ma już w Bullerbyn. Tak się nazywa ta wioska. Jest to bardzo mała wioska, tylko trzy zagrody: Północna, Środkowa i Południowa. I tylko sześcioro dzieci: Lasse i Bosse, i ja, i Olle, i Britta, i Anna.

TRUDNO WYTRZYMAĆ Z BRAĆMI

Dawniej Lasse, Bosse i ja mieszkaliśmy w jednym pokoju. Na poddaszu na prawo, tuż koło strychu. Teraz mieszkam na lewo, na poddaszu, w pokoju, w którym dawniej mieszkała babcia. O tym jednak opowiem później.

Czasem jest bardzo wesoło mieszkać w tym samym pokoju co bracia. Ale tylko czasem. Wesoło było, gdy leżąc w łóżku wieczorem, opowiadaliśmy sobie historie o duchach. Chociaż było to nieraz trochę straszne. Lasse umie opowiadać tak okropne historie o duchach, że muszę potem długi, długi czas leżeć z głową pod kołdrą. Bosse nie opowiada historii o duchach. Tylko o przygodach, w których weźmie udział, gdy będzie duży. Wtedy pojedzie do Ameryki, gdzie są Indianie, i zostanie wodzem indiańskim.

Pewnego wieczoru, gdy Lasse opowiadał przerażającą historię o duchu, który krążył po domu i przestawiał wszystkie meble, ogarnął mnie taki strach, iż myślałam, że umrę. W pokoju było niemal zupełnie ciemno, moje łóżko stało daleko od łóżek Lassego i Bossego i – wyobraźcie sobie – nagle jedno z krzesel zaczęło skakać tam i z powrotem. Myślałam, że to ten duch przyszedł, żeby również i u nas w domu poprzestawiać meble, i krzyknęłam, jak mogłam najgłośniej. Wówczas usłyszałam, że Lasse i Bosse chichoczą w swoich łóżkach. Wyobraźcie sobie – przywiązali sznurki do krzesła, leżeli, każdy w swoim łóżku, i tak ciągnęli za sznurki, aż krzesło skakało. Widzicie, jacy oni są! Z początku byłam zła, ale potem nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

Gdy się mieszka w jednym pokoju z braćmi, a bracia są w dodatku więksi, nigdy nie można o niczym samej postanowić. To Lasse zawsze zarządzał, kiedy należy gasić światło wieczorem. Gdy chciałam poczytać w łóżku „Wiosnę Szwecji”^[1], Lasse chciał, żebyśmy właśnie zgasili i opowiadali sobie historie o duchach. Jeśli natomiast ja byłam senna i chciałam, żeby światło było zgaszone, to Lasse i Bosse chcieli grać w łóżku w wilka i owce.

Lasse może zawsze, leżąc w łóżku, zgasić lampę, kiedy tylko zechce. Do

wyłącznika przymocował kawałek tektury i przywiązał do niej sznurek sięgający aż do jego łóżka. Jest to bardzo sprytne urządzenie, którego nie mogę dokładnie opisać, ponieważ nie mam zamiaru zostać inżynierem majster-klepką, gdy dorosnę. Lasse mówi, że będzie inżynierem. Nie wiem dokładnie, na czym to polega, ale Lasse mówi, że to coś bardzo ciekawego i że trzeba umieć zakładać tekturę na wyłącznik, jeśli się ma zostać inżynierem. Bosse będzie wodzem Indian. Przynajmniej dawniej zawsze tak mówił. Słyszałam bowiem któregoś dnia, jak mówił, że będzie maszynistą, więc może się rozmyślił. Ja jeszcze nie wiem na pewno, kim będę. Może mamą. Bo bardzo lubię małe, malutkie dzieci. Mam siedem lalek, dla których jestem mamą. Niedługo będę za duża, żeby się bawić lalkami. Och, jakie to będzie nudne być dużą!

Moja najładniejsza lalka nazywa się Bella. Ma niebieskie oczy i jasne, wijące się loczki. Leży w łóżku dla lalek pod różową kołderką i prześcieradłami, które mama uszyła. Pewnego razu, gdy przyszłam, aby wziąć Bellę z łóżka, miała wąsy i bródkę. To Lasse i Bosse namalowali je kawałkiem węgla. Cieszę się, że już nie mieszkam z nimi w jednym pokoju!

Gdy się wychylić z okna w pokoju moich braci, można zajrzeć prosto do pokoju Ollego. On też mieszka w pokoju na poddaszu, a Zagrody Środkowa i Południowa położone są bliźniutko jedna drugiej. Wygląda to tak, jak gdyby domki pchały się jeden na drugi – mówi tatuś. Tatuś uważa, że ci, którzy je budowali, powinni byli od razu zostawić trochę więcej miejsca pomiędzy nimi. Lasse, Bosse i Olle jednak uważają, że dobrze jest tak, jak jest. Pomiedzy Zagrodą Środkową a Południową jest płot, a pośrodku płotu stoi ogromne drzewo. Tatuś mówi, że to lipa. Gałęzie tej lipy sięgają od okien Lassego i Bossego aż do okna Ollego. Gdy Lasse, Bosse i Olle pragną odwiedzić się nawzajem, to przełazą tylko do siebie po gałęziach lipy. Idzie to znacznie prędzej, niż gdyby musieli zbiegać na dół po schodach, wychodzić przez jedną furtkę, wpadać przez następną i znów pędzić na górę po schodach. Pewnego razu nasz tatuś i tatuś Ollego postanowili zrębać lipę, ponieważ zupełnie zacieniała pokoje. Wtedy jednak Lasse, Bosse i Olle okropnie błagali, żeby lipa została. I została. I stoi po dziś dzień.

[1] „Wiosna Szwecji” – czasopismo dla dzieci.

MOJE NAJPRZYJEMNIEJSZE URODZINY

Uważam, że dzień moich urodzin i wieczór wigilijny to dwa najprzyjemniejsze dni w ciągu całego roku. Najmilej wspomynam ten dzień, gdy skończyłam siedem lat.

A było to tak:

Obudziłam się wcześniej. Mieszkałam wtedy jeszcze we wspólnym pokoju z Lassem i Bossem. Moje łóżko trzeszczy, więc wierciłam się w nim i przewracałam wiele, wiele razy, żeby trzeszczało jak najgłośniej i żeby chłopcy się obudzili. Nie mogłam na nich zawołać, bo gdy się ma urodziny, trzeba udawać, że się śpi, aż inni przyjdą składać życzenia. Oni jednak spali w najlepsze, zamiast pomyśleć o złożeniu mi życzeń. Trzeszczałam tak przeraźliwie łóżkiem, że w końcu Bosse obudził się, usiadł na swoim łóżku i zaczął drapać się w głowę. Zbudził szybko Lassego, po czym wymknęli się obaj na strych i zbiegli na dół po schodach. Słyszałam, jak mama brzęka filiżankami w kuchni, i ledwo mogłam uleżeć w łóżku z przejęciem.

W końcu usłyszałam kroki na schodach i wówczas zacisnęłam oczy tak mocno, jak tylko mogłam. Wtedy – stuk – i drzwi się otworzyły, a w drzwiach stała mama i tatuś, i Lasse, i Bosse, i Agda, która jest naszą służącą. Mama niosła tacę. Stała na niej filiżanka czekolady, wazonik z kwiatkami, tort z rodzynekami, posypany cukrem, ze zrobionym z lukru napisem „Lisa 7 lat”. Upiekła go Agda. Nie było jednak żadnych prezentów i zaczęłam już myśleć, że to jakieś dziwne urodziny. Wtedy tatuś powiedział:

– Wypij czekoladę, to pójdziemy poszukać, może gdzieś znajdzie się jakiś prezent dla ciebie.

Wówczas rozumiałam, że chodzi o jakąś niespodziankę, i wypiłam czekoladę, jak mogłam najszybciej. Wtedy mama zawiązała mi oczy ręcznikiem, tatuś zakręcił mną w kółko i zaniósł mnie gdzieś, ale nie wiem gdzie, bo nic nie widziałam. Słyszałam, że Lasse i Bosse biegną obok, i czułam to także, bo od czasu do czasu chwyтали mnie za palce u nóg i wołali:

– Zgadnij, gdzie jesteś!

Tatusz zszedł ze mną po schodach, raz i drugi zakręcił, aż w pewnej chwili poczułam, że jesteśmy na dworze, a po chwili szliśmy znów w górę po schodach. W końcu mama zdjęła mi ręcznik z oczu. Znajdowaliśmy się w pokoju, którego nigdy przedtem nie widziałam. Przynajmniej zdawało mi się, że nie widziałam go nigdy przedtem. Kiedy jednak wyjrzałam przez okno, zobaczyłam tuż obok poddasze Zagrody Północnej. W oknie stały Britta i Anna i machały do mnie rękoma. Dopiero wtedy zrozumiałam, że znajduję się w pokoju babci i że tatuś niósł mnie tak długo, żeby mnie zmylić. Babcia mieszkała u nas, gdy byłam mała, ale przed paru laty przeniosła się do cioci Fridy. Od tego czasu w pokoju tym stały krosna mamy i leżały w nim sterty gałganków, z których robiła chodniki. Teraz jednak nie było tam ani krosien, ani gałganków.

Teraz pokój był tak piękny, że myślałam, że stało się to chyba za sprawą jakiegoś dobrego trolla^[2]. Mama powiedziała, że tak, przychodził tu troll. Trollem tym był tatuś, który wyczarował dla mnie ten pokój. Ma on być zupełnie mój własny i to jest mój prezent urodzinowy. Ucieszyłam się tak bardzo, że zaczęłam głośno wykrzykiwać, iż jest to najpiękniejszy prezent urodzinowy, jaki kiedykolwiek dostałam.

Tatusz powiedział, że mama też pomagała w tych czarach. Tatusz wyczarował prześliczne tapety z masą małych, malutkich bukietów kwiatów, a mamusia firanki na okno.

Tatusz wieczorami wyczarowywał dla mnie w warsztacie stolarskim komodę i okrągły stolik, i półeczkę, i trzy krzesła, i wszystko to pomalował na biało. Mama zaś wyczarowała z gałganków dywaniki w czerwone, żółte, zielone i czarne paski. Widziałam sama, jak tkala je w zimie, ale nie mogłam przecież przypuszczać, że to ja je dostanę. Widziałam też, jak tatuś robił meble, ale tatuś zawsze w zimie zajmuje się stolarką i robi coś dla ludzi, którzy sami nie znają się na stolarce, więc nie wiedziałam, że robi je dla mnie.

Lasse i Bosse przeciągnęli zaraz moje łóżko przez strych do mego nowego pokoju, przy czym Lasse powiedział:

– Będziemy jednak po dawnemu przychodzić do ciebie wieczorem i opowiadać ci historie o duchach.

Ja zaś pobiegłam do pokoju chłopców i zabrałam swoje lalki. Mam cztery małe laleczki i trzy duże. Są to wszystkie lalki, jakie w ogóle dostałam w swym życiu. Małym lalkom urządziłam piękny pokój na półce. Najpierw

rozłożyłam tam czerwoną szmatkę jako dywanik, a potem wstawiłam moje małe, śliczne mebelki, które dostałam na Gwiazdkę od babci, i w końcu zaś małe laleczki w łóżeczkach.

Dostały więc swój własny pokój tak jak ja, chociaż to nie były ich urodziny. Duże łóżeczko – to, w którym leżała Bella – postawiłam w kąciku, tuż koło mego własnego łóżka, a wózek dla lalek, w którym spali Hans i Greta, w drugim rogu pokoju. Ach, jakże pięknie było u mnie!

Potem znów pobiegłam do pokoju Lassego i Bossego i przyniosłam wszystkie pudełka i rzeczy, które miałam w komodzie chłopców.

– Wspaniale – powiedział Bosse – teraz będę miał trochę więcej miejsca na moje ptasie jaja!

Mam trzynaście książek – są to moje własne książki. Ułożyłam je również na półce i wszystkie numery „Wiosny Szwecji”, i pudełka, w których chowam zakładki do książek. Mam bardzo dużo zakładek. Zamieniamy się nimi w szkole. Mam jednak dwadzieścia takich, których nie zamienię za nic na świecie. Na najładniejszej jest duży anioł ze skrzydłami w różowej sukni. Wszystko to zmieściło się na mojej półce. To był bardzo przyjemny dzień!

[2] Troll – istota fantastyczna, występująca w baśniach szwedzkich, podobna do krasnoludka, ale złośliwa i brzydka.

DALSZE PRZYJEMNOŚCI W DNIU URODZIN

Miałam jeszcze więcej przyjemności tego dnia. Po południu zaprosiłam na podwieczorek wszystkie dzieci z Bullerbyn – no tak, jest nas przecież tylko sześcioro. Tyle właśnie miejsc było przy okrągłym stoliku w moim własnym pokoju. Dostaliśmy soku malinowego i po kawałku tortu, na którym był napis „Lisa 7 lat”, i dwa rodzaje ciasteczek, które również upiekła Agda. Dostałam prezenty od Britty, Anny i Ollego. Od Britty i Anny książkę z bajkami, a od Ollego torcik czekoladowy. Olle siedział koło mnie, a Lasse i Bosse drażnili się ze mną i mówili:

– Narzeczony i narzeczona, narzeczony i narzeczona!

Mówią tak dlatego, że Olle nie jest takim głupim chłopcem, który się nie chce bawić z dziewczynkami. Nic sobie z tego nie robi, gdy zaczynają się z nim drażnić, i bawi się i z chłopcami, i z dziewczynkami. Lasse i Bosse zresztą też chcą się bawić z dziewczynkami, chociaż udają, że nie chcą. Gdy jest tylko sześcioro dzieci w wiosce, muszą bawić się ze sobą bez względu na to, czy są chłopcami, czy dziewczynkami. Niemal wszystkie zabawy stają się weselsze, gdy się bawi w szóstkę, niż gdy się bawi w trójkę.

Po pewnym czasie chłopcy poszli obejrzeć ptasie jajka Bossego, a Britta, Anna i ja bawiłyśmy się moimi lalkami.

Miałam w kieszeni długi, długi sznurek. Gdy go wyciągnęłam i zobaczyłam, że jest tak długi, przyszło mi na myśl, że mogłybyśmy sobie urządzić wspaniałą zabawę. Gdybyśmy znalazły jeszcze jeden równie długi sznurek, wówczas wystarczyłoby go do przeciągnięcia aż do okna Britty i Anny w Zagrodzie Północnej. Wówczas mogłybyśmy pisać do siebie listy i posyłać je w pudełku od cygar. Ach, jakże spieszyłyśmy się, by to wypróbować! Poszło świetnie. Britta i Anna pobiegły do siebie, a potem siedziałyśmy długi czas i posyłałyśmy do siebie tam i z powrotem listy. Wesoło było przyglądać się, jak pudełko zjeżdża po sznurku. Z początku pisałyśmy tylko: „Jak się czujesz? Ja czuję się dobrze”. Lecz później bawiłyśmy się, że jesteśmy księżniczkami, które siedzą uwięzione w dwóch zamkach i nie mogą wyjść, gdyż na straży

stoją smoki. Wtedy Britta i Anna pisały do mnie: „Nasz smok jest okropny. Jaki jest twój? Księżniczka Britta i księżniczka Anna”.

Ja zaś odpisywałam: „Mój smok też jest okropny. Gryzie mnie, gdy próbuję wyjść. Jak to dobrze, że przynajmniej możemy do siebie pisać. Księżniczka Lisa”.

Po chwili mama zawołała mnie, żebym pobiegła coś dla niej załatwić, a w czasie gdy mnie nie było, przyszli do mego pokoju Lasse i Bosse i zobaczyli listy. Lasse wysłał zaraz w pudełku list, w którym było napisane:

„Księżniczka Lisa poszła, ponieważ musiała wytrzeć nos. Jest tu jednak cała masa książąt. Książę Lars, Aleksander, Napoleon”.

Britta i Anna były zdania, że to jest głupie!

W każdym razie dobrze się złożyło, że mój pokój wychodzi na Zagrodę Północną. Często bowiem Britta, Anna i ja posyłamy do siebie listy. W zimie, gdy jest ciemno, nie udaje się to tak dobrze. Wtedy jednak dajemy sobie znaki latarkami. Gdy błysnę trzy razy latarką, oznacza to: „Przyjdź do mnie zaraz! Mam ci coś do powiedzenia”.

Mama powiedziała, że muszę utrzymywać pokój w wielkim porządku. Staram się więc o to, jak tylko mogę. Czasami robię wielkie porządki. Wtedy wyrzucam wszystkie dywaniki szmaciane przez okno, a Agda pomaga mi je trzepać. Mam własną małą trzepaczkę, której używam do trzepania dywaników. Czyszczę klamki, ścieram kurze, wstawiam świeże kwiaty do wazoników, ścielę łóżka lalek i poprawiam pościel w wózku. Czasem zapominam sprzątnąć. Wtedy mama mówi, że jestem nieporządziuch.

LEKCJE SIĘ SKOŃCZYŁY!

Wesoło jest, gdy nadchodzi lato. Wszystko jest wesołe, począwszy od tego, że kończą się lekcje w szkole. Ja dopiero raz jeden byłam egzaminowana. Wesoło zrobiło się już na dzień przed egzaminem. Tego dnia pięknie przybraliśmy naszą klasę kwiatami i gałązkami. My – wszystkie dzieci z Bullerbyn – poszliśmy nałamać gałązek brzeziny i narwać kwiatów. Do szkoły mamy daleko, bo nasza szkoła znajduje się w innej wiosce. Wioska ta nazywa się Wielka Wieś. U nas nie może być przecież osobnej szkoły tylko dla sześciorga dzieci. Gdy doszliśmy na miejsce, kwiaty zwiędły już trochę, chociaż niezupełnie. Ale jak włożyliśmy je do wody, zrobiły się znów ładne. Po obu stronach tablicy umieściliśmy szwedzkie chorągiewki, dokoła girlandę z gałązek brzoźowych i wszędzie dużo kwiatów. W całej klasie pachniało prześlicznie.

Gdy skończyliśmy przybieranie klasy, przećwiczyliśmy piosenki, które mieliśmy śpiewać na egzaminie: „Hej, wzywa cię blask słońca” i „Czy myślisz, że jestem zgubiony bez twojej przychylności”. Jedna dziewczynka, która nazywa się Ulla, śpiewała tak: „Czy myślisz, że jestem zgubiony przy tej sposobności”. Myślała, że tak jest w piosence. To doprawdy szczęście, że pani zdążyła jej powiedzieć, jakie naprawdę są słowa, i że śpiewała dobrze na egzaminie!

Gdy wracaliśmy potem do domu, była przepiękna pogoda. My, dzieci z Bullerbyn, szliśmy wszystkie razem, lecz nasz powrót do domu trwał bardzo długo. Lasse powiedział, że wolno nam iść tylko po kamieniach leżących na skraju drogi.

Potem bawiliśmy się w taką zabawę: że ten, kto będzie szedł po ziemi, a nie po kamieniach, będzie na niby martwy. W pewnej chwili Olle zaczął iść po ziemi, a wtedy Bosse krzyknął:

– Jesteś nieżywy!

– Wcale nie jestem nieżywy! – zawołał Olle. – Spójrzcie tylko, jaki jestem żywy – i zaczął wymachiwać rękoma i wywijać nogami. Śmieliśmy się

wszyscy z niego.

Potem szliśmy po płotku, a Lasse spytał:

– Kto to wymyślił, że można chodzić tylko po drodze, jak myślicie?

Britta odpowiedziała, że z pewnością musiał to wymyślić jakiś dorosły człowiek.

– Najprawdopodobniej – zgodził się z nią Lasse.

Szliśmy po płotku bardzo długo i było nam tak wesoło, że pomyślałam sobie, że nigdy już nie będę chodziła drogą. Jakiś staruszek nadjechał na wózku mleczarskim i zawołał:

– Cóż to za gawrony chodzą po ogrodzeniu?

Następnego dnia, gdy szliśmy na egzamin, nie mogliśmy już jednak iść po ogrodzeniu, gdyż byliśmy bardzo pięknie ubrani. Ja miałam nowiutką sukienkę w czerwone kropki, a Britta i Anna miały niebieskie sukienki z falbankami. Miałyśmy też nowe wstążki i nowe buciki.

Bardzo wielu rodziców siedziało w klasie i przysłuchiwało się egzaminom. Ja odpowiadałam na wszystkie pytania, ale Bosse powiedział, że siedem razy siedem jest pięćdziesiąt sześć. Wówczas Lasse odwrócił się i spojrzał na niego tak srogo, że Bosse chciał się poprawić.

– Nie, oczywiście że nie – czterdzieści sześć.

Naprawdę to jest czterdzieści dziewięć, nawet ja to wiem, chociaż jeszcze nie zaczęliśmy się uczyć tabliczki mnożenia. Słyszałam jednak, jak mówiły to inne dzieci. Jest nas w całej szkole tylko dwadzieścia troje, więc siedzimy wszyscy w jednej klasie.

Gdy odśpiewaliśmy wszystkie piosenki, jakie umieliśmy, i „Czas kwitnienia, co nadchodzi”, pani powiedziała:

– Do widzenia, moje dzieci! Życzę wam bardzo wesołych wakacji!

Wówczas poczułam, jak gdyby coś we mnie podskoczyło w środku. My – wszystkie dzieci z Bullerbyn – miałyśmy dobre świadectwa. Porównywaliśmy je w drodze powrotnej. Świadectwo Bossego nie było specjalnie dobre, ale w każdym razie zupełnie możliwe.

Wieczorem graliśmy w dwa ognie na drodze. W pewnej chwili piłka wpadła między krzaki porzeczek. Pobiełam prędko, żeby ją odszukać. I zgadnijcie, co tam znalazłam? Głęboko pod krzakiem porzeczek leżało jednaście kurzych jaj. Ucieszyłam się okropnie. To jedna z naszych kur jest tak uparta i nie chce nieść się w kurniku. Znosi wszystkie jaja na dworze. Lasse, Bosse i ja szukaliśmy już od dawna, gdzie też ona znosi te swoje jaja. Lecz ta kura jest

taka przebiegła i dobrze strzeże swej tajemnicy. Mamusia powiedziała nam, że dostaniemy pięć öre^[3] za każde jajko, które znajdziemy. Teraz zaś znalazłam jajek za całe pięćdziesiąt pięć öre. Piłki jednak nie znalazłam.

– Weźmiemy zamiast piłki jajka – powiedział Lasse. – Będzie z nich jajecznicą dla całego Bullerbyn!

Ale ja zabrałam prędko jaja do fartuszka, zniosłam je mamie i dostałam pięćdziesiąt pięć öre. Dałam wszystkim dzieciom po pięć öre, a resztę włożyłam do swojej skarbonki, którą zamykam na kluczyk. Kluczyk wisi na gwoździu głęboko w szafie.

Później Anna znalazła piłkę i graliśmy w dwa ognie przez kilka godzin. Spać poszliśmy o wiele później niż zwykle, ale to nie miało znaczenia, bo wakacje już się zaczęły i mogliśmy następnego dnia spać tak długo, jak tylko nam się chciało.

^[3] Öre – drobna moneta szwedzka.

PLEWIMY RZEPEĘ I DOSTAJEMY MAŁEGO KOTKA

Później, gdy pomagałam plewić rzepę, dostałam więcej pieniędzy do mojej skarbonki. Rzepę plewią wszyscy – wszystkie dzieci w Bullerbyn. Właściwie Lasse, Bosse i ja powinniśmy plewić zagony należące do Zagrody Środkowej, Britta i Anna te, które należą do Zagrody Północnej, a Olle te, które należą do Południowej. My jednak pomagaliśmy sobie na wszystkich zagonach. Płacono nam za każdy opielony rząd – czterdzieści öre za długi i dwadzieścia öre za najkrótszy. Mieliliśmy na sobie fartuchy z worków, żeby nas kolana nie bolały. Britta, Anna i ja miałyśmy chusteczki na głowach i wyglądałyśmy jak małe gosposie – tak powiedziała mama. Zabraliśmy z sobą blaszany dzbanek pełen soku, w razie gdyby nam się zachciało pić. Zachciało nam się pić dosłownie zaraz, więc wzięliśmy długie źdźbła słomy, położyliśmy się dookoła dzbanka i piliśmy. Bardzo przyjemnie było pić sok przez słomki, więc piliśmy i pili, aż w pewnej chwili okazało się, że soku już nie ma. Wtedy Lasse wziął dzbanek i pobiegł do źródła tuż obok, na pastwisku, i przyniósł nam wody, więc potem piliśmy wodę. Było to równie wesołe, lecz nie tak smaczne. W końcu Olle wyciągnął się jak długi na ziemi i powiedział:

– Słyszycie, jak we mnie bulgocze?

Miał pełno wody w żołądku. Wszyscy po kolei podchodzili do niego i słuchali, jak przy każdym ruchu woda w nim bulgocze.

Podczas pielenia grządek gawędziliśmy cały czas i opowiadaliśmy sobie bajki. Lasse próbował straszyć nas historią o duchach, ale historie o duchach wcale nie są straszne, gdy słońce świeci. Wówczas Lasse zaproponował, żebyśmy urządzili konkurs, kto najlepiej umie kłąć. Na to jednak nie zgodziły się Britta i Anna, a i ja także, bo pani w szkole mówiła, że tylko głupi ludzie klną. Lasse próbował kłąć po cichutku, sam dla siebie, ale widocznie mu nie szło, bo wkrótce przestał.

Najweselej było plewić pierwszego dnia. Potem stało się to już trochę nudne, lecz mimo to musieliśmy plewić dalej, bo wszystkie zagony trzeba było oczyścić z chwastów.

Pewnego dnia, za ledwie zabraliśmy się do roboty, Lasse powiedział do Ollego:

– Petruska saldo bumbum.

A Olle odpowiedział:

– Kolifink, kolifink.

A Bosse:

– Mojsi dojsi filibom ararat.

Zapytałyśmy ich, co to ma znaczyć, a Lasse odpowiedział, że jest to specjalny język, który tylko chłopcy rozumieją. Dla dziewczynek jest za trudny.

– Cha, cha! – śmiałyśmy się. – Sami tego nie rozumiecie!

– Oczywiście, że rozumiemy – zaprzeczył Lasse. – To, co powiedziałem na początku, znaczy: „Dziś jest ładna pogoda”, na co Olle odpowiedział: „Aha! rzeczywiście!”, a potem Bosse dodał: „Co za szczęście, że dziewczynki tego nie rozumieją”.

Mówili potem w tym swoim języku przez dłuższy czas, aż wreszcie Britta powiedziała, że my też mamy swój specjalny język, który tylko dziewczynki rozumieją, i zaczęłyśmy mówić tym językiem. Całe przedpołudnie plewiliśmy, rozmawiając swymi specjalnymi językami. Co prawda nie widziałam między nimi jakiejś różnicy, lecz Lasse powiedział, że nasz język brzmi głupio. Język chłopców jest o wiele lepszy, gdyż jest zbliżony do rosyjskiego – twierdził Lasse.

– Kolifink, kolifink – powiedział znów Olle.

Tylko tyle nauczyłyśmy się z języka chłopców, że wiedziałyśmy, iż oznacza to: „oczywiście, oczywiście”. Od tego też czasu Britta, Anna i ja nigdy nie nazywamy Ollego inaczej jak „Olle Kolifink”.

Pewnego popołudnia, właśnie gdy przerwaliśmy plewienie i usiedliśmy na stosie kamieni, by zjeść podwieczorek składający się z kanapki i kakao, niebo zrobiło się zupełnie ciemne i zaczęła się straszna burza. Grad padał tak gęsty, że utworzyły się prawdziwe zasy, zupełnie jak w zimie. Zaczęliśmy czym prędzej uciekać. Byliśmy boso i okropnie marzły nam nogi.

– Biegnijmy do Kristin, do Zagajnika! – krzyknął Lasse.

Prawie zawsze robimy tak, jak chce Lasse, więc i teraz też tak zrobiliśmy. Kristin mieszkała opodal w małym czerwonym domku.

Pobiegliśmy więc do niej; na szczęście Kristin była w domu. Kristin jest bardzo stara i wygląda mniej więcej tak, jak przeważnie wyglądają babcie. I

jest taka dobra. Często chodzę do niej.

– O moi kochani, najmilszi! – zawołała, załamując ręce. A potem zaraz dodała: – Ojej, jej! Biedne dzieciaki!

Rozpaliła duży ogień na kominku, mogliśmy więc zdjąć nasze przemoczone ubrania i ogrzać nogi przy ogniu. Potem upiekła nam wafli w szczypcach. Szczypce te trzymała nad ogniem. Ugotowała nam też kawy w imbryku, który stał na trójnogu w samym środku ogniska. Kristin ma trzy koty i jeden z nich miał właśnie kocięta. Leżały w koszyku, miauczały i były takie śliczne! Było ich cztery, a Kristin powiedziała nam, że zmuszona jest oddać wszystkie, prócz jednego, gdyż inaczej miałyby dom pełen kotów, przy czym dla niej samej nie starczyłoby w nim już miejsca.

– Och, czy nie moglibyśmy ich dostać?! – zawołała Anna.

Kristin powiedziała, że możemy, oczywiście, lecz nie była pewna, co powiedzą nasze mamy, gdy wrócimy do domu z kociętami.

– Wszyscy ludzie lubią chyba kocięta – powiedziała Britta.

Prosiliśmy więc i błagali, żeby przynajmniej wolno nam było wziąć je na próbę.

Kociąt wystarczyło akurat, by jeden mógł być w Zagrodzie Północnej i jeden w Środkowej, i jeden w Południowej. Kociątko dla nas wybrał Lasse. Było całe w cętki, z białą plamką na czole. Britta i Anna dostały zupełnie białego kotka, a kot Ollego był cały czarny.

Gdy nasze ubrania wyschły, poszliśmy z naszymi kociętami do domu. Cieszę się, że mamie kotków został choć jeden kotek. W przeciwnym razie nie miałyby zupełnie dzieci.

Nazwaliśmy naszego kotka Mruczkiem. Britta i Anna nazwały swego Puszkiem, a Olle swego – Malkolmem. Żadna z mamus nie powiedziała nic, gdy przyszliśmy do domu z kociętami – WOLNO nam więc było je mieć.

Bawiłam się świetnie z Mruczkiem. Przywiązywałam kulkę z papieru do sznurka i biegałam z tym w kółko, a Mruczek biegał za mną i starał się schwytać papier. Lasse i Bosse bawili się z nim też z początku, lecz wkrótce im się sprzykrzyło. To ja musiałam dbać o to, żeby Mruczek dostał jeść. Pił mleko ze spodeczka w kuchni. Nie pił tak, jak piją ludzie, ale wysuwał różowy języczek i wlizywał w siebie mleko. Przygotowałam mu koszyczek do spania. Zrobiłam mu w nim bardzo mięciutkie posłanie. Czasami puszczałam Mruczka, Puszka i Malkolma na trawnik, żeby się mogli razem pobawić. Byli przecież rodzeństwem i z pewnością chcieli się ze sobą widywać.

Zarobiłam dziewięć koron i czterdzieści öre przy plewieniu rzepy i wszystkie pieniądze włożyłam do skarbonki, bo chcę zbierać na rower. Na czerwony rower.

W JAKI SPOSÓB OLLE DOSTAŁ PSA

Olle nie ma rodzeństwa. Lecz ma psa. No i Malkolma, oczywiście. Pies nazywa się Svipp.

Teraz muszę opowiedzieć, jak to się stało, że Olle dostał psa. Powtórzę dokładnie to, co on sam opowiedział.

Pomiędzy Bullerbyn a Wielką Wsią mieszka szewc, który nazywa się Grzeczny. N a z y w a się Grzeczny, ale nie jest wcale grzeczny! Nasze buty nigdy nie są gotowe, gdy przychodzimy je odebrać, nawet jeśli wiele razy obiecywał, że zrobi je na czas. Agda mówi, że to dlatego, że on tyle pije. To on był dawniej panem Svippa. Nigdy nie był grzeczny dla Svippa, a Svipp był najbardziej złym psem w całej gminie. Zawsze był uwiązany i za każdym razem, gdy przychodziliśmy do Grzecznego z butami, Svipp wyskakiwał jak szalony z budy i szczekał. Baliśmy się go tak bardzo, że nigdy nie mieliśmy odwagi przejść w pobliżu budy. Baliśmy się też i szewca, bo zawsze był zły i mówił, że „bachory to banda, która powinna dostawać w skórę dzień w dzień.” Svipp często dostawał w skórę, chociaż był psem, a nie bachorem. Grzeczny uważał zapewne, że psy też co dzień powinny dostawać w skórę. Gdy Grzeczny się upił, zapominał dać jeść Svippowi.

W tym czasie gdy Svipp był u szewca, myślałam zawsze, że jest to brzydki i zły pies. Był brudny i potargany, zawsze warczał i szczekał. Teraz wiem, że jest to grzeczny i ładny pies. To Olle sprawił, że stał się grzeczny. Olle sam jest przecież taki grzeczny.

Pewnego razu, gdy Olle niósł do szewca swoje buty, a Svipp jak zwykle wyskoczył z budy, szczekał i wyglądał tak, jak gdyby chciał ugryźć, Olle przystanął i zaczął z nim rozmawiać. Powiedział mu, że jest dobrym pieskiem i że nie powinien szczekać jak szalony. Stał oczywiście w pewnej odległości, by Svipp nie mógł go dosięgnąć. Svipp wyglądał na równie złego jak zwykle i nie zachowywał się wcale jak dobry piesek.

Gdy Olle przyszedł odebrać buty, miał ze sobą kość dla Svippa. Svipp szczekał i warczał, ale był tak głodny, że w końcu wbił zęby w kość.

Przez cały czas, gdy jadał, Olle stał w pewnej odległości i powtarzał Svippowi, że jest ładnym i dobrym pieskiem.

Olle musiał wiele razy chodzić i pytać o swoje buty, które wciąż nie były gotowe. Za każdym też razem zabierał ze sobą coś dobrego dla Svippa. Aż tu pewnego pięknego dnia – wyobraźcie sobie – Svipp nie warczał już na Ollego. Szczekał tylko tak, jak psy szczekają, gdy zobaczą kogoś, kogo lubią. Wówczas Olle podszedł i pogłaskał Svippa, a Svipp polizał go w rękę.

Któregoś dnia szewc przewrócił się i zwichnął nogę. Wówczas przestał zupełnie troszczyć się o to, czy Svipp ma coś do jedzenia. Ollemu tak żal było Svippa, że wszedł do szewca i zapytał, czy nie mógłby zaopiekować się Svippem przez ten czas, gdy Grzecznego boli noga. Ale ten Olle jest odważny!

A Grzeczny powiedział:

– Ha, to byłby niezły widok! Skoczy ci do gardła, skoro tylko się zbliżysz!

Wówczas Olle podszedł do Svippa i pogłaskał go, i szewc stał w oknie i patrzył.

Powiedział wtedy, że Olle może opiekować się Svippem przez pewien czas, bo on sam nie może tego robić.

Olle sprzątnął ślicznie w budzie Svippa, wymościł ją świeżym sianem, wymył mu miseczkę i napełnił ją świeżą wodą. Potem wziął go ze sobą na długi spacer aż do Bullerbyn, a Svipp skakał i skomlał z zachwytem. Był przecież tak długo uwięziony przy budzie i tak mu to już zbrzydło.

Co dzień, przez cały czas gdy Grzecznego bolała noga, Olle chodził do Svippa i biegał z nim po dworze. My też biegaliśmy ze Svippem, ale Svipp najbardziej lubił Ollego i nikt inny nie mógł go trzymać na smyczy, bo wtedy Svipp warczał.

Gdy szewca przestała boleć noga, powiedział do Ollego:

– Teraz już koniec tych głupstw! Pies ma pilnować domu i siedzieć w budzie!

Svipp myślał, że będzie mógł jak zawsze iść z Ollem na spacer, więc skakał i piszczał. Gdy jednak Olle odszedł nie zabierając go ze sobą, Svipp skomlał i był bardzo smutny – opowiadał Olle. Olle też był smutny przez wiele dni, aż w końcu jego tatuś nie chciał już dłużej patrzeć na to, że Olle chodzi smutny, i poszedł do Grzecznego, i kupił Ollemu Svippa.

My – wszystkie dzieci z Bullerbyn – poszliśmy do domu Ollego, żeby popatrzeć, jak Olle kąpie Svippa w pralni. Pomagaliśmy mu też trochę. Gdy Svipp był wykąpany, wytarty i uczesany, wyglądał jak zupełnie inny pies.

Teraz Svipp nigdy nie bywa zły i nie musi już chodzić na smyczy. W nocy śpi u Ollego pod łóżkiem, i gdy my – wszystkie dzieci z Bullerbyn – wracamy ze szkoły, Svipp spotyka Ollego w połowie drogi i niesie mu tornister. Nigdy jednak nie dochodzi do chaty Grzecznego. Boi się może, że Grzeczny wyjdzie i zabierze go z powrotem.

PRZYJEMNIE JEST MIEĆ WŁASNE ZWIERZĘ, LE CZ DZIADZIUŚ TEŻ JEST DOBRĄ RZECZĄ

Bardzo przyjemnie jest mieć takie zupełnie swoje własne zwierzę. Ja też chciałabym mieć psa, ale nie mam. Mamy bardzo wiele zwierząt tutaj w Bullerbyn – konie, krowy i cielęta, i prosiaczki, i owce. A mama ma moc kur. To się nazywa „Kurza ferma w Bullerbyn”, a mama wysyła jajka w różne strony ludziom, którzy chcą mieć kurczęta.

Jeden z naszych koni nazywa się Ajaks i trochę jest mój własny. Chociaż niezupełnie tak samo, jak Svipp jest Ollego. Mam za to zupełnie własne króliki. Mieszkają w klatce, którą zrobił tatuś, i co dzień muszę im dawać trawę i mleczko. Na zimę przenoszę klatkę do obory. Mają one, to znaczy króliki, bardzo dużo dzieci i sprzedawałam ich moc Ollemu i Bossemu. Bosse też miał jakiś czas króliki, ale potem mu się to znudziło, bo jemu wszystko zawsze się znudzi oprócz ptasich jaj.

W naszym ogrodzie stoi stare drzewo, które nazywamy „Sowim Drzewem”, ponieważ mieszkają tam sowy. Pewnego razu Bosse wlaź na drzewo i zabrał sowom jedno jajko. W gnieździe były cztery jajka, tak że sowom w każdym razie zostało trzy. Bosse wydmuchał jajko i schował je do biurka razem z innymi ptasimi jajami. Potem jednak przyszło mu do głowy, żeby pożartować trochę z sówią mamą, więc wdrapał się znów na drzewo i podłożył do gniazda kurze jajko. I doprawdy bardzo śmieszne, że sowa mama nie spostrzegła różnicy! Nic nie zauważyła, wysiadywała dalej jajka i pewnego pięknego dnia w gnieździe były trzy małe sówki i jedno kurczątko. Jakże sowa mama musiała się dziwić, gdy spostrzegła, że jedno z jej dzieci wygląda jak mała, żółta piłeczka! Bosse przeląkł się, że sowiej mamie nie będzie się podobał kurczak, i zabrał go stamtąd.

– Zresztą to jest moje kurczątko – powiedział, przwiązał czerwoną tasiemkę do nogi kurczaka, żeby go móc poznać, i puścił go pomiędzy kurczęta mamy. Nazwał go Albertem, lecz gdy Albert troszkę podrośł, okazało się, że to nie

jest kogucik, tylko kurka. Wtedy Bosse zmienił mu imię na Albertyna. Teraz Albertyna jest dużą kurą, a ilekroć Bosse je jajko, zawsze mówi:

– To jajko z pewnością zniosła dla mnie Albertyna!

Albertyna, gdy fruwa, bije więcej skrzydłami niż inne kury.

– To dlatego, że urodziła się w sowim gnieździe – mówi Bosse.

Pewnego razu Lasse postanowił, że on też musi mieć swoje własne zwierzęta. Zastawił w chlewie pułapki na szczury. Złapało się szesnaście dużych szczurów polnych, które Lasse zamknął w beczce. Potem wymalował wielki szyld i umieścił go na beczce. Na szyldzie napisane było: „Szczurza ferma w Bullerbyn”. W nocy jednak szczury pouciekały i nic nie wyszło z tej szczurzej fermy.

– Na co ci zresztą szczurza ferma? – spytała Britta. – Przecież szczury nie znoszą jajek!

– W każdym razie byłoby przyjemnie mieć szczurzą fermę, czy tego nie rozumiesz? – powiedział Lasse, który był zły, że „ferma” się rozbiegła.

Britta i Anna nie mają psa ani królików, ani też innych własnych zwierząt. Lecz mają dziadziusia. Jest to najlepszy dziadzius, jaki jest na całym świecie, jestem tego pewna. My – wszystkie dzieci z Bullerbyn nazywamy go dziadziusiem, chociaż nie jest dziadziusiem nas wszystkich, tylko Britty i Anny. Mieszka w pokoju na piętrze w Zagrodzie Północnej. Jest to tak miły pokój i tak miły dziadzius, że my, wszystkie dzieci, chodzimy tam, gdy nie mamy nic innego do roboty. Dziadzius siedzi w fotelu na biegunach i ma długą, białą brodę, zupełnie jak krasnoludek. Ma tak słaby wzrok, że prawie nic nie widzi. Nie może czytać ani książek, ani gazet, ale to nie ma znaczenia, bo i tak wie wszystko, co jest napisane w książkach. Opowiada nam też często przypowieści biblijne i o tym, jak to było dawniej na świecie, gdy dziadzius był małym chłopcem.

Britta, Anna i ja czytamy mu gazetę – kto umarł i kto skończył pięćdziesiąt lat i różne nieszczęśliwe wypadki, i ogłoszenia, i wszystko. Jeśli w gazecie jest napisane, że gdzieś uderzył piorun, to dziadzius umie opowiedzieć najmniej dwadzieścia różnych wypadków, gdzie i kiedy piorun uderzył dawniej. A jeśli jest napisane, że byk zakłuł kogoś rogami, to dziadzius opowiada nam o wszystkich ludziach, których znał i których zły byk wziął na rogi. W ten sposób trwa to dość długo, zanim przeczytamy gazetę. Czasami czytają chłopcy. Chociaż dziadzius bardziej lubi, gdy Britta lub Anna, albo ja mu czytamy. Chłopcy opuszczają całą masę ogłoszeń i innych rzeczy.

Dziadziuś ma w szafie skrzynkę z narzędziami, które chłopcy mogą od niego pożyczać, a on pomaga im strugać łódki i różne inne rzeczy, chociaż nie widzi. Gdy zaś chłopcy chcą odlewać żołnierzy ołowianych, idą zawsze do dziadziusia i topią ołów w jego piecu.

W szafie dziadziusia jest zawsze skrzynka z jabłkami – no, nie zawsze oczywiście, ale gdy jest taka pora roku, że są jabłka. Gdy przychodzimy, dostajemy od niego po jabłku. Kupujemy mu ślazowe cukierki w Wielkiej Wsi, a dziadziuś trzyma je w szafce narożnej. I potem oprócz jabłek dostajemy od dziadziusia ślazowe cukierki. W swoim oknie dziadziuś ma pelargonie, które bardzo pielęgnuje, mimo że jest prawie niewidomy. Często długo z nimi rozmawia.

Na ścianach w pokoju dziadziusia wiszą piękne obrazy. Szczególnie dwa z nich podobają mi się bardzo. Jeden przedstawia Jonasza w brzuchu wieloryba, a drugi węża, który uciekł z menażerii i dusi jakiegoś człowieka. Nie jest to może piękne, ale straszne i wstrząsające.

Jeśli jest ładna pogoda, to dziadziuś wychodzi na spacer. Ma laskę, którą maca drogę. Latem siaduje najczęściej pod wiązem, który rośnie pośrodku trawnika przed Zagrodą Północną. Siedzi i wygrzewa się w słońcu i od czasu do czasu powtarza:

– Ho, ho, tak, tak!...

Pytaliśmy się go, dlaczego mówi „Ho, ho, tak, tak”, a dziadziuś powiedział, że mówi tak, gdy myśli o tym, jak był młody. To musiało być chyba bardzo, bardzo dawno temu. Ach, że też ktoś ma takiego dobrego dziadziusia! Wolałabym mieć dziadziusia niż psa.

CHŁOPCY NIE MOGĄ MIEĆ PRZED NAMI ŻADNYCH TAJEMNIC

Gdy skończyliśmy plewienie zagonów, zaczęła się zwózka siana.

– W tym roku nie zabieram dzieciaków! Dość skania po stogach i deptania siana! – powiedział tatuś. Mówi tak co roku, ale nikt nie wierzy, że mówi to na serio.

Jeździliśmy na wozach z sianem całymi dniami i skakaliśmy po stogach. Lasse chciał, żebyśmy urządzili konkurs, kto będzie najodważniejszy i skoczy najwyżej. Najwyżej z góry na dół oczywiście, a nie z dołu do góry. Wdrapywaliśmy się na sam wierzch stogu i zeskakiwaliśmy na siano na dole. Oj, jak przy tym coś łaskotało w brzuchu! Lasse powiedział, że zwycięzca konkursu dostanie lizaka w nagrodę. Kupił lizaka właśnie tego samego dnia, gdy poszedł do sklepiku w Wielkiej Wsi po drożdże dla mamy. Skakaliśmy i skakaliśmy, aby się wzajemnie prześcignąć, aż w końcu Lasse wdrapał się tak wysoko, jak tylko mógł, i zeskoczył w dół na małą, malutką kupkę siana, że aż ziemia zadudniła pod nim i leżał dłuższą chwilę nie mogąc się ruszyć. Mówił potem, że był pewien, że serce wpadło mu do brzucha, i myślał, że będzie musiał przez całe życie chodzić z sercem w brzuchu. Nikt już nie miał odwagi powtórzyć tego skoku, a Lasse wpakował sobie do ust lizaka i powiedział:

– Nagroda przyznana została Lassemu za jego odważne wyczyny na stogu siana!

Któregoś dnia, gdy Britta, Anna i ja z parobkiem z Zagrody Północnej zwoziłyśmy siano, napotkałyśmy "poziomkowe miejsce". Było to koło stosu kamieni, na polance, z której zwoziłyśmy siano. Rosło tam tyle poziomek, że nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Umówiłyśmy się, że nigdy, ale to nigdy, przenigdy nie powiemy chłopcom ani też nikomu innemu o tej poziomkowej polance.

Zbierałyśmy poziomki i nawlekałyśmy je na źdźbła, trawy, aż w końcu

mialiśmy trzynaście trawek pełnych. Wieczorem zjadliśmy je z cukrem i śmietanką. Chłopcom dałyśmy po kilka do spróbowania, ale oni chcieli koniecznie wiedzieć, gdzie je zebrałyśmy.

– Tego nie powiemy nigdy w życiu, bo to jest tajemnica! – powiedziałyśmy im na to.

W ciągu następnych dni biegałyśmy z Britta i Anną szukając więcej takich miejsc, gdzie rosną poziomki, i nie bawiłyśmy się już więcej na stogu. Lecz chłopcy bawili się tam stale i nie mogliśmy zrozumieć, że też im się to nie znudzi.

Pewnego dnia znalazłyśmy tyle poziomek, że powiedziałyśmy chłopcom, że mamy już siedem takich miejsc, gdzie rosną poziomki, ale nigdy nie zdradzimy, gdzie one się znajdują, bo to nasza tajemnica. Wówczas Olle powiedział:

– Cha, cha – ale to marna tajemnica w porównaniu z naszą!

– A jaką wy macie tajemnicę? – spytała Britta.

– Nie mów jej nic, Lasse! – krzyknął Olle. A Lasse na to:

– Rzeczywiście! Niech się dziewczynki dowiedzą, że nasza tajemnica nie jest taka bzdurna jak ich!

– Więc co to jest? – spytałyśmy.

– Zrobiliśmy dziewięć grot w stogu siana, jeśli chcecie wiedzieć – odpowiedział Lasse.

– Ale nie powiemy gdzie! – krzyknął Bosse i zaczął skakać na jednej nodze.

– Zaraz je znajdziemy! – zawołałyśmy i zaczęłyśmy wdrapywać się na stóg, by ich szukać.

Szukałyśmy zarówno tego dnia, jak i następnego, ale nie znalazłyśmy grot. Chłopcy zrobili się okropnie ważni, a Lasse powiedział:

– Nigdy ich nie znajdziecie! Po pierwsze, nie można ich znaleźć bez mapy, a po drugie, nie znajdziecie mapy, na której są narysowane!

– Co to za mapa? – spytałyśmy.

– Mapa, którą sami zrobiliśmy – odparł Lasse. – Lecz jest dobrze schowana!

Wtedy Britta, Anna i ja zaczęłyśmy z kolei szukać mapy. Przypuszczałyśmy od razu, że musi ona być schowana gdzieś w Zagrodzie Środkowej, bo Lasse z pewnością nie zgodziłby się na to, by była schowana gdzie indziej.

Szukałyśmy przez kilka godzin w pokoju Lassego i Bossego, w ich łóżkach i w ich szufladach, i w szafie, i wszędzie. Wreszcie zapytałyśmy Lassego:

– Mógłbyś przynajmniej powiedzieć, czy to jest ptak, czy ryba? – Tak jak

się to mówi w tej grze, w której się szuka jakiegoś schowanego przedmiotu, aby określić, czy leży wysoko, czy nisko.

Wówczas Lasse, Bosse i Olle zaczęli się okropnie śmiać, a Lasse dodał:

– Ptak! Ptak! Ptak! No, powiedzcie, czy może nie ptak?

I mrugali do siebie, i robili przebiegłe miny. Zaczęłyśmy szukać koło lampy i zajrzałyśmy, czy mapa nie jest czasem schowana za tapetą pod sufitem, bo to przecież miało być bardzo wysoko, skoro mówili „ptak”.

W końcu Lasse powiedział:

– Możecie równie dobrze przestać szukać, bo i tak nigdy nie znajdziecie tej mapy!

Przestałyśmy więc w końcu szukać. Następnego dnia miałam się spytać Ollego, czy może mi pożyczyć „Tysiąc i jedną noc”^[4], bo padał deszcz i chciałam posiedzieć w domu i poczytać. Lasse i Bosse byli na dworze. Weszłam do ich pokoju, żeby po lipie przeleźć do Ollego.

Na lipie mieszkał kiedyś mały ptaszek, a w jej pniu była mała dziurka, w której miał swoje gniazdko. Teraz już tam nie mieszkał. Przełaząc obok gniazdko zauważyłam, iż z dziupli zwisa kawałek sznurka.

„Ciekawam, na co ptaszekowi potrzebny był sznurek” – pomyślałam i pociągnęłam za zwisający kawałek. Na końcu sznurka przywiązana była rolka papieru! I wyobraźcie sobie – to była mapa! Omal nie spadłam z drzewa ze zdziwienia! Zapomniałam o „Tysiąc i jednej nocy”, wlałam z powrotem do pokoju Lassego i Bossego, po czym popędziłam do Britty i Anny tak szybko, że pośliznęłam się na schodach i stłukłam kolano.

Ach, jakże Britta i Anna się ucieszyły! Pobiegłyśmy pędem do stogu i raz-dwa znalazłyśmy wszystkie grotty. Chłopcy porobili długie przejścia w sianie, a wszystko to było narysowane na mapie. Gdy się wpełźnie do takiego korytarza, jest w nim tak ciemno i tak dużo siana dookoła, że chwilami nie można nie pomyśleć: „A jeśli nie będę mogła stąd wyjść?”

Jest to straszne i przejmujące uczucie. Lecz wyjście zawsze się znajdowało.

To tylko w przejściach było ciemno – w grotach było jasno, bo zrobione były tuż przy ścianie i światło wpadało przez szpary. Były to duże i piękne grotty i chłopcy musieli mieć moc pracy ze zrobieniem ich. Do ostatniej prowadził tak długi korytarz, iż myślałyśmy, że nigdy się nie skończy. Ja wsunęłam się pierwsza, potem Britta, a na końcu Anna.

– Zobaczycie, że to będzie labirynt, który nigdy się nie skończy –

powiedziała Britta.

W tej samej chwili zobaczyłam, że jakoś rozjaśnia się. Przede mną była grotą. Siedzieli tam Lasse, Bosse i Olle. Ale się zdziwili, gdy nas ujrzeli!

– Jak trafiłyście tu? – spytał Lasse.

– Cha, cha! Znalazłyśmy mapę, oczywiście! – odpowiedziałam. – To przecież nie była żadna sztuka. Takie łatwe miejsce!

Choć raz Lasse miał trochę zdumioną minę. Pomyślał chwilę, a potem zawołał:

– Dziewczynki też mogą się z nami bawić!

Przez cały dzień bawiliśmy się w grotach, gdy tymczasem deszcz padał na dworze, i było nam bardzo wesoło.

– Teraz, gdy znacie naszą tajemnicę, bądźcie sprawiedliwe i powiedzcie nam, gdzie rosną poziomki – poprosił Lasse na drugi dzień.

– Aha, chcielibyście – odpowiedziałyśmy. – Szukajcie ich sami, tak jak my musiałyśmy szukać grot.

Aby jednak łatwiej im było szukać, Britta, Anna i ja rzucałyśmy patyczki przez całą drogę. Między patyczkami były duże odstępy, więc trwało to w każdym razie dość długo, zanim chłopcy znaleźli miejsca, gdzie rosną poziomki.

Po drodze do naszego najlepszego miejsca nie rzucałyśmy patyczków. To pozostanie tylko naszą tajemnicą i nigdy, przenigdy nie wyjawimy jej nikomu.

[4] „Baśnie z tysiąca i jednej nocy” – tytuł zbioru baśni z Dalekiego Wschodu

ŚPIMY W STOGU

Pewnego dnia Bosse powiedział do mnie:

– Dziś Lasse i ja będziemy nocować w stogu siana. I Olle też, jeśli mu pozwolą.

– Tylko włóczędzy śpią w stogach – oświadczyłam.

– Z pewnością nie – zaprzeczył Bosse. – Spytaliśmy mamę, czy nam pozwoli.

Pobiegłam powtórzyć to Britcie i Annie.

– W takim razie my będziemy nocowały w naszym stogu – powiedziały. – I ty też, Liso.

Ach, jak będzie wesoło! Szkoda tylko, że to chłopcy wpadli na ten pomysł, a nie my. Pobiegłam zaraz do mamy i spytałam, czy mi pozwoli. Mama uważała, że małe dziewczynki nie powinny nocować w stogu, ale powiedziałam, że dziewczynki też chyba mogą mieć jakąś przyjemność, nie tylko chłopcy. I pozwoliła.

Nie mogłyśmy się wcale doczekać wieczora. Lasse spytał:

– To dziewczynki też mają nocować w stogu? I nie będziecie się bały? A jeśli przyjdą duchy?

– Jasne, że się nie boimy – odpowiedziałyśmy i zaczęłyśmy przygotowywać sobie kanapki. Kanapki te były na wypadek, gdybyśmy zgłodniały w nocy. Wówczas chłopcy też zrobili sobie kanapki.

O godzinie ósmej wieczorem wyszliśmy z domu.

Chłopcy mieli spać w stogu Zagrody Środkowej, a my w stogu Zagrody Północnej. Każde z nas wzięło ze sobą końską derkę. Olle Kolifink zabrał również Svippa. To szczęśliwiec – ma psa!

– Dobranoc, mali włóczędzy! – powiedział tatuś. A mama dodała:

– Przyjdziecie pewno jutro rano kupić mleka. Tak robią wszyscy włóczędzy.

Gdy mówiłyśmy chłopcom dobranoc, Lasse powiedział:

– Śpijcie dobrze! Jeśli będziecie mogły! W zeszłym roku znaleziono żmiję w sianie w Zagrodzie Północnej. Ciekaw jestem, czy i w tym roku jest tam jakaś

zmija?

A Bosse powiedział:

– Może tak, a może nie! Lecz na pewno jest tam cała masa myszy polnych! Brrrr... jakie to wstrętne!

– Biedne dzieci – pożałowałyśmy chłopców. – Boicie się myszy polnych? W takim razie najlepiej będzie, jeśli pójdziecie do domu i położycie się do własnych łóżek.

Po czym poszliśmy do stogu z naszymi derkami i kanapkami. Na dworze było jasno, ale w stogu było niemal zupełnie ciemno.

– Ja chcę leżeć pośrodku! – krzyknęłam.

Potem uościłyśmy się w sianie. Pachniało pięknie, ale kłuło. Chociaż właściwie, gdy owinęłyśmy się derkami, było zupełnie dobrze.

Leżałyśmy i rozmawiałyśmy sobie o tym, jak to jest, kiedy się jest prawdziwym włóczęgą, który zawsze nocuje w stogach. Anna powiedziała, że to musi być bardzo przyjemnie. Nie chciało nam się wcale spać. Tylko jeść. Zanim więc zapadły zupełne ciemności, wydobyłyśmy nasze kanapki. W końcu jednak zrobiło się wokoło tak ciemno, że gdy trzymałyśmy rękę wyciągniętą przed twarzą, nie mogłyśmy jej dojrzeć. Cieszyłam się, że leżę pomiędzy Brittą a Anną. W sianie jakoś dziwnie szeleściło. Britta i Anna przysunęły się bliżej do mnie.

– Co będzie, jeśli przyjdzie tu prawdziwy włóczęga i położy się nie pytając o pozwolenie? – szepnęła Britta.

Leżałyśmy cichutko i myślałyśmy o tym przez chwilę. I wtedy nagle usłyszałyśmy wycie. Straszne, przeraźliwe wycie! Jak gdyby tysiąc duchów zawyło naraz. Cud, że nie umarłyśmy! Nie, nie umarłyśmy, tylko zaczęłyśmy wrzeszczeć. Ach, jakże Lasse, Bosse i Olle się śmiali! Bo to oni oczywiście tak wyli i siano szeleściło wtedy, kiedy czołgali się do nas. Britta powiedziała, że to bardzo niebezpiecznie tak kogoś nastraszyć, bo krew może zakrzepnąć w żyłach temu, kogo się straszy, i obiecała, że powie to swojej mamie. Wówczas Lasse powiedział:

– Przecież to były tylko żarty!

A Bosse dodał:

– Skarżypyta bez kopyta!

Anna twierdziła, że czuje się tak, jak gdyby jej krew trochę już zakrzepła w żyłach.

W końcu chłopcy poszli z powrotem na swój stóg. Namyslałyśmy się przez

chwile, czy by się tam do nich nie przedostać i też ich nie nastraszyć, ale nie miałyśmy już sił, bo tak nam się chciało spać! Obudziło nas pianie koguta w Zagrodzie Północnej i zimno. Brrr, jak było zimno! Nie wiedziałyśmy, która godzina, lecz myślałyśmy, że z pewnością czas już wstawać. Właśnie w tej samej chwili, gdy przechodziłyśmy przez furtkę na wygonie, nadeszli chłopcy ze stogu Zagrody Środkowej. Im też było zimno. Wbiegliśmy do naszej kuchni, aby się ogrzać. I wyobraźcie sobie, że wszyscy jeszcze spali! Wszyscy jeszcze spali, gdyż było dopiero wpół do piątej! Wkrótce jednak zadzwonił budzik Agdy. Musiała wstać do dojenia. Dała nam wszystkim ciepłego mleka i bułeczek. Ach, jakie to było pyszne!

Wlazłam potem czym prędzej do własnego łóżka, bo czułam, że jeszcze mi się chce spać. To jakiś bardzo mądry człowiek wynalazł łóżko, bo w łóżku rzeczywiście śpi się lepiej niż w stogu siana.

ANNA I JA UCIEKAMY Z DOMU

Z nikim nie lubię bawić się tak bardzo jak z Anną. Mamy dużo zabaw „na niby”, o których tylko ona i ja wiemy. Czasem bawimy się, że jesteśmy dwiema paniami, które przychodzą do siebie nawzajem w odwiedziny. Wtedy Anna nazywa się panią Bengtsson, a ja panią Larsson. Anna tak dostojnie wygląda, kiedy jest panią Bengtsson, i tak ślicznie mówi. Ja też elegancko mówię, gdy jestem panią Larsson. Czasami udajemy, że pani Bengtsson i pani Larsson pokłóciły się, a wtedy Anna mówi:

– Pani Larsson może sobie iść do domu ze swymi nieznośnymi dzieciakami!

To moje lalki nazywa „nieznośnymi dzieciakami”. Wtedy ja mówię:

– Uważam, że to dzieciaki pani Bengtsson są nieznośne!

Później znów się godzimy i udajemy, że chodzimy do sklepów i kupujemy jedwab i aksamit, i cukierki. Mamy pieniądze „na niby”, które robimy sobie na górze u dziadziusia. Tak się boimy, żeby Lasse i reszta dzieci nie słyszała, jak się bawimy „na niby”, bo wtedy się z nas śmieją. Jeśli dziadzius to słyszy, nic nie szkodzi, bo on też czasem bawi się z nami i sprzedaje nam „na niby” cukierki za nasze pieniądze „na niby”.

Kiedy pada deszcz, siedzimy z Anną często u dziadziusia i czytamy mu gazetę. Gdy dziadzius był małym chłopcem, tatuś i mamusia mu umarli i musiał iść do innych ludzi, którzy wcale nie byli dla niego dobrzy. Musiał pracować dużo, chociaż jeszcze był mały, I dostawał tak często w skórę i tak mało jedzenia, że w końcu obrzydło mu to i uciekł. Zanim dostał się w końcu do dobrych ludzi, u których mógł pozostać, miał takie mnóstwo wesołych i dziwnych przygód, że wprost trudno uwierzyć.

Pewnego deszczowego dnia, gdy Anna i ja siedziałyśmy u dziadziusia i gdy już przeczytałyśmy mu całą gazetę, Anna powiedziała:

– Opowiedz, dziadziusiu, jak uciekłeś!

– Och, och – powiedział dziadzius. – Przecież słyszałyście to już tyle razy.

Prosiłyśmy go jednak tak bardzo, żeby nam to opowiedział jeszcze raz, że zgodził się i opowiedział. Potem Anna powiedziała:

– To musi być strasznie przyjemnie uciec. Ja sama miałabym na to ochotę!
– Lecz najpierw musieliby być jacyś źli ludzie, od których musiałabys uciekać – zauważyłam.

– To wcale niepotrzebne – powiedziała Anna. – Można przecież uciec tak w ogóle. Troszeczkę! I potem wrócić.

– Och tak! Zróbmy to! – zawołałam.

– Jak myślisz, dziadziusiu? – spytała Anna. – Czy uważasz, że możemy to zrobić?

Dziadzius odpowiadiał, że, oczywiście, możemy uciec tak troszeczkę. Wtedy postanowiłyśmy tak zrobić. Musiało to oczywiście nastąpić w nocy i nikt nie mógł o tym wiedzieć. Prosiłyśmy dziadziusia, żeby nie mówił o tym nikomu. Obiecał, że nie powie.

Zawsze okropnie chce mi się spać wieczorem, więc nie wiedziałam zupełnie, co zrobić, żeby nie usnąć, zanim nastanie czas ucieczki. Lecz Anna uspokoiła mnie:

– Ty śpij! Przywiążę ci sznurek do dużego palca u nogi i przerzucimy go za okno. Ja przyjdę, pociągnę za sznurek, a wtedy ty się obudzisz!

Anna miała nazbierać jałowca i włożyć go sobie do łóżka. W ten sposób na pewno nie zaśnie, zanim wszyscy inni pousypiają.

Następnie spytałyśmy dziadziusia, co trzeba zabrać ze sobą, gdy się ucieka. Powiedział nam, że trzeba zabrać ze sobą trochę jedzenia. I może trochę pieniędzy, jeśli się je ma. Chciałyśmy uciec już tej samej nocy, więc miałyśmy moc roboty z przygotowaniem wszystkiego. Poszłam do mamy i poprosiłam o kilka kanapek, a mama zdziwiła się:

– Co się stało? Znowu jesteś głodna? Przecież przed chwilą zjedliśmy obiad!

Nie mogłam się przecież przyznać, na co mi są potrzebne kanapki, więc nie odpowiedziałam. Potem wyjęłam kilka koron z moich pieniędzy za plewienie i schowałam je pod poduszkę. Następnie wyszukałam długi sznurek, który miałam sobie przywiązać do dużego palca u nogi.

Wieczorem bawiliśmy się – wszystkie dzieci – w dwa ognie i gdy wreszcie nadeszła pora, by położyć się spać, mrugnęłyśmy do siebie z Anną i szepnęłyśmy:

– O wpół do jedenastej!

Uścisnęłam mamę i tatusia bardzo mocno, mówiąc im dobranoc, bo pomyślałam sobie, że teraz dobry kawał czasu ich nie zobaczę. A gdy mama powiedziała: „Jutro będziesz zbierać ze mną porzeczeki”, to zrobiło mi się

okropnie żał mamy, która już jutro zostanie bez córki.

Potem poszłam do swego pokoju i przywiązałam sznurek do dużego palca u nogi, a drugi koniec sznurka spuściłam przez okno i położyłam się myśląc, że teraz warto się przespać, aby nie być zbyt zmęczona, gdy trzeba będzie uciekać.

Zwykle zasypiam, skoro tylko przyłożę głowę do poduszki, ale teraz ani rusz nie mogłam. Staralam się na wszystkie sposoby, lecz ilekroć poruszyłam się na łóżku, sznurek zaciskał się na dużym palcu. Myślałam też o tym, co powie mama, gdy wejdzie następnego ranka i zobaczy, że moje łóżko jest puste. Było mi jej bardzo żal, więc zaczęłam płakać. Płakałam długo, długo. Nagle obudziłam się. Poczulałam, że coś dziwnego dzieje się z moim palcem, i z początku nie mogłam zrozumieć, co to jest. Potem przypomniałam sobie. To ktoś ciągnął za sznurek.

– Już idę, Anno! – zawołałam wyskakując z łóżka i podbiegając do okna. Był jasny dzień. Na dole pod moim oknem stał Lasse i ciągnął za sznurek. Ach, jakąż ja byłam zła!

– O–jo–joj! Nie ciągnij za sznurek! – krzyknęłam.

Lecz Lasse dalej ciągnął.

– Zostaw to! – zawołałam.

– Dlaczego? – dopytywał się Lasse.

– Bo sznurek przywiązany jest do mojego dużego palca u nogi!

Lasse roześmiał się i zawołał:

– A to ci dopiero ryba na tej wędce!

Potem chciał koniecznie dowiedzieć się, na co mi był potrzebny ten sznurek, ale odeszłam od okna i nie odpowiedziałam mu. Pobiełam do Zagrody Północnej. Myślałam, że może Anna uciekła sama. Britta siedziała na schodach i bawiła się z Puszkiem.

– Gdzie jest Anna? – zapytałam.

– Śpi – odpowiedziała Britta.

Poszłam na górę do pokoju dziewczynek – Anna spała w najlepsze. Chrapała!

Chciałam przywiązać jej sznurek do palca u nogi, ale wówczas obudziła się.

– O – zdziwiła się – która godzina?

Gdy jej powiedziałam, że już jest ósma rano, siedziała przez chwilę bez słowa.

Następnie dodała:

– Tacy ludzie, którzy nie mogą sypiać po nocach, powinni spróbować spać na jałowcu. Nie masz pojęcia, jak się na nim mocno śpi!

Poszliśmy potem do dziadziusia, żeby mu przeczytać gazetę.

Gdy wbiegliśmy do pokoju, zdziwił się bardzo i spytał:

– Jak to, nie uciekłyście?

– Innym razem – odpowiedziałyśmy.

URZĄDZAMY SOBIE POKOIK DO ZABAWY

W końcu sprzykrzyło nam się bawić na sianie. Lasse, Bosse i Olle przepadali gdzieś co dzień od rana. Nie wiedziałyśmy gdzie i nie zależało nam na tym, żeby się dowiedzieć, bo i bez nich było nam wesoło. Na pastwisku, za Zagrodą Południową, jest tyle przyjemnych skalistych pagórków i kamieni. To tam właśnie bawiłyśmy się świetnie – Britta, Anna i ja. Pewnego dnia Britta wpadła na pomysł, żebyśmy sobie urządziły pokoik w rozpadlinie skalnej. Ściany jej tworzyły małą izdebkę.

Och, jak nam było wesoło! Urządziłyśmy sobie tak pięknie pokoik, że było to najmiłsze w świecie miejsce do zabawy. Spytałam mamę, czy nie mogłybyśmy dostać kilku małych kawałeczków dywaników szmacianych, i dostałyśmy. Rozłożyłyśmy je na kamiennej płycie, a wówczas jeszcze bardziej wyglądało tam jak w pokoju. Dokoła poustawiałyśmy skrzynki po cukrze jako szafy, a pośrodku – czworokątną skrzynkę zamiast stołu. Britta pożyczyła kolorową chustkę od swojej mamy i rozesłałyśmy ją na stole jako obrus. Każda z nas przyniosła sobie stołeczek do siedzenia. Przyniosłam też mój śliczny, różowy serwis dla lalek, a Anna swoją małą karafeczkę do soku, ze szklaneczkami.

Wszystko to poustawiałyśmy na skrzynkach po cukrze, najpierw wyłożyłyśmy je oczywiście papierem jak półki. Narwałyśmy dzwonek i margerytek i ustawiliśmy kwiaty na środku stołu. Ach, jakże było pięknie! Agda piekła tego dnia ciasto, więc skorzystałam z okazji i upiekłam kilka małych, malutkich bułeczek dla lalek.

Siadłyśmy potem w naszej izdebce dokoła stołu i piłyśmy kawę z moich różowych filiżanek, i zagryzałyśmy bułeczkami. Anna przyniosła soku w swojej karafeczce, więc piłyśmy i sok.

Bawiłyśmy się, że Britta jest panią domu i nazywa się pani Andersson, że ja jestem służącą i nazywam się Agda, a Anna jest dzieckiem. Zbierałyśmy maliny rosnące w pobliżu, wyciskałyśmy je przez szmatkę i bawiłyśmy się, że robimy ser. Britta, która była panią Andersson, powiedziała do mnie:

– Ż e t e ż Agda nie może nauczyć się robić sera jak należy!

A ja odparłam:

– Pani Andersson, może pani sobie robić sama swój stary ser!

Właśnie w chwili gdy to mówiłam, zobaczyłam czuprynę Bossego wystającą z za pagórka, więc ostrzegłam Brittę i Annę:

– Chłopcy skradają się do nas!

I zaraz krzyknęłyśmy do nich:

– Skoro już zobaczyłyśmy was, to możecie równie dobrze wyjść!

Zaraz też wyleźli z za zbocza Lasse, Bosse i Olle, lecz zachowywali się głupio, przedrzeźniali nas i krzyczeli:

– Ż e t e ż Agda nie umie robić starego sera dla pani Andersson!

Nie chcieli nas zostawić w spokoju, więc nie mogłyśmy już dłużej bawić się tego dnia. Lasse chciał, żebyśmy zegrali w piłkę, i tak też zrobiliśmy. Ale Lasse był niegrzeczny w dalszym ciągu i wołał:

– Ż e t e ż pani Andersson nie może trochę prędzej się ruszać! Uważaj na piłkę, pani Andersson!

JEST TAK, JAK MÓWIŁAM – CHŁOPCY NIE MOGĄ MIEĆ PRZED NAMI ŻADNYCH TAJEMNIC

Następnego dnia zaraz po śniadaniu Lasse, Bosse i Olle znów gdzieś przepadli. Bawiłyśmy się z Brittą i Anną przez całe przedpołudnie w naszej izdebce, a gdy nie miałyśmy już na to więcej ochoty, zaczęłyśmy się zastanawiać, gdzie też właściwie chłopcy przepadają na cały dzień. Nie zastanawiałyśmy się nad tym przedtem, ale teraz przypomniałyśmy sobie, że przecież nie widać ich było prawie przez cały tydzień, chyba wieczorem, gdy gramy w piłkę.

– Musimy ich wyśledzić! – zawołała Britta.

– Tak – powiedziałyśmy z Anną – będziemy ich śledzić. Musimy się dowiedzieć, co oni właściwie robią!

Gdy nadeszła pora obiadu, usiadłyśmy na czatach na schodach. Najpierw nadszedł Lasse. Po chwili zaś Bosse. I znów po chwili Olle. Nie nadchodzili jednak z tej samej strony. Wówczas zrozumiałyśmy, że znów mają jakąś tajemnicę i nie chcą, abyśmy się o niej dowiedziały. Inaczej bowiem na pewno przyszliby wszyscy razem. Miałyśmy ze sobą nasze lalki, żeby chłopcy nie spostrzegli, że ich szpiegujemy. Bawiłyśmy się lalkami i nie odzywałyśmy się wcale do chłopców. Potem poszliśmy wszyscy na obiad. Zaraz po obiedzie siadłyśmy znów na schodach.

Po chwili wyszedł Lasse. Bawiłyśmy się dalej lalkami. Lasse pobawił się troszkę z Mruczkiem – ot, tak sobie, mimochodem. Potem nagle zniknął za węglem domu. Pobieglyśmy więc szybko do mego pokoju, gdyż stamtąd mogłyśmy go widzieć z okna. Rozejrzył się ostrożnie, potem pobiegł szybko, prosto między krzakami porzeczek, i przeskoczył przez kamienny mur okalający nasz ogród. Dalej nie mogłyśmy go już dojrzeć. Wkrótce po nim nadszedł Bosse. Przemknął się ostrożnie w tym samym kierunku co Lasse.

– Uważajcie – powiedziała Britta – teraz nie potrwa długo, a zjawi się Olle. Chodźcie, zbiegniemy prędko i schowamy się w krzakach porzeczek!

Tak też zrobiliśmy. Przycupnęliśmy cichutko za krzakami. Po chwili nadbiegł pędem Olle. Biegł tak blisko, że mogliśmy go niemal dotknąć, ale nie widział nas. Zaczęliśmy się skradać za nim.

Za naszym ogrodem jest duże pastwisko. Rosną tam gęsto krzaki leszczyny, jałowca i pełno jest innych krzewów. Drzewa też tam są. Tatuś mówi, że zetnie wszystkie te krzaki, żeby krowy miały lepsze pastwisko, lecz mam nadzieję, że tego nie zrobi. Bo tam są takie świetne kryjówki!

Skradałyśmy się za Ollem spory kawałek drogi, lecz on w pewnej chwili wsunął się w zbitą gęstwinię i hyc! - już go nie było.

Próbowałyśmy na różne sposoby, lecz nie mogliśmy go odnaleźć. Wiedziałyśmy, że chłopcy są na pastwisku, i szukałyśmy ich długo i dokładnie, ale nie było ich nigdzie widać. Wówczas Anna powiedziała:

– Już wiem! Przyprowadzimy Svippa! On zaraz znajdzie Ollego!

Ja i Britta uważałyśmy, że Anna bardzo mądrze to wymyśliła. Pobieglyśmy pędem do Zagrody Południowej i spytałyśmy mamę Ollego, czy możemy na chwilę pożyczyć Svippa.

– Naturalnie, że możecie – odpowiedziała. Svipp ucieszył się ogromnie, bo zrozumiał, że może iść z nami na spacer. Skakał i szczeakał. Wtedy powiedziałyśmy mu:

– Svipp, gdzie jest Olle? Szukaj Ollego!

Svipp zaczął zaraz węszyć po ziemi, a my biegłyśmy za nim. Biegł na przelaj przez krzaki porzeczek, wpadł na pastwisko, a my za nim. Pędził jak szalony pomiędzy krzakami leszczyny. I nagle skoczył prosto na Ollego. Bo tam stał Olle, a obok niego Bosse i Lasse. Tam też znajdowała się tajemnica. Była nią chatka, którą chłopcy wybudowali sobie na pastwisku.

– Cha, cha, aleście się zdziwili! – zawołałyśmy. Zdumieni byli rzeczywiście.

– Nawet nie próbujcie mieć przed nami jakichś tajemnic – powiedziałyśmy – odkryjemy je cał^[5] po calu!

– No, tak, skoro bierzecie psy gończe do pomocy – burknął Lasse.

Svipp skakał i cieszył się bardzo, bo myślał, że zrobił coś bardzo dobrego. Obiecałyśmy mu dużą kość na kolację.

Chłopcy zbudowali śliczną chatkę. Przybili gwoździami kilka desek do czterech drzew stojących w czworoboku tak, że w każdym rogu chatki stało drzewo. Potem powtykali dokoła w ziemię krzaki jałowca, i to były ściany, bo nie mieli tyle desek, żeby starczyło – opowiadał Lasse. Mniejsze deski ułożyli

jako dach i przykryli je starą końską derką.

– Czy uważacie, że dziewczynki mogą się z nami bawić? – spytał Lasse chłopców.

– No... jak sam uważasz – wybąkali, bo chcieli najpierw usłyszeć, jakiego zdania jest Lasse. A Lasse powiedział, że możemy się z nimi bawić.

Potem w chatce bawiliśmy się w Indian. Lasse był wodzem i nazywał się Silna Pantera, Bosse – Rączy Jeleń, a Olle – Drapieżny Sęp. Britta musiała nazywać się Mruczącym Niedźwiedziem, Anna – Żółtym Wilkiem, a ja – Przebiegłym Lisem. Chciałam nazwać się jakoś ładniej, lecz Lasse tak mi kazał. Nie mieliśmy ogniska w chatce, lecz udawaliśmy, że je mamy, i siedzieliśmy dokoła ognia i paliliśmy fajkę pokoju, to jest długi cukierek.

Odgryzłam mały, malutki kawałeczek fajki pokoju – była pyszna. Chłopcy porobili sobie łuki i strzały. Dla nas zrobili także. Lasse powiedział, że są jeszcze inni Indianie w drugim końcu pastwiska. Nazywają się Komancze, są podstępni i niebezpieczni i należy ich wszystkich zgładzić. Wzięliśmy więc nasze łuki i pobiegliśmy pędem przez pastwisko, wznosząc straszliwe okrzyki.

W drugim końcu pastwiska pasły się nasze krowy. Lasse powiedział, że to one są Komanczami. Och, jakże Komancze uciekali! Lasse krzyczał coś do nich po indiańsku, lecz nie sędzę, by to rozumiały.

[5] cal – jednostka długości używana w niektórych krajach, około 2,5 cm

ZNÓW IDZIEMY DO SZKOŁY

Gdy wakacje trwają już dość długo, wówczas – przynajmniej ja tak uważam – przyjemnie jest, gdy szkoła znów się zaczyna. Bosse mówił, że napisze do króla i poprosi go, żeby zamknął wszystkie szkoły, lecz ja mam nadzieję, że król tego nie zrobi. Bo ja lubię szkołę. Lubię naszą panią i lubię moje koleżanki i kolegów, i moje książki szkolne. Książki okładam w piękny, nowy papier i nalepiam na nie naklejki ze swoim nazwiskiem. Lasse i Bosse nie okładają książek w nowy papier, chyba że mama albo pani w szkole powie im, że muszą. I bazgrzą też na swoich książkach. Lasse wycina różne śmieszne ilustracje i rozmaite postacie z tygodników i dokleja je na obrazkach w swoim podręczniku geografii. Mówi, że w ten sposób książka staje się bardziej urozmaicona; ja też tak uważam. Bo jeśli pod rysunkiem napisane jest: „Chłop chiński sadzi ryż”, to Lasse zostawia Chińczykowi tylko nogi, a dokleja twarz Śpiącej Królowej.

My, wszystkie dzieci z Bullerbyn, chodzimy razem do szkoły. Musimy wychodzić z domu już o siódmej, bo do szkoły jest daleko. Zabieramy ze sobą mleko i kanapki i zjadamy to w szkole na dużej przerwie. Czasami Lasse, Bosse i Olle zjadają swoje śniadanie po drodze, zanim jeszcze zdążymy przyjść do szkoły.

– Można chyba równie dobrze nieść śniadanie w żołądku jak w tornistrze – mówi Lasse.

Nasza pani mieszka w szkole, na piętrze. Ma śliczny pokój, pianino, dużo książek i miłą małą kuchenkę. Pomagamy jej przynosić drewno. Czasami pożycza nam książki, a czasem zaprasza nas na czekoladę.

Pewnego dnia, gdy przyszliśmy do szkoły, pani była chora i nie mogła z nami mieć lekcji. Wszystkie inne dzieci wiedziały o tym wcześniej, ale w Bullerbyn nie ma telefonu i nikt nie mógł nas zawiadomić. Nie wiedzieliśmy, co mamy robić, gdyż klasa była zamknięta, nie było ani dzieci, ani pani. W końcu poszliśmy na górę i zastukaliśmy do drzwi pokoju pani.

– Proszę – powiedziała pani.

Weszliśmy. Leżała w łóżku i była bardzo chora. Miała przyjść jakaś kobieta, żeby jej pomóc, ale nie przyszła. Pani spytała nas, czy wobec tego nie zechcielibyśmy jej pomóc. Naturalnie, że chcieliśmy bardzo. Chłopcy pobiegli po drewno, Britta rozpałała pod kuchnią i nastawiła wodę na herbatę. Ja zamiotłam podłogę i poprawiłam pani poduszki, a Anna przygotowała na tacy śniadanie. Potem podałyśmy pani herbatkę z kanapkami.

Pani powiedziała nam, że ma straszną chęć na duszone mięso na obiad i że ma mięso w domu. Zastanawiała się, czy potrafiłybyśmy przyrządzić to mięso, gdyby nam powiedziała, jak to się robi.

– Możemy przecież spróbować – powiedziała Britta. – Jeśli nie wyjdzie z tego duszone mięso, to może wyjdzie coś innego.

Ale wyszło prawdziwe duszone mięso i teraz już wiem, jak to się robi, i nie potrzebuję się tego uczyć, gdy będę duża. Pani poczęstowała nas tym mięsem i było przepyszne. Potem Britta zmyła naczynia, a ja i Anna wycierałyśmy. Lasse, Bosse i Olle siedzieli przez cały czas przy półce z książkami i czytali; chłopcy właściwie nigdy nie są pożyteczni. Byliśmy u pani tak długo, jak długo miały trwać lekcje. Potem spytałyśmy się jej, czy ma zamiar być chora również następnego dnia, i powiedziała nam, że tak. Wtedy spytałyśmy, czy nie mogłybyśmy przyjść również i następnego dnia i pomóc jej. Pani powiedziała, że będzie jej bardzo miło.

Gdy przyszłyśmy tam następnego dnia – Britta, Anna i ja – pani leżała w łóżku, wśród rozrzuconej pościeli, i miała biedaczka straszną chęć na płatki owsiane. Pomogłyśmy jej usiąść w fotelu, a potem pościeliłyśmy jej łóżko tak pięknie i gładko, że gdy znów się położyła, powiedziała nam, że leży jak księżniczka. Następnie ugotowałyśmy jej owsiankę i podałyśmy jej kawę i kilka świeżych bułeczek, które przyniosłam z domu. Wówczas pani stwierdziła, że to naprawdę przyjemnie jest być chorą. Niestety jednak, już następnego dnia była zupełnie zdrowa. W przeciwnym razie nauczyłybyśmy się gotować więcej potraw.

Na jesieni i w zimie jest ciemno, gdy rano idziemy do szkoły, i ciemno jest również, gdy wracamy do domu po południu. Byłoby bardzo smutno, gdyby się musiało iść samemu po ciemku, ponieważ jednak jest nas sześcioro – zawsze jest wesoło. Przez cały czas droga prowadzi przez las, a Lasse próbuje nam wmówić, że pełno w nim jest trolli, olbrzymów i czarownic. Może są. Lecz my nigdy ich dotąd nie widzieliśmy. Czasami, gdy wracamy ze szkoły, gwiazdy świecą w górze. Lasse mówi, że na niebie są dwa miliony pięćset tysięcy

pięćdziesiąt cztery gwiazdy i że zna nazwę każdej z nich. Przypuszczam jednak, że zmyśla, gdyż któregoś dnia spytałam go o nazwę jednej z gwiazd i wówczas powiedział, że nazywa się ona „Wielkogwiazda”. A zaraz następnego dnia, gdy wracaliśmy ze szkoły, spytałam go drugi raz o tę samą gwiazdę – powiedział, że nazywa się „Korona Królowej”.

– Tak, a wczoraj to powiedziałaś, że ona się nazywa „Wielkogwiazda” – przypomniałam mu.

A Lasse na to:

– Nie, to nie była ta! „Wielkogwiazda” spadła ubiegłej nocy. Ta się nazywa „Korona Królowej” – możesz mi wierzyć!

Czasami wracając ze szkoły do domu śpiewamy: „Gdy wędruję przez lasy, góry i doliny” i inne podobne piosenki.

Wyobrażam sobie, jak bardzo dziwiłby się ktoś słysząc ten śpiew! Jest tak ciemno, że nie mógłby zobaczyć, że to tylko my – dzieci z Bullerbyn – idziemy przez ciemny las i śpiewamy.

PRZEBIERAMY SIĘ

Pewnego wieczora wszyscy rodzice z Bullerbyn pojechali na przyjęcie do właściciela sklepu w Wielkiej Wsi. Tylko my, dzieci, byliśmy w domu. No i dziadzius. I Agda. Błysnęłam w oknie trzy razy latarką. To znaczy dla Britty i Anny:

„Przychodźcie zaraz! Mam wam coś do powiedzenia!”

Po chwili słyhać już je było na schodach. Właściwie nie miałam im nic do powiedzenia. Chciałam tylko, żebyśmy wymyśliły jakąś przyjemną zabawę. Najpierw oglądałyśmy wszystkie moje zakładki do książek i grałyśmy przez chwilę w loteryjkę. Potem przyszło nam na myśl, żeby zejść na dół i porozmawiać z Agdą.

Wówczas Anna wpadła na świetny pomysł. Powiedziała, żebyśmy się przebrały, to może Agda nas nie pozna. Och, jak nam było pilno się przebrać! Na strychu wisiała cała masa różnych ubrań mamusi i tatusia. Britta powiedziała, że chce przebrać się za pana, więc wzięła tatusiowe spodnie w paski, brązową marynarkę i okrągły czarny kapelusz tatusia i ubrała się w to wszystko. Nogawki były naturalnie za długie, więc musiała je podpiąć agrafkami, a rękawy podwinąć. Potem namalowała sobie wąsy i brodę kawałkiem spalonego korka. Wyglądała jak mały zabawny człowieczek, a Anna i ja tak śmiałyśmy się z niej, że ledwo mogłyśmy włożyć spódnice. Ja miałam czarną spódnicę mamusi i bluzkę w kwiaty. Włożyłam też czarny kapelusz z woalką. Gdy spuściłam woalkę na twarz, nawet Britta i Anna nie mogły mnie poznać. Anna też chciała mieć woalkę, ale nie znalazłyśmy drugiej ani też drugiego kapelusza, więc musiała zawiązać chusteczkę na głowie. Włożyła też długą spódnicę i wełniany kaftanik.

Lasse i Bosse byli u Ollego, więc nikt nas nie widział, gdy schodziłyśmy ze schodów. Wymknęłyśmy się na palcach głównym wejściem, podeszłyśmy do drzwi kuchennych i zastukałyśmy. Bardzo mocno.

– Kto tam? – spytała Agda z kuchni, a po głosie poznałyśmy, że się trochę przestraszyła.

Nie wiedziałyśmy z początku, co mamy odpowiedzieć, potem Britta zawołała grubym głosem:

– Włóczędzy!

– Nie mogę was wpuścić, bo nikogo nie ma w domu – powiedziała Agda.

– Ale my chcemy wejść! – krzyknęłyśmy waląc do drzwi. Nie mogłyśmy jednak powstrzymać się od śmiechu. Staralam się nie śmiać, ale śmiech dosłownie bulgotał we mnie i wydaje mi się, że Agda musiała to słyszeć. Zrobiła małą szparkę w drzwiach, a my skorzystałyśmy z tego i wsunęłyśmy się do środka.

– Ojej, nigdy nie widziałam nic podobnego – powiedziała Agda. – Cóż to za wytworni państwo spacerują o tej porze?

– Nazywam się pan Karlsson – powiedziała Britta. – A to są moje żony.

– Ależ ma pan eleganckie żony, panie Karlsson – powiedziała Agda. – I aż dwie! Czy mogę państwa poczęstować sokiem?

Oczywiście zgodziłyśmy się na to, by nas poczęstowała. Piłyśmy sok i udawałyśmy, że jesteśmy dorosłe, a szło nam to o wiele łatwiej niż zwykle, gdyż miałyśmy na sobie dorosłe ubrania. Potem przyszło nam na myśl, żeby pójść do Zagrody Południowej i pokazać się chłopcom. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc dostałyśmy się bez trudu. Gdy szłyśmy schodami na górę, na strych do pokoju Ollego, Anna potknęła się o swoją długą spódnicę i narobiła okropnego hałasu.

Olle otworzył drzwi, aby zobaczyć, co się dzieje, i wyobraźcie sobie, gdy nas ujrzał, tak się przestraszył, że aż podskoczył, bo na schodach było przecież zupełnie ciemno, tylko trochę światła padało z otwartych drzwi. Myślał z pewnością, że to trzy duchy stoją na schodach. Gdy Lasse zobaczył, że jesteśmy przebrane, chciał też koniecznie się przebrać, a Bosse i Olle także. Lasse włożył na siebie sukienkę mamusi Ollego i pantofle na wysokich obcasach. Bosse i Olle mieli męskie ubrania. Lasse biegał w kółko, machał rękami i mówił piskliwym głosem:

– J a k też pani robi te przepyszne pierniczki? Czy mogłabym dostać przepis?

Lasse bowiem uważa, że właśnie w ten sposób rozmawiają wielkie damy. Potem poszliśmy wszyscy odwiedzić dziadziusia i opowiedzieliśmy mu, że jesteśmy poprzebierani. Nie mógł przecież sam tego zobaczyć, niestety. Ale za to urządziliśmy mu przedstawienie jak w teatrze. Wymyśliliśmy wszystko sami. W tej sztuce Lasse był złą ciotką. Och, jak śmieliśmy się z niego!

Dziadziuś też się śmiał, chociaż nie mógł nas widzieć, tylko słyszał, co mówimy.

WIELKA ŚNIEŻYCA

Opowiem teraz o wielkiej śnieżycy, jaka miała miejsce tuż przed Gwiazdką. Tatuś mówił, że była to największa zawieja, jaką kiedykolwiek widział.

Już od początku grudnia Lasse co dzień powtarzał w drodze do szkoły:

– Zobaczycie, że na święta nie będzie śniegu!

Robiło mi się przykro za każdym razem, gdy tak mówił, gdyż bardzo pragnęłam, żeby był śnieg. Ale jeden dzień upływał za drugim, a nie spadł nawet najmniejszy płatek. Aż tu, wyobraźcie sobie, właśnie w samym tygodniu przedświątecznym, gdy siedzieliśmy w szkole i zajęcia byliśmy rachunkami, Bosse krzyknął:

– Spójrzcie! Śnieg pada!

I rzeczywiście padał. Ucieszyliśmy się tak bardzo, że zaczęliśmy wszyscy krzyżeć: hura!

Pani powiedziała, żebyśmy wstali i zaśpiewali: „Nadeszła już zima”.

Gdy wybiegliśmy na przerwę, na podwórku szkolnym leżała cieniutka warstewka śniegu.

Wydeptaliśmy dużą ósemkę w śniegu i biegaliśmy w kółko po niej krzyżąc: Hip! Hip! Hura!

– Tak, lecz już więcej śniegu niż teraz nie będzie! – powiedział Lasse.

Gdy szliśmy do szkoły następnego dnia, śnieg sięgał nam po kostki i jeszcze wciąż padał. Lecz Lasse mówił:

– Więcej śniegu w żadnym razie nie będzie, a i ten zdąży stajać do świąt!

Lasse wcale jednak nie wiedział, co będzie. Zaledwie zdążyliśmy wejść do szkoły, śnieg zaczął walić jeszcze większy. Był tak gęsty, że za oknami było zupełnie białe i nie widać było nawet szkolnego podwórka. Padał przez cały dzień. Zerwał się silny wiatr. Śnieg walił, a wiatr tak wył, że w końcu pani zaniepokoiła się i powiedziała:

– Nie wiem, jak wy, dzieci z Bullerbyn, będziecie mogły dziś wrócić do domu.

Spytała nas, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy zostali u niej na noc. Mieliliśmy

na to szaloną ochotę, lecz wiedzieliśmy, że w Bullerbyn będą się bardzo denerwować, jeśli nie wrócimy na noc.

Powiedzieliśmy więc, że nie możemy zostać, a wtedy pani powiedziała, że najlepiej będzie, jeśli pójdziemy do domu zaraz, zanim będzie ciemno.

O pierwszej wyszliśmy ze szkoły. Ach, jakież były zaspasy! A jaki wichur! Musieliśmy iść zgięci wpył.

– Czy jest juź tyle śniegu, że ci wystarczy? – spytała Britta Lassego ze złością.

– Przecież to jeszcze nie święta – odpowiedział Lasse. Lecz ledwo słyszeliśmy własne słowa.

Szliśmy i szli, i szli. Trzymaliśmy się za ręce, żeby się nie pogubić. Śnieg sięgał mi wysoko za kolana i muszę przyznać, że wtedy niezbyt prędko można się posuwać naprzód. Wichur przenikał na wskroś i zrobiło się tak zimno, że zdrętwiały nam palce u nóg i rąk. W końcu tak mnie rozboleły nogi, że powiedziałam Lassemu, że muszę na chwilkę usiąść i odpocząć.

– Nawet nie ma o czym mówić! – odpowiedział Lasse.

Anna też była zmęczona i chciała odpocząć, lecz Lasse powiedział, że to niebezpieczne. Wtedy Anna i ja zaczęłyśmy płakać, bo juź nie wierzyłyśmy w to, że kiedyś dojdziemy do domu, do Bullerbyn. Byliśmy dopiero w połowie drogi!

Nagle odezwał się Olle:

– Zajdźmy do szewca! Nie może nam chyba poobgryzać nosów!

Anna i ja chciałyśmy iść do szewca, nawet jeśli by nam poobgryzał nosy. Wichur dał tak silny, że wwiało nas niemal przez drzwi do chaty szewca. Nie ucieszył się zbytnio, gdy nas zobaczył.

– Co dzieci mają do roboty na dworze w taką pogodę? – spytał.

Nie mieliśmy odwagi mu powiedzieć, że pogoda nie była taka, gdy wychodziliśmy z domu. Zdjęliśmy z siebie palta, usiedliśmy i przyglądaliśmy się szewcowi, jak łątał buty. Byliśmy strasznie głodni, lecz nie mieliśmy odwagi mu tego powiedzieć. Szewc ugotował sobie kawy i zjadł parę kromek chleba, ale nas nie poczęstował. Tu było zupełnie inaczej, niż gdy przyszliśmy do Kristin w czasie burzy.

Gdy zmierzch zapadł, śnieg przestał padać i wiatr ucichł; lecz zaspasy były tak wielkie, że nie mogliśmy sobie wyobrazić, jak nam się uda przedostać do domu. Och, jakże tęskniłam do domu, do Bullerbyn, do mamy i do mego łóżka!

Aż tu nagle, wyobraźcie sobie, gdzieś daleko zadźwięczały dzwonki u sanek. Pobiegliśmy szybko do okna i wyjrzelśmy. Był to tatuś, który jechał pługiem śnieżnym. Otworzyliśmy drzwi i zaczęliśmy wołać na niego, mimo iż szewc krzyczał:

– Nie wpuszczajcie zimna!

Tatuś okropnie się ucieszył, gdy nas zobaczył. Powiedział, że teraz jedzie pługiem, aż do Wielkiej Wsi i że zabierze nas w drodze powrotnej.

Tak też zrobił. Pozwolił jechać na pługu Annie i mnie, a reszta dzieci szła za nami. Teraz droga zrównana była pługiem gładziutko, więc nie było to żadną sztuką.

Gdy zajechaliśmy przed dom, zaniepokojona mama stała przy oknie w kuchni i wyglądała. Lasse, Bosse i ja dostaliśmy gorącego rosółu z kluseczkami, a było to najsmaczniejsze ze wszystkiego, co dotychczas kiedykolwiek jadłam. Zjadłam trzy talerze. Potem zaraz poszłam do łóżka. Och, jakie to było przyjemne! Mamusia powiedziała, że czuła po prostu, że jesteśmy gdzieś na drodze i tatuś powinien wyjechać pługiem śnieżnym. To całe szczęście, że mamusia tak czuła! W przeciwnym razie musielibyśmy siedzieć całą noc u szewca!

WKRÓTCE JUŻ ŚWIĘTA!

Następnego dnia słońce świeciło, a piękny, biały puszysty śnieg leżał na wszystkich drzewach. Tego dnia mieliśmy po raz ostatni przed Gwiazdką iść do szkoły. Pani w szkole powiedziała, że nie spała całą noc. Nie mogła usnąć, leżała tylko i myślała, jak daliśmy sobie radę w tym śniegu.

Ponieważ był to ostatni dzień przed świętami, pani przeczytała nam śliczne opowiadanie gwiazdkowe. Wszystko było jakoś dziwnie i inaczej. Właśnie w chwili gdy już mieliśmy wychodzić ze szkoły, zdarzyło się coś, co było najlepsze ze wszystkiego. Pani napisała do Sztokholmu i zamówiła dla nas książki. Pokazała nam kiedyś duży arkusz, na którym było moc prześlicznych obrazków, przedstawiających okładki różnych książek z bajkami. Mogliśmy wybrać sobie książki, które chcielibyśmy kupić. Ja zamówiłam dwie, a Lasse i Bosse też po dwie. Na moich były prześliczne księżniczki i książęta. Właśnie ostatniego dnia przed świętami przysłali pani te książki. Chodziła po klasie i rozdawała je dzieciom. Nie mogłam się wprost doczekać, kiedy dostanę swoje. Lecz mamusia powiedziała, że nie wolno mi ich czytać, aż dopiero w Wigilię.

Zanim wyruszyliśmy do domu, odśpiewaliśmy wszystkie świąteczne pieśni, jakie umieliśmy, a pani powiedziała, że ma nadzieję, że wesoło spędzimy święta. Że będą wesołe – tego byłam pewna!

Britta, Anna i ja pobiegłyśmy do sklepikarza i kupiłyśmy czerwonego, zielonego, żółtego i niebieskiego papieru, gdyż chciałyśmy zrobić koszyczki na choinkę. Potem poszłyśmy do domu. Było tak jasno i ładnie.

W pewnej chwili, po drodze, Britta wyjęła swoją książkę z bajkami. Powąchała ją. Potem powąchaliliśmy ją wszyscy po kolei. Nowe książki pachną tak ślicznie, że po prostu czuje się po zapachu, jak przyjemnie będzie je czytać. Potem Britta zaczęła czytać swoją książkę. Jej mama też powiedziała, że książki należy schować aż na wieczór wigilijny. Britta tłumaczyła się, że przeczyta tylko mały, malusieńki kawałek. Gdy przeczytała ten kawałek, uważaliśmy wszyscy, że to jest bardzo ciekawe opowiadanie, i poprosiliśmy ją, żeby przeczytała jeszcze kawałeczek. Przeczytała więc jeszcze trochę. Lecz to

nic nie pomogło, bo gdy skończyła, byliśmy znów ciekawi dalszego ciągu.

– Muszę się dowiedzieć, czy księżę został odczarowany, czy nie – mówił Lasse.

Zmuszona więc była przeczytać jeszcze kawałek. Czytaliśmy więc aż do Bullerbyn, a wtedy okazało się, że Britta przeczytała nam całą książeczkę. Powiedziała jednak, że to nic nie szkodzi, bo i tak przeczyta ją jeszcze raz w wieczór wigilijny.

W domu mama i Agda zajęte były robieniem świątecznej kiełbasy i wszędzie był straszny rozgardiasz. Zaraz po obiedzie Lasse, Bosse i ja wyszliśmy i zbudowaliśmy w ogrodzie ogromną, piękną latarnię ze śniegu. Britta, Anna i Olle przyszli również, żeby nam pomóc.

Na lipie siedziało moc gilów, wróbli i sikorek, które wyglądały na bardzo głodne. Pobiełam więc i spytałam tatusia, czy pozwoli nam trochę wcześniej wynieść snopki świąteczne dla ptaszków. Tatus się zgodził. Pobiegliśmy więc wszyscy do stodoły i wzięliśmy pięć snopków owsa, które odłożyliśmy specjalnie w czasie młocki. Umocowaliśmy je wysoko na jabłonkach w naszym ogrodzie i już po chwili siedziało tam pełno ptaszków i łasowało. Z pewnością myślały, że to już wieczór wigilijny. Ach, jakże pięknie było z tymi snopkami, śniegiem i wszystkim wokoło.

Wieczorem siedziałyśmy z Brittą i Anną u dziadziusia i kleiłyśmy koszyczki na choinkę. Chłopcy też przyszli. Z początku nie chcieli nam wcale pomóc przy tej robocie, ale po chwili nabrali wielkiej ochoty. Siedzieliśmy sobie wokół dużego, okrągłego stołu u dziadziusia i zrobiliśmy pięćdziesiąt cztery koszyczki, które podzieliliśmy równo, tak że wypadło osiemnaście dla Zagrody Północnej, osiemnaście dla Zagrody Środkowej i osiemnaście dla Południowej. Dziadzius poczęstował nas jabłkami i cukierkami ślazowymi. Przez cały czas, gdy siedzieliśmy tam, myślałam, że nazajutrz będziemy piec pierniki! Było to niemal równie przyjemne jak wieczór wigilijny.

Gdy tak w najlepsze kleiliśmy koszyczki, Lasse wybiegł do ogrodu i zapalił świeczkę, którą wstawiliśmy do latarni ze śniegu. Ach, jakże pięknie świeciła w ciemności latarnia! Gdy patrzyłam, jak stoi w ogrodzie i świeci, musiałam cały czas myśleć o tej piosence wigilijnej: „Stoi Gwiazdka u zaśnieżonych wrót, kołacze i mruga...” Wprost widziałam, jak stoi tam i mruga, zupełnie jak nasza latarnia ze śniegu.

– Biedny jesteś, dziadziusiu, że nie możesz zobaczyć naszej latarni – powiedziała Anna. – Może chcesz, żebyśmy ci coś zaśpiewali? – spytała.

Dziadziuś szalenie lubi, gdy mu śpiewamy. Więc zaśpiewaliśmy. Zaśpiewaliśmy właśnie tę samą piosenkę, o której myślałam: „Stoi Gwiazdka u zaśnieżonych wrót...”

– Czy nie uważasz, że to strasznie przyjemna rzecz Gwiazdka? – szepnęła Anna.

Odpowiedziałam, że tak. Bo tak uważam. Jest to najprzyjemniejsze ze wszystkiego, co znam. Jest nam wtedy – wszystkim dzieciom w Bullerbyn – tak wesoło! Wesoło jest nam zresztą często. I latem, i w zimie, i na wiosnę, i na jesieni. O, jak nam jest wesoło!

Część II
JEST JUŻ NAS SIĘDMIORO W BULLERBYN

KTO MIESZKA W BULLERBYN

Dzieci z Bullerbyn, jak sobie przypominacie, to Lasse, Bosse i ja, i Olle, i Britta, i Anna. To my jesteśmy dziećmi z Bullerbyn. Lasse, Bosse i ja mieszkamy w Zagrodzie Środkowej, Olle mieszka w Zagrodzie Południowej, a Britta i Anna w Zagrodzie Północnej. W Zagrodzie Północnej mieszka również dziadzius. Jasne, że tam mieszka, skoro jest dziadziusem Britty i Anny. Lecz my wszyscy w Bullerbyn nazywamy go dziadziusem, bo jest on jedynym dziadziusem, jakiego mamy. Mamuś i tatusiów mamy więcej. Chcę przez to powiedzieć, że jest jedna mamusia i jeden tatuś w Zagrodzie Północnej i jedna mamusia i jeden tatuś w Zagrodzie Środkowej, i jedna mamusia i jeden tatuś w Zagrodzie Południowej. No, bo jak by inaczej mogło być? Lecz poza tym w Bullerbyn nie ma już właściwie innych ludzi. Poza Agdą, która jest naszą służącą, i Oskarem, który jest u nas parobkiem, i Kallem, który jest parobkiem w Zagrodzie Północnej. Tak, lecz w Zagrodzie Południowej jest jeszcze jeden człowiek. Mały, malutki człowieczek. Jest nim mała siostrzyczka Ollego, która ma zaledwie parę miesięcy. Ponieważ jednak jest tak mała, że nie umie jeszcze ani mówić, ani chodzić, to nie jest chyba prawdziwym człowiekiem? Chociaż Olle uważa, że jego siostra jest bardziej godna uwagi od samego króla.

Teraz przypomniałam już wszystkich, którzy mieszkają w Bullerbyn. Nie wymieniłam tylko Svippa, który jest psem Ollego, ani naszych kotów: Malkolma, Mruczka i Puszka, ani też Albertyny, kury Bossego, ani też wszystkich naszych krów, koni, owiec, prosiaków i królików. Lecz nie są to przecież ludzie. Chociaż Lasse mówi, że Svipp jest niemal tak mądry jak człowiek, a o wiele mądrzejszy od każdej dziewczynki.

JAK OBCHODZIMY W BULLERBYN GWIAZDKĘ

Nie wiem, kiedy święta zaczynają się gdzie indziej, lecz dla nas, dzieci z Bullerbyn, Gwiazdka zaczyna się już tego dnia, gdy pieczemy pierniki. Wówczas jest równie wesoło jak w wieczór wigilijny. Lasse, Bosse i ja dostajemy po dużym kawałku ciasta na pierniki i możemy z niego piec, co chcemy. Wyobraźcie sobie, że gdy ostatnio mieliśmy piec pierniki, Lasse zapomniał o tym i pojechał z tatusiem do lasu po drewno! Dopiero w lesie przypomniał sobie, co to za dzień, i puścił się do domu takim pędem, że aż śnieg się za nim kurzył – tak mówił tatuś.

Bosse i ja zajęci byliśmy już wtedy na dobre pieczeniem. Właściwie to nieźle się złożyło, że Lasse przyszedł trochę później. Najlepsza foremka do pierniczków, jaką mamy, to mały prosiaczek, a gdy Lasse piecze z nami, to jest to prawie niemożliwe, byśmy my – Bosse i ja – mogli dostać prosiaczka. Tym razem jednak skorzystaliśmy z okazji i upiekliśmy każde z nas po dziesięć prosiaczków, zanim Lasse nadbiegł zdyszany z lasu. Och, jakże mu się śpieszyło, żeby nas dogonić z pieczeniem! Gdy już ukończyliśmy pieczenie, zgnetliśmy razem wszystkie obrzynki ciasta i upiekliśmy z tego ciastko, które miało być nagrodą w konkursie, urządzanym przez nas co roku. Po południu, gdy już wszystkie pierniczki były wyjęte z pieca, włożyliśmy trzysta dwadzieścia dwa ziarnka grochu do butelki i obeszliliśmy z nią wszystkie zagrody w Bullerbyn, i wszyscy musieli zgadywać, ile ziarenek grochu jest w butelce. Ten, kto odgadnie najlepiej, miał dostać ciastko w nagrodę.

Lasse niósł butelkę, Bosse – ciastko, ja zaś – notesik, w którym notowałam, ile kto zgadł. Ciastko wygrał dziadzius, z czego okropnie się ucieszyłam. Zgadł, że w butelce jest trzysta dwadzieścia ziarenek grochu, więc był najbliższy prawdy. Anna myślała, że jest w niej trzy tysiące ziarenek grochu, co przecież było najzupełniej głupie!

Następnego dnia po pieczeniu pierniczków było nam również bardzo wesoło, bo pojechaliśmy do lasu po choinki. Wszyscy tatusiowie jeżdżą razem ścinać choinki, no i my, dzieci, oczywiście też. Mamusie muszą siedzieć w domu i

gotować jedzenie, biedaczki! Wzięliśmy nasze duże sanie, którymi odwozimy mleko do mleczarni w Wielkiej Wsi. Lasse, Bosse, ja, Britta, Anna i Olle jechaliśmy saniami. Mój tatuś szedł obok i powoził, a tatuś Ollego i tatuś Britty i Anny szli z tyłu, śmiali się i rozmawiali tak samo, jak i my na sankach.

W lesie było tyle śniegu, że musieliśmy strząsać go z choinek, żeby zobaczyć, czy są ładne, czy nie. Ścieliśmy trzy duże świerki: jeden dla Zagrody Środkowej, jeden dla Północnej i jeden dla Południowej. Ścieliśmy również mały, maluśki świerczek, który miał stać w pokoju dziadziusia, i drugi malutki, który mieliśmy zanieść dla Kristin z Zagajnika.

Rankiem w dzień wigilijny obudziłam się bardzo wcześnie i pobiegłam do kuchni tylko w koszuli i – oj, jak tam było pięknie! Na podłodze leżały nowe gałgankowe chodniki, poręcz wokół pieca owinięta była białą, zieloną i czerwoną karbowaną bibułą, wielki, rozsuwany stół zasłany był świątecznym obrusem, a wszystkie miedziane rondle były świeżo wyczyszczone. Ucieszyłam się tak ogromnie, że uściskałam mamusię. Lasse i Bosse wpadli do kuchni zaraz po mnie, a Lasse powiedział, iż poczuł się jakoś świątecznie, gdy zobaczył nowe chodniczki.

Po południu w dzień wigilijny idziemy zwykle do Kristin z Zagajnika z całym koszykiem smakołyków, włożonych tam przez wszystkie mamy. Najpierw jednak idziemy do dziadziusia, to znaczy do dziadziusia Britty i Anny, i życzymy mu wesołych świąt, i przyglądamy się, jak Britta i Anna ubierają mu jego choinkę. Pomagamy im też trochę przy tym, chociaż Britta i Anna najbardziej lubią robić to same. Dziadzius nie widzi, co wieszamy na choince, ponieważ jest prawie niewidomy. Opowiadamy mu jednak wszystko, a wtedy mówi, że widzi to doskonale w głowie.

Gdy szliśmy do Kristin z Zagajnika, była przecudna pogoda. Taka właśnie, jaka powinna być w wieczór wigilijny. Do domu Kristin prowadzi mała dróżka, ale nie mogliśmy jej prawie dojrzeć, tyle było śniegu. Lasse niósł koszyk, a Bosse i Olle malutką choinkę. Britta, Anna i ja nie miałyśmy już nic do niesienia. Och, co to była za niespodzianka dla Kristin, że przyszliśmy! Chociaż z pewnością udawała tylko, bo wie przecież, że przychodzimy co roku. Lasse wyłożył wszystko, co było w koszyku, na stół, a Kristin kiwała tylko głową i mówiła:

– Ach, ach, ach, to za dużo, to za dużo!

Nie uważałam, żeby było za dużo, lecz w każdym razie było wszystkiego

dość. Duży kawałek szynki i kiełbasa, i ser świąteczny, i kawa, i pierniki, i świeczki, i cukierki, i już nie pamiętam, co jeszcze. Przymocowaliśmy świeczki na choince Kristin i potańczyliśmy trochę wokół drzewka, tak tylko, żeby się nieco wprawić przed wieczorem. Kristin tak była uradowana, że stała przez długi czas na progu i machała do nas ręką, gdy szliśmy do domu.

W domu Lasse, Bosse i ja ubraliśmy naszą choinkę. Tatuś też nam pomagał. Na strychu mieliśmy odłożone czerwone jabłka na choinkę, wzięliśmy też sporo pierniczków, które upiekliśmy sami. Do koszyczków, które kleiliśmy u dziadziusia, włożyliśmy rodzyunki i orzechy. Aniołki z waty, które mama miała na swojej choince, gdy była mała, poprzyczepialiśmy również. No i oczywiście moc chorągiewek, świeczek i cukierków. Ach, jakże była piękna nasza choinka!

Potem poszliśmy do kuchni i maczaliśmy sobie kawałki chleba w wielkim rondlu, w którym gotowała się kiełbasa i szynka. Ach, jakże to było doskonałe! A potem nie pozostawało już nic innego jak CZEKAĆ! Lasse powiedział, że te godziny po południu w dzień wigilijny, gdy się tylko chodzi i czeka, i czeka, to jest coś takiego, od czego ludzie siwieją. Czekaliśmy i czekaliśmy, i czekaliśmy, a ja od czasu do czasu podchodziłam do lustra, żeby zobaczyć, czy to prawda, że od tego można posiwieć. Lecz, dziwna rzecz, włosy moje były równie żółte jak zwykle. Bosse od czasu do czasu potrząsał zegarkiem, bo myślał, że stanął.

Gdy zrobiło się ciemno, nadszedł nareszcie czas, by pójść z naszymi prezentami do Zagrody Północnej i Południowej. Tego się nie robi, gdy jest jasno, bo wtedy nie byłoby to takie przyjemne. Lasse, Bosse i ja włożyliśmy czerwone czapeczki krasnoludków, a Lasse włożył również maskę krasnoludka. Miał ją włożyć później wieczorem przy Wigilii. (Ostatnio Lasse jest u nas Jultomte – krasnoludkiem wigilijnym. Kiedy byłam mała, wierzyłam w to, że takie krasnoludki istnieją naprawdę, lecz teraz już w to nie wierzę). Wzięliśmy ze sobą nasze paczki i wymknęliśmy się z domu. Na niebie było mnóstwo gwiazd. Gdy spojrzałam w stronę ciemnego lasu, pomyślałam sobie, że może jednak mieszka tam prawdziwy Jultomte, który wkrótce zajedzie saneczkami z całą masą prezentów. Bardzo chciałam, aby tak było.

W sieni Zagrody Północnej było zupełnie ciemno, zastukaliśmy do drzwi i wrzuciliśmy do kuchni nasze paczki z prezentami. Wówczas wybiegły Britta i Anna i powiedziały, że musimy wejść i spróbować ich ciast świątecznych i

łakoci. Tak też zrobiliśmy. My również dostaliśmy paczki z prezentami gwiazdkowymi. Potem Britta i Anna włożyły maski krasnoludków i poszliśmy wszyscy razem do Ollego do Zagrody Południowej. Olle siedział w kuchni i również czekał. Svipp zaczął przeraźliwie szczeakać, gdy nagle zobaczył pięciu krasnoludków. Olle też nałożył sobie maskę krasnoludka, po czym wybiegliśmy wszyscy na dwór. Bawiliśmy się, że jesteśmy prawdziwymi krasnoludkami i że przynosimy ludziom prezenty.

W końcu jednak nadszedł nareszcie wieczór wigilijny i jedliśmy kolację przy rozsuwanym, świątecznym stole w kuchni. Na stole paliły się świece i stała masa jedzenia, ale ja jadłam niemal wyłącznie szynkę. No i oczywiście kaszę. Bo chciałam znaleźć migdał. Lecz nie znalazłam.

Jest u nas parobek, który nazywa się Oskar. Oskar bardzo lubi naszą służącą Agdę. Ten, kto znajdzie migdał w swojej kaszy, na pewno ożeni się w ciągu następnego roku. I wyobraźcie sobie, że migdał był przepołowiony, a Oskar i Agda znaleźli w kaszy po pół migdała. Och, jakże śmieliśmy się i Lasse, i Bosse, i ja! Agda rozzłościła się i powiedziała, że to wszystko na pewno jest sprawką dzieciaków. Lecz co myśmy mogli na to poradzić, że migdał się przepołowił! Potem Lasse ułożył taki wierszyk o kaszy i migdale:

*Migdał pękł, więc będzie para,
Agda wyjdzie za Oskara!*

Prawda, że świetnie to wymyślił? Lecz Agda nie była tego zdania. Chociaż później trochę się rozweseliła, gdy wszyscy pomogliśmy jej wytrzeć naczynia. Uwijaliśmy się przy tym bardzo, bo później miało już być rozdawanie prezentów.

Gdy nareszcie weszliśmy do pokoju, choinka była zapalona, a na stole paliły się świece. Dostałam gęziej skórki jak zawsze, kiedy jest tak ładnie i przejmująco. Tatuś przeczytał o Dzieciątku Jezus z Biblii. A ja powiedziałam bardzo ładny wierszyk, który zaczyna się tak: „Ty, mały, śliczny Jezusku, co leżysz na słomie...” W wierszu tym powiedziane jest, że właściwie to Jezus powinien dostawać całą masę prezentów i tort. Ja też tak sądzę. A zamiast tego my dostajemy prezenty. Gdy my, dzieci, śpiewaliśmy: „Gdy zabłyśnie świąteczny poranek”, Lasse wymknął się i po chwili przyszedł przebrany za krasnoludka z dużym workiem na plecach.

– Czy tu są grzeczne dzieci? – zapytał.

– Tak, jest dwoje – odpowiedział Bosse. – Jest tu też jeden urwipoleć, który nazywa się Lasse. Chociaż w tej chwili właśnie go nie ma, bo zdaje się, że gdzieś wyszedł.

– Słyszałem o nim dużo – odpowiedział Jultomte. – Jest to najlepszy chłopiec ze wszystkich w tym kraju. Dostanie więc więcej prezentów od innych.

Nie dostał jednak więcej prezentów, gdyż dostaliśmy wszyscy jednakowo. Ja dostałam nową lalkę i trzy książki, i wesołą grę, i materiał na sukienkę, i rękawiczki, i różne inne rzeczy. Razem dostałam piętnaście prezentów. Dla mamusi wyszyłam krzyżykami serwetkę. Okropnie się ucieszyła. Tatusiowi kupiłam kalendarz. Też bardzo się ucieszył. Lubię, gdy ludzie się cieszą, jak dostają prezenty! Jest to równie przyjemne, jak gdy się samemu dostaje prezent. Lassem i i Bossemu podarowałam duże pudełko ołowianych żołnierzy.

Potem tańczyliśmy wokół choinki, a wszyscy z Zagrody Północnej i Południowej przyszli, by nam w tym pomóc. Dziadzius też przyszedł, chociaż nie mógł tańczyć. Zdaje się, że tańczyliśmy „I znowu jest Gwiazdka” i „Koś, koś owies” co najmniej dwadzieścia razy.

Potem ułożyłam wszystkie prezenty na stoliku koło mego łóżka, bym je mogła zobaczyć od razu, jak się obudzę.

Ach, jak to przyjemnie, gdy jest Gwiazdka! Właściwie szkoda, że nie bywa ona trochę częściej.

JEŹDZIMY NA SANECZKACH

Bullerbyn jest położone tak wysoko, że gdy idziemy do Wielkiej Wsi do szkoły lub do sklepu, droga cały prawie czas prowadzi z góry. Ale gdy wracamy do domu, musimy oczywiście iść pod górę. Lasse mówi, że kiedy będzie duży i zostanie inżynierem, to wynajdzie taki pagórek, który będzie się obracał tak, że nigdy nie będzie się potrzebowało iść pod górę.

Te pagórki na drodze z Bullerbyn do Wielkiej Wsi są najlepszymi pagórkami, jakie można sobie wymarzyć do jazdy na saneczkach. Przez całe ferie świąteczne zjeżdżamy stamtąd na saneczkach.

W tym roku, po drugim dniu świąt, gdy już przeczytaliśmy wszystkie książki, jakie dostaliśmy na Gwiazdkę, i gdy zjedliśmy wszystkie pierniki, Lasse wydobył nasze duże sanki do wożenia drewna i – wio! – zaczęliśmy zjeżdżać z pagórków – wszystkie dzieci z Bullerbyn. Lasse kierował.

– Na bok! Uwaga! – krzyčeliśmy wszyscy naraz, jak mogliśmy najgłośniej, chociaż było to niepotrzebne, gdyż bardzo rzadko się zdarza, by ktoś jeździł po naszych pagórkach. Wesóło jednak było tak krzyčać, gdy mknęliśmy jak wiatr. Dość kłopotliwe było wdrapywanie się z powrotem aż do Bullerbyn i Lasse cały czas opowiadał o tym pagórku, który wymyśli i który będzie się sam obracał.

– Czy nie możesz go wymyślić zaraz? – spytał Bosse.

Lecz Lasse odpowiedział, że do takiego pagórka potrzeba będzie tyle prochu, dynamitu, kółek i śrubek, że potrwa to co najmniej z dziesięć lat, aż będzie gotów. Tak długo nie mogliśmy przecież czekać.

Gdy w końcu wciągnęliśmy sanki na wszystkie pagórki i gdy już znowu mieliśmy usiąść na nich przed naszą stodołą, wyszli z niej tatuś i tatuś Ollego, i tatuś Britty i Anny. A tatuś zapytał:

– Słuchajcie, dzieciaki, czy nie moglibyście nam na chwilkę pożyczyć saneczek?

I usiadł na sankach, a to samo zrobił wujek Erik i wujek Nils. I pomknęli w dół.

Czekaliśmy. Lecz gdy wrócili z powrotem, chcieli pożyczyć sanek jeszcze raz, bo tak przyjemnie było im jeździć. Ci dorośli są doprawdy dziecinni!

Wówczas poszliśmy do Zagrody Północnej po sanki do wożenia drewna i pojechaliśmy za tatusiami. Gdy dojechaliśmy do połowy pierwszego pagórka, zobaczyliśmy, że leżą w zaspie i zaśmiewają się tak, że nie mają siły wstać.

– Jak ty kierujesz, Eriku? – powiedział tatuś. Zupełnie nie można im było odebrać sanek. Jeździli i jeździli, i jeździli, aż przyszła mama Britty i Anny i poprosiła, żeby wujek Erik przyszedł do domu narąbać trochę drewna.

– Nigdy nie można mieć żadnej przyjemności – narzekał wujek Erik śmiejąc się i otrzepując ze śniegu.

Gdy znów zostaliśmy sami, urządziliśmy wyścigi. Britta, Anna i ja miałyśmy sanki z Zagrody Północnej, a Lasse, Bosse i Olle – sanki z Zagrody Środkowej. Bawiliśmy się, że są to statki wikingów, którzy żeglują po morzu.

Lasse nazwał sanki chłopców „Długim Wężem”, a my nazwałyśmy nasze „Złotą Różą”, chociaż Lasse orzekł, że nie mogłyśmy wymyślić głupszej nazwy dla statku wikingów.

– To zupełnie wszystko jedno, byle tylko ładnie brzmiało – odpowiedziałyśmy. Bo skoro już raz ochrzciłyśmy nasz statek, to nie chciałyśmy zmieniać nazwy tylko dlatego, że Lasse uważał, że jest głupia.

Wyścigi na sankach były szalenie emocjonujące. „Długi Wąż” i „Złota Róża” jechały cały czas tuż obok siebie. Chłopcy krzyčili wciąż:

*Złota Różyczko, wolnego!
Bo fikniesz nosem do śniegu!*

Tymczasem jednak „Długi Wąż” żeglował tak, że fiknął koziółka i wjechał prosto w zaspę śnieżną. „Złota Róża” dojechała za to ślicznie aż do dużego świerka przy końcu drugiego pagórka, gdzie była meta.

– Taki los spotyka zarozumiałców – powiedziała potem Britta do Lassego.

Ale Bosse uderzył się o korzeń drzewa i miał dużego guza na czole, więc daliśmy spokój z saneczkowaniem. Zrobiło się zresztą zupełnie ciemno i strasznie nam się chciało jeść. Poszliśmy więc do domu.

CZUWAMY DO PÓŁNOCY W NOC SYLWESTROWĄ

Gdy rano w przeddzień Nowego Roku siedziałam w kuchni i jadłam kaszę, wpadły Britta i Anna. Wyglądały na bardzo przejęte.

– Liso, czy będziesz z nami czuwała aż do północy, gdy zacznie się Nowy Rok? – spytała Britta.

– O tak, bardzo bym chciała – odpowiedziałam. – Lecz najpierw muszę spytać mamusię, czy mi pozwoli nie spać do dwunastej w nocy.

Pozwoliła. Wtedy postanowiliśmy zaraz, że będziemy czuwały w moim pokoju. Mamusia powiedziała, że dostaniemy jabłek i orzechów, i soku jeżynowego i że możemy sobie urządzić małą ucztę.

Zaraz potem przyszli Lasse i Bosse, a wtedy pochwaliłam się:

– Britta, Anna i ja będziemy dziś spotykały Nowy Rok!

A Lasse na to:

– Bosse, Olle i ja też będziemy spotykać Nowy Rok. Już dawno to postanowiliśmy!

Jestem jednak zupełnie pewna, że wpadli na ten pomysł dopiero teraz i że chłopcy chcą spotykać Nowy Rok tylko dlatego, że my mamy ten zamiar.

Pobiegłyśmy do dziadziusia zapytać, czy chce z nami spotykać Nowy Rok, lecz dziadzius powiedział, iż wieczorami jest bardzo śpiący. Dziadzius jest taki dobry, taki dobry! Poszedł do swojej szafy, wyjął z niej całą masę kawałeczków ołowiu i dał nam, mówiąc:

– Co by to było za spotkanie Nowego Roku bez topienia ołowiu!

Opowiedział nam, jak można się dowiedzieć, co zdarzy się w nadchodzącym roku. Trzeba stopić ołów i wlać go do zimnej wody. Jeżeli stopiony ołów będzie wyglądał na przykład jak moneta, to ma to znaczyć, że w nowym roku będzie się miało dużo pieniędzy. Pożyczył nam również mały czerpaczek, jakiego zwykle używają chłopcy, gdy odlewają u dziadziusia ołowianych żołnierzy.

Chłopcom nie powiedziałyśmy, że mamy od dziadziusia ołów.

Ach, jak wesoło było tego wieczoru. Sprzątnęłam ślicznie mój pokój, wyrzuciłam na dwór i wytrzepałam wszystkie dywaniki, starałam kurze i

przyniosłam sobie śliczny lichtarz z pięcioma świecami. Postawiłam go na środku stołu. Dokoła poustawiałam: miskę z jabłkami, dzbanek z sokiem jeżynowym i talerz z orzechami. Gdy Britta i Anna przyszły, świece paliły się już pięknie w świeczniku, a w piecu buzował ogień.

– Spotykanie Nowego Roku to jest coś, za czym przepadam – powiedziała Anna.

Lasse, Bosse i Olle czuwali w pokoju chłopców.

Pomiędzy ich pokojem a moim jest duży ciemny strych. Właśnie gdy rozpoczęliśmy czuwanie, usłyszałyśmy jakieś kroki skradające się cicho na strychu. Po chwili rozległ się przeraźliwy huk, lecz nie zwróciłyśmy na to specjalnej uwagi, ponieważ wiedziałyśmy, że to chłopcy chcą wywabić nas na strych. A żabki Lassego słyszałyśmy już przedtem.

Później jednak nic więcej się nie zdarzyło i wtedy ogarnęła nas okropna ciekawość.

Zaczęłyśmy wyglądać przez dziurkę od klucza w moim pokoju. Na strychu było zupełnie cicho i ciemno. Wówczas postanowiłyśmy zakraść się przez strych i zajrzeć przez dziurkę od klucza do pokoju chłopców, co oni tam robią.

– Nic nie widzę – szepnęła Britta, która zajrzała pierwsza. – Ich tam wcale nie ma.

– Nie zdziwiłoby mnie to wcale, gdyby posnęli i zapomnieli o wszystkim – dodała Anna.

– Tak, piękne spotkanie Nowego Roku, nie ma co – powiedziałam.

– Chodźcie, weźmiemy jedną z żabek Lassego i obudzimy ich!

– Bach! – huknęło tuż za nami, aż podskoczyłyśmy ze strachu.

– Ha! Te łobuzy ukryły się gdzieś na strychu! – krzyknęła Britta.

Pobiegłam do pokoju po latarkę kieszonkową i zaczęłyśmy świecić po wszystkich kątach, za wszystkimi skrzyniami i stosami starej odzieży. Lecz chłopców nigdzie nie było.

– To wprost nie do uwierzenia – powiedziała Britta.

– Bach! – huknęło znów tuż za nami. Była to znów żabka. Byłyśmy prawie przekonane, że coś straszy.

– Poczekajcie! Niech tylko Lasse dostanie się w moje ręce – rozzłościła się Britta. – Dam mu tak, że popamięta.

– Zrób to, bardzo cię proszę! – usłyszałyśmy głos Lassego gdzieś nad naszymi głowami.

Wysoko na belkach, pod dachem, stali Lasse, Bosse i Olle. Byłyśmy złe jak

nie wiem co.

– Jak wam idzie z waszym głupim czuwaniem? – spytał Lasse.

– Dziękujemy, doskonale – odpowiedziałyśmy. – Zaraz będziemy lały ołów, żeby się dowiedzieć, co zdarzy się w przyszłym roku!

Wtedy zaciekawili się tak, że trudno to opisać. Poszli z nami do mojego pokoju, a gdy zobaczyli, jak lam mamy pięknie – i świece, i ogień na kominku, postanowili przenieść się do nas.

Bosse pobiegł po ich jabłka i orzechy, i sok jeżynowy.

Potem topiliśmy ołów w czerpaku nad ogniem i każde z nas nalało trochę ołowiu do wody w mojej miednicy. Pierwszy lał Lasse. Gdy jego ołów stęzał, wyjął go i oglądał dokładnie.

– Wygląda na to, że zostanę królem. Bo to przecież jest królewska korona – powiedział.

– Cha, cha! – śmiała się Anna. – Przecież to jest książka. To ma znaczyć, że w przyszłym roku będziesz chodził do szkoły!

Mój stopiony ołów wyglądał jakoś dziwnie.

– Ja uważam, że to wygląda jak rower – powiedział Olle.

Ucieszyłam się okropnie, bo przecież ja strasznie chcę mieć rower!

Gdy już wszyscy stopili swój ołów, usiedliśmy na podłodze przed ogniem i opowiadaliśmy sobie bajki. Uważam, że Britta bardzo dobrze umie opowiadać bajki. Zjedliśmy przy tym sporo jabłek i orzechów i piliśmy sok jeżynowy. Potem graliśmy w orzechy. To było tak:

Najpierw Britta powiedziała:

– Raz, dwa, trzy, zaczynamy!

A wtedy Anna dodała:

– Już na strych wybiegamy!

A Britta zapytała:

– Ilu chłopców zabierasz ze sobą?

– Pięciu! – odparła Anna.

Ponieważ zaś Britta miała akurat pięć orzechów w ręku, więc musiała je oddać Annie, bo Anna wygrała orzechy. Annie tak świetnie szło, że gdy skończyliśmy, miała dwa razy więcej orzechów niż my wszyscy.

W pewnej chwili Bosse zaczął przeraźliwie ziewać. W końcu powiedział, że położy się na moim łóżku i tam będzie czuwał. Tak też zrobił. Nie upłynęły jednak dwie minuty, a już usnął. Mamusia i tatuś przyszli do nas na górę i powiedzieli nam dobranoc, bo nie mieli zamiaru spotykać Nowego Roku.

Spytaliśmy się Lassego, która godzina.

– Wpół do jedenastej – powiedział Lasse.

„Noc sylwestrowa jest na pewno dłuższa od innych” – pomyślałam. Myślałam też, że dwunasta nigdy nie wybije. W końcu jednak wybiła.

Próbowaliśmy obudzić Bossego, lecz było to zupełnie niemożliwe. Zgasiliśmy świece, stanęliśmy przy oknie i wyglądaliśmy w ciemną noc, by zobaczyć, czy nie nadjeżdża czasem Nowy Rok. Nie zobaczyliśmy jednak nic. Potem napiliśmy się soku jeżynowego i krzyczeliśmy:

– Niech żyje Nowy Rok!

Postanowiliśmy też czuwać co roku w noc sylwestrową, gdyż jest to bardzo przyjemne.

W końcu nie pragnęłam niczego tak bardzo, jak położyć się spać. Lecz Bosse leżał przecież w moim łóżku. Wzięliśmy go wszyscy za ręce i nogi i zawlekliśmy do jego własnego łóżka. Mimo to nie obudził się wcale. Lasse rozebrał go i włożył mu nocną koszulę. Na włosach zawiązał mu jedną z moich wstążek.

– Niech tak zostanie – powiedział – jutro Bosse zobaczy, że bawił się wesoło w noc sylwestrową.

JEDZIEMY Z WIZYTĄ DO CIOCI JENNY

Najprzyjemniejszą rzeczą w ciągu całych ferii świątecznych była wizyta u cioci Jenny. Ciocia Jenny mieszka w zagrodzie, która położona jest daleko, za Wielką Wsią. My, wszyscy z Bullerbyn, zaproszeni byliśmy do niej na niedzielę po świętach. Aby tam dojechać, musieliśmy jechać przez wiele, wiele godzin saniami.

Mama obudziła nas bardzo wcześnie i włożyła na nas całą masę swetrów i szalików. Byłam przekonana, że się uduszę, zanim dojadę na to przyjęcie, a mama przyszła jeszcze z dodatkowym szalem, którym chciała mi owinąć głowę. Wówczas powiedziałam, że jeśli mam jechać do cioci Jenny po to, żeby robić z siebie widowisko, to wolę nie jechać wcale.

Jechaliśmy w naszych wiklinowych saniach. Tatuś siedział na koźle i powoził. Na nogach miał wielkie, słomiane buty, żeby nie zmarznąć.

Nasze sanie jechały pierwsze, za nimi sanie z Zagrody Południowej, a za nimi sanie z Zagrody Północnej. Ach, jak pięknie dzwoniły dzwoneczki! Cieszyliśmy się tak bardzo, że zaczęliśmy śpiewać, lecz mama powiedziała, żebyśmy przestali, bo nałykamy się za dużo zimnego powietrza. Wołaliśmy jednak co chwilę do Ollego, który jechał w saniach za nami, a on powtarzał to dalej Britcie i Annie.

– Jeśli dostaniemy sałatkę śledziową, to wracam do domu! – krzyknął Lasse.

– Ja też! – krzyczał Olle.

Potem musiał powtórzyć Britcie i Annie, co krzyczeliśmy do siebie. Po chwili Olle krzyknął nam, że Britta i Anna też mają zamiar wrócić, jeśli nam dadzą sałatkę śledziową.

Ale nie wróciliśmy do domu, chociaż dostaliśmy sałatkę śledziową. Dostaliśmy takie mnóstwo innego pysznego jedzenia, że można było nie jeść sałatki.

Ciocia Jenny ma trzy córeczki, a poza tym na przyjęciu było mnóstwo innych dzieci. Przez cały dzień bawiliśmy się w dużym pokoju na piętrze, z

wyjątkiem tych chwil, kiedy nam kazano jeść. W końcu obrzydło nam to ciągle jedzenie, bo ledwie zaczęliśmy się na dobre bawić, przychodziła ciocia i mówiła, że teraz musimy zejść na dół, żeby jeszcze coś zjeść. Dorośli nie robią nic innego, gdy są do kogoś zaproszeni, tylko jedzą.

Najstarsza córka cioci Jenny nazywa się Nanna. Bawiliśmy się, że Nanna jest czarownicą, która mieszka w sieni tuż obok pokoju.

Sień była na niby jej domkiem, a pokój dużym lasem. Właśnie w chwili gdy chodziliśmy po lesie i zbierali jagody, czarownica wypadła ze swego domku i złapała nas. Och, jak okropnie się bałam! Wiedziałam przecież, że to tylko Nanna, ale bałam się tak bardzo, jak gdyby była prawdziwą czarownicą. W sieni stała duża skrzynia i bawiliśmy się, że to jest piec czarownicy. Wsadziła Lassego do pieca, żeby go upiec, ale na szczęście udało mu się uciec w ostatniej chwili.

– Chociaż wciąż jeszcze pachnę trochę spalenizną – mówił Lasse.

Czasami czarownica wybiegała ze swego domku krzycząc:

– Woda, roślina, kamień!

Wtedy wszyscy musieli stanąć i nie wolno było nawet drgnąć. Raz, gdy czarownica zawołała: „Woda, roślina, kamień!”, Lasse wyglądał strasznie głupio. Stał na jednej nodze, miał wyciągnięty język, trzymał się rękoma za uszy i patrzył zezem.

Zmuszony był stać i wyglądać głupio tak długo, aż czarownica przyszła i odczarowała go. Ach, jak śmieliśmy się z niego!

Dziewczynki cioci Jenny mają prześliczny domek dla lalek. Stoi on w rogu pokoju. Anna i ja nie mogłyśmy wytrzymać, by od czasu do czasu nie podejść i nie popatrzeć na ten domek. Miał kuchnię i jadalny, i sypialny, i salon, a mieszkała tam bardzo wytworna rodzina lalek. Nanna powiedziała, że oni się nazywają hrabia i hrabina Gyllenmurkla – to znaczy Złotopleśniccy. Mają małą, śliczną dziewczynką, która siedzi na foteliku w salonie. Nazywa się Izabella Gyllenmurkla.

Gdy dorośli nareszcie się najedli, przyszli do nas i bawili się razem z nami. Tatuś Ollego był ciuciubabką. Oczy miał zawiązane dużą kraciastą chustką. Biegaliśmy i chwytaaliśmy go za marynarkę tak często, jak tylko się dało. Potem graliśmy w fanty. Dałam swoje małe, złote serduszko jako fant. Gdy wykupywaliśmy fanty, wypadło na mnie, że muszę fiknąć trzy koziołki. Dopiero gdy to zrobiłam, dostałam z powrotem moje złote serduszko. Olle zaś musiał głośno krzyknąć w głąb pieca imię swojej ukochanej. Wyobraźcie

sobie, że krzyknął „Lisa”. Lasse zaczął się śmiać, a ja wstydziłam się okropnie. Olle zrobił przebiegłą minę i powiedział do mnie:

– Rozumiesz chyba, że miałem na myśli moją mamę. Mama ma przecież też na imię Lisa.

Tatuś musiał skakać na jednej nodze przez cały pokój. Ach, jak śmieliśmy się z niego! Nigdy przedtem nie widziałam, żeby tatuś skakał na jednej nodze.

Najgorsza jednak rzecz spotkała ciocię Jenny. Musiała wejść na stół, stanąć na jednej nodze i zapiąć jak kogut. Nie chciała jednak tego zrobić.

– Coś podobnego! – powiedziała. – Przecież ten stół nie utrzyma starej, grubej kobiety!

Zdaje mi się, że miała rację. Bo ciocia Jenny waży prawie sto kilo.

Bawiliśmy się długo i było nam bardzo wesoło. Anna i ja wymykałyśmy się tylko od czasu do czasu, żeby popatrzeć na domek lalek i Izabellę Złotopleśnicką.

Najprzyjemniejszą rzeczą z całej wizyty u cioci Jenny było to, że mieliśmy tam zostać na noc. Strasznie lubię spać w obcym domu. Wszystko wydaje się takie niezwykle i dziwne. Zapach też jest zupełnie inny niż we własnym domu. Było nas czternaścioro dzieci. Wszyscy mieliśmy spać rzędem na podłodze w tym pokoju, w którym bawiliśmy się. Ach, jak wesoło było spać na podłodze! Mieliśmy sienniki, ale nie mieliśmy prześcieradeł, tylko koce. Gdy już wszyscy leżeliśmy, przyszli dorośli, żeby nas zobaczyć.

– Tu leży młoda Szwecja – metr za metrem – powiedział tatuś.

Potem wszyscy wyszli, bo chodziło o to, żebyśmy spali. Jest to jednak zupełnie niemożliwe, żeby czternaścioro dzieci umilkło jednocześnie. Nanna opowiedziała nam o wielkim skarbie, który pewien rycerz dawno, dawno temu zakopał w pobliżu. Lasse chciał wstać i wykopać go jeszcze tej samej nocy. Lecz Nanna powiedziała, że nikt nie może znaleźć tego skarbu, gdyż jest on zaczarowany. Wtedy zasnęłam.

Do domu pojechaliśmy dopiero następnego dnia po południu. Zanim przyjechaliśmy do Bullerbyn, było już zupełnie ciemno. Nie krzyczeliśmy już do siebie w drodze powrotnej, gdyż byliśmy bardzo zmęczeni. Położyłam się w saniach na plecach i patrzyłam w gwiazdy. Było ich tyle, tyle i były tak daleko! Wsunęłam się głębiej w futrzane derki i śpiewałam cichutko sama do siebie, tak żeby Lasse i Bosse nie mogli tego słyszeć:

Mrugaj, mrugaj, gwiazdko mała,

Gdzie jesteś, wiedzieć bym chciała.

Mam nadzieję, że na przyszły rok znów pojedziemy do cioci Jenny!

LASSE WPADA DO JEZIORA

Biegając na przełaj przez pastwisko Zagrody Północnej dobiega się do małego jeziorka. Tam to właśnie jeździmy na łyżwach w zimie. W tym roku na jeziorze był przepyszny błyszczący lód. Pewnego dnia mama nie chciała, żebyśmy szli na jezioro, bo tatuś i wujaszek Erik wyrabiali na nim dużą przerębłę. Brali stamtąd lód do naszej lodowni.

– Będziemy przecież widzieli gałęzie jałowca, które powtykali dokoła przerębli – powiedziałam wtedy.

Mamusia w końcu pozwoliła nam iść.

Lasse jest czasem strasznie głupi. Najczęściej wtedy, kiedy chce się czymś popisać. Tym razem też tak było. Zaczął jeździć tak blisko przerębli, jak tylko mógł.

– Uwaga! Jedzie słynny łyżwiarz z Bullerbyn! – krzyczał i jechał prosto na przerębłę, skręcając dopiero w ostatniej chwili.

– Lasse, nie wariuj! – wołał Olle.

Wymyślaliśmy Lassemu wszyscy, ale nic nie pomagało. Zaczął robić pętlę i zakrętasę dokoła przerębli. Czasami jechał tyłem.

– Oto nadjeżdża dumny łyżwiarz z Bullerbyn! – krzyczał znowu.

I nagle – plusk! Wjechał tyłem prosto do przerębli, gdyż zapędził się zbyt daleko. Zaczęliśmy krzyczeć. Lasse krzyczał najgłośniej. Przestraszyliśmy się okropnie, bo myśleliśmy, że Lasse utonie. Położyliśmy się na lodzie długim rzędem, trzymając jedno drugie za nogi. Bosse leżał na samym przodzie przy przerębli, a my trzymaliśmy go z całej, całej siły za nogi. Wtedy Bosse wyciągnął Lassego z przerębli i pobiegliśmy do domu, ile było sił w nogach. Lasse płakał prawie, ale niezupełnie.

– Pomyśl, jak wróciłbyś do domu, gdybyś był utopiony? – spytał Bosse.

– Nie mówi się „był utopiony” – powiedział Lasse ze złością, chociaż na pewno bardzo lubił Bossego za to, że go wyciągnął. Bo trochę później, po południu, dał Bossemu dużo ołowianych żołnierzy.

Mamusia była porządnie zagniewana na Lassego za to, że wpadł do

przerębli. Musiał położyć się i wypić gorącego mleka, żeby się rozgrzać. Potem musiał leżeć przez parę godzin. Żeby rozmyślać o swoich sprawkach, jak powiedziała mama. Wtedy to dał Bossemu swoich ołowianych żołnierzy.

Wieczorem budowaliśmy fortecę ze śniegu i bawiliśmy się w wojnę na kule śnieżne, a Lasse był z nami, oczywiście. Britta, Anna i ja miałyśmy swoją fortecę, a chłopcy swoją. Chłopcy robią zawsze strasznie twarde kule ze śniegu i rzucają bardzo mocno. Uważam, że to jest niesprawiedliwe. Rzucili się w stronę naszej fortecy z rękoma pełnymi śniegu, a Lasse krzyczał:

– Walka i zwycięstwo! Szturmuje Postrach Północy!

– A ja myślałam, że to wielki łyżwiarz z Bullerbyn – powiedziała Britta.

Na to Lasse umilkł i nie odzywał się przez dłuższy czas. Chłopcy zdobyli naszą fortecę i wzięli nas do niewoli i kazali nam siedzieć i robić kule ze śniegu, bo w przeciwnym razie miałyśmy zginąć marną śmiercią.

– Na co wam tyle kul ze śniegu? – spytała Anna.

– Schowamy je sobie na Świętego Jana, bo wtedy trudno jest o nie – powiedział Lasse.

– Ech, wskocz lepiej jeszcze raz do przerębli – powiedziała Anna.

Później Britta, Anna i ja poszłyśmy do obory, aby się ogrzać. W oborze jest zawsze ciepło i miło. Bawiłyśmy się w berka. Niedługo i chłopcy przyłączyli się do nas. Krowy gapiły się na nas. Nie wydaje mi się, żeby krowy rozumiały, po co się bawi w berka. Gdy się nad tym zastanawiam, to też tego nie rozumiem. Ale jest to w każdym razie bardzo wesoła zabawa.

Zaraz potem przyszedł tatuś. Powiedział, że nie wolno nam się tutaj bawić, bo jedna z krów ma mieć małego cielaczka. Więc nie wolno hałasować. To Lotta miała mieć cielaczka. Siedzieliśmy cichutko w kącie obory. Tatuś musiał pomóc cielaczkowi wydostać się na świat. Był to mały byczek i był taki milutki! Lotta lizała go i widać było, że jest bardzo zadowolona. Tatuś chciał, żebyśmy mu pomogli wymyślić imię dla cielaczka.

– Postrach Północy! – zaproponował Lasse.

Nie mógł wymyślić nic innego jak swój głupi Postrach Północy. Takie głupie imię dla słodkiego, malutkiego cielaczka!

– Przecież może zostać złym, niebezpiecznym bykiem, gdy dorośnie – powiedział Lasse.

Olle zaproponował, żeby cielaczek nazywał się Petter, a tatuś uznał, że to dobre imię.

– Mógłby przynajmniej nazywać się Petter Północy – powiedział Lasse.

Pobiegliśmy potem do dziadziusia, by mu powiedzieć, że Lotta ma cielaczka. A później trzeba już było iść spać. Gdy Lasse, Bosse i ja staliśmy na strychu i gdy miałam już wejść do mojego pokoju, Lasse powiedział:

- Ho, ho, tak, tak – w każdym razie to szczęście, że nie jestem utopiony!
- Radzę ci, wskocz jeszcze raz do przerębli – powiedział Bosse.

IDZIEMY DO SZKOŁY I ŻARTUJEMY RAZEM Z PANIĄ

Gdy ferie świąteczne się skończyły, drogi były nadal tak dobre, że mogliśmy jeździć do szkoły na sparkach^[6]. Mieliśmy trzy sparki. Czasem szepialiśmy je w jedne długie sanie z kilkoma miejscami siedzącymi.

Pani powiedziała, że bardzo się cieszy, że znowu nas widzi. Ja też się ucieszyłam, gdy zobaczyłam panią. Jest taka dobra... Poczęstowała wszystkie dzieci cukierkami, ponieważ był to pierwszy dzień szkoły. Te cukierki były kupione w Sztokholmie. Pani była tam przez święta. Po raz pierwszy w życiu jadłam cukierki kupione w Sztokholmie.

Przyjemnie było również zobaczyć znów wszystkie dzieci z Wielkiej Wsi. Na przerwach wymieniamy z nimi zawsze zakładki do książek. Chłopcy tego nie robią, oczywiście. W naszej klasie jest dziewczynka, która nazywa się Anna Greta. Ma bardzo dużo zakładek do książek. Na pierwszej przerwie po feriach świątecznych zamieniłam się z nią. Dostała ode mnie zakładkę z koszem kwiatów i drugą z krasnoludkiem, a ja dostałam od niej z księżniczką. Była to chyba najładniejsza zakładka, jaką kiedykolwiek widziałam. Uważam więc, że nie straciłam na tej zamianie.

W zimie chłopcy urządzają często wojnę na kule śnieżne. Na wiosnę grają w kulki. Wtedy my gramy w klasy. Gdy chłopcy nie mają nic lepszego do roboty, wówczas się biją. Podczas lekcji robią też masę zamieszania, czy to latem, czy zimą. Pani mówi, że chłopców chyba swędzą palce i dlatego nie mogą powstrzymać się od różnych psot. Zdaje mi się, że palce muszą szczególnie swędzieć Lassego. Zgadnijcie, co raz zrobił? Dostał od Bossego na Gwiazdkę małego, śmiesznego prosiaczka z gumy, którego można było nadmuchać. Gdy się potem wypuszczało powietrze, prosiaczek pisał przeraźliwie i głośno.

Pewnego dnia Lasse wziął ze sobą prosiaczka do szkoły. Lasse nie chodzi do tej samej klasy co ja, ale ponieważ w całej szkole jest tylko dwadzieścia troje dzieci, siedzimy w tej samej klasie i klasa jest tylko jedna. I tylko jedna pani.

Dlatego też wiem, jak było z prosiaczkiem. Nasza klasa miała właśnie czytanie. Uważam, że to najprzyjemniejszy przedmiot. Była moja kolej, więc zaczęłam czytać o królu Gustawie Wazie.

„Wtedy król wybuchnął płaczem” – czytałam. Ledwo zdążyłam to wymówić, dał się słyszeć przeraźliwy żalony pisk, tak że można było niemal sądzić, że sam Gustaw Waza tak zapiszczał. Nie był to jednak on. Był to prosiaczek, który stał pod ławką Lassego. Lasse wsadził bowiem rękę pod ławkę i wyjął korek z ogonka prosiaczka, żeby powietrze mogło ujść. Wszystkie dzieci chichotały, a pani też tak wyglądała, jak gdyby chciała się roześmiać, lecz nie zrobiła tego. Lasse musiał stać w kącie do końca lekcji. Prosiaczek też.

Nie tylko Lasse bywa nieznośny. Wszyscy chłopcy są mniej więcej tacy sami. Pewnego razu pani miała wyjść na zebranie, my zaś mieliśmy siedzieć sami, liczyć i rysować. Pani powiedziała Britcie, żeby usiadła na katedrze i zastępowała panią. Bo Britta bardzo dobrze się uczy. Ledwo pani zniknęła za drzwiami, a już chłopcy zaczęli się awanturować.

– Proszę pani! Proszę pani! – wołali i machali rękoma do Britty.

– Czego chcecie? – spytała Britta.

– Chcemy wyjść! – wrzasnęli wszyscy naraz. Jeden chłopiec, który nazywa się Stig, krzyknął:

– Proszę pani, ile befsztyków da się zrobić z krowy?

A Bosse spytał:

– Czy pani słyszała, że kartofle udadzą się w tym roku?

– Tak, wyobraź sobie, że słyszałam! – rzekła Britta.

Na to Bosse powiedział:

– Ależ pani ma dobry słuch!

Lasse podniósł rękę i spytał panią, czy nie mógłby jej pokazać, co narysował. Potem podszedł do Britty ze swoim zeszytem do rysunków. Lecz cała kartka zamazana była czarną farbą.

– Co to ma być? – spytała Britta.

– Pięciu Murzynów w ciemnej sieni – zażartował Lasse.

Britta nie uważała więc wcale, że przyjemnie jest być nauczycielką. Ucieszyła się bardzo, gdy nasza prawdziwa pani wróciła. Pani spytała, czy dzieci były grzeczne. A wówczas Britta powiedziała:

– Chłopcy nie.

Pani gniewała się na chłopców i powiedziała, że będą musieli siedzieć godzinę po lekcjach i liczyć. Na przerwie ten Stig podszedł do Britty i

powiedział: „Skarżypyta bez kopyta!”, i uderzył ją po głowie swoim tornistrem. To było przecież niesprawiedliwe, prawda?

W drodze do domu Britta powiedziała do mnie i do Anny, że już nigdy w życiu nie chce być nauczycielką.

Wlokliśmy się do domu tak wolno, jak tylko się dało, aby Lasse, Bosse i Olle mogli nas dogonić. Bo gdyby przyszli do domu o całą godzinę później od nas, to mamy z całą pewnością dziwiłyby się, co to znaczy, i dostałoby się chłopcom jeszcze więcej. Uważaliśmy, że wystarczy im bura, jaką dostali od pani.

Pewnego razu było nam strasznie wesoło w szkole. Było to pierwszego kwietnia. Wtedy oszukiwaliśmy panią. Tak jak to trzeba robić na prima aprilis. Może niekoniecznie trzeba, ale wolno i nie jest się za to karanym. Zwykle zaczynamy lekcje o godzinie ósmej rano. W przeddzień pierwszego kwietnia umówiliśmy się wszyscy, że następnego dnia przyjdziemy do szkoły już o szóstej rano. W klasie na ścianie wisi zegar. Zanim pani zdążyła zamknąć drzwi do klasy po ostatniej lekcji, Lasse pobiegł prędko i przesunął zegar o dwie godziny naprzód.

Następnego dnia przyszliśmy wszyscy do klasy o godzinie szóstej, chociaż zegar na ścianie wskazywał oczywiście ósmą.

Tupaliśmy i stukali w sieni, ile tylko się dało, aby pani usłyszała, że już jesteśmy. Pani mieszka na piętrze w budynku szkolnym. Lasse pobiegł na górę i zastukał do drzwi jej pokoju, a wtedy pani spytała zaspanym głosem:

– Kto tam?

– Ja, Lasse – odpowiedział Lasse. – Czy dzisiaj nie będzie lekcji?

– Ach, mój drogi, czyżbym zasnęła? – powiedziała pani. – Już schodzę!

Pani ma też oczywiście zegar u siebie na górze, ale tak jej się spieszyło, że nie miała czasu na niego spojrzeć.

Gdy zegar w klasie wskazywał dwadzieścia minut po ósmej, przyszła pani i wpuściła nas do klasy.

– Nie mogę pojąć, dlaczego mój budzik nie zadzwonił i nie obudził mnie – powiedziała pani. – Bardzo źle się stało!

Oj, jak trudno było powstrzymać się od śmiechu! Na pierwszej lekcji były rachunki. Właśnie gdy w najlepsze byliśmy zajęci rachunkami, usłyszeliśmy, jak budzik zadzwonił u pani na górze. To była prawdziwa siódma. Lecz zegar w klasie wskazywał dziewiątą.

– Cóż to takiego? – zdziwiła się pani.

– Prima aprilis, prima aprilis! – krzyknęliśmy wszyscy.

– Co za dzieciaki! – powiedziała pani.

Gdy skończyliśmy wszystkie lekcje, jakie były w planie tego dnia, myśleliśmy oczywiście, że pani pozwoli nam pójść do domu, chociaż była dopiero pierwsza. Lecz pani powiedziała:

– Prima aprilis! Będzie jeszcze jedna godzina lekcji.

Musieliśmy więc zostać jeszcze godzinę. Było jednak bardzo przyjemnie, bo pani czytała nam różne opowiadania.

Gdy szliśmy do domu, Olle odezwał się w pewnej chwili do Lassego:

– Ach, Lasse, masz ogromną dziurę w spodniach!

Lasse wykręcał głowę, ile mógł, żeby zobaczyć dziurę, aż wreszcie, gdy tak się męczył dobrą chwilę, Olle krzyknął:

– Prima aprilis!

Olle był niesłychanie uradowany, iż udało mu się oszukać Lassego. W chwilę później spotkaliśmy tego złego szewca, który mieszka w połowie drogi między Wielką Wsią a Bullerbyn.

Olle tak był przejęty tym, że udało mu się oszukać Lassego, że krzyknął:

– Niech pan spojrzy, panie Grzeczny, tam w krzakach siedzi lis!

Grzeczny nie spojrzał nawet w tamtą stronę, tylko powiedział:

– A drogą idzie cała gromada smarkaczy!

Wtedy Lasse się roześmiał.

Po południu, gdy odrobiliśmy lekcje, Lasse pobiegł do Zagrody Południowej i powiedział do Ollego:

– Olle! Do Zagrody Północnej przyszedł handlarz starzyzną. Kupuje kamienie.

– Kupuje kamienie? – spytał Olle, który zupełnie zapomniał, że to prima aprilis. – Jakie kamienie?

– A takie jak te, co leżą u was w ogrodzie – odparł Lasse.

Wówczas Olle zabrał się do zbierania kamieni. Pchał do worka, ile tylko się dało, a następnie przywłókł worek do zagrody Północnej. Był tam rzeczywiście staruszek, który skupował butelki i szmaty.

– Przyniosłem wujkowi^[7] trochę kamieni – powiedział Olle i z uradowaną miną wskazał swój worek.

– Kamieni? – spytał staruszek nic nie rozumiejąc. – Kamieni, mówisz?

– Tak – odpowiedział Olle i miał jeszcze bardziej uradowaną minę. – Najlepsze kamienie – zebrałem je sam w naszym ogrodzie.

– Ach tak – odparł staruszek. – W takim razie trafiłeś jak kulą w płot, mój mały przyjacielu.

Wtedy dopiero Olle przypomniał sobie, że to prima uprilis. Poczzerwieniał okropnie, zabrał swój worek i zaciągnął go do domu nic nie mówiąc. Lasse zaś stał za płotem i krzyczał: „prima aprilis” tak głośno, że słyszeć go było w całym Bullerbyn.

[6] Spark – rodzaj saneczek z oparciem i wystającymi daleko płozami, na których jadący staje jedną nogą odbijając się drugą, podobnie jak przy jeździe na hulajnodze. Na przedniej części, tj. na właściwych saneczkach, jest miejsce na osoby lub przedmioty.

[7] W Szwecji dzieci mówią nawet do nieznanym dorosłym osobom „wujku” lub „ciociu”

WIELKANOC W BULLERBYN

Opowiem teraz o ostatniej Wielkanocy w Bullerbyn. W Wielką Środę Britta i Anna przyszły do mnie wczesnym rankiem, gdyż miałyśmy przygotowywać kartki, co to się je szpilką przyczepia ludziom na plecach tak, by tego nie zauważyli. Nacięłyśmy moc kartek z białego papieru i namalowałyśmy na nich różne śmieszne postacie. Na niektórych napisałyśmy „Zły orangutan” i „Ostrożnie, pies” i podobne rzeczy.

W pokoju chłopców był okropny hałas. Chłopcy też szykowali kartki, a Olle przyszedł również, by im w tym pomóc. Britta, Anna i ja napakowałyśmy sobie kieszenie kartkami i poszłyśmy do Lassego, Bossego i Ollego zapytać, czy nie mieliby ochoty wyjść z nami pobawić się na dworze. A to tylko po to, by mieć okazję poprzyczepiać im te kartki.

Pobiegliśmy więc do tartaku w Zagrodzie Północnej i bawiliśmy się tam łażąc po stosach desek. Przez cały czas usiłowałyśmy przyczepiać sobie nawzajem kartki, lecz nie szło nam to dobrze, gdyż wszyscy staraliśmy się nie odwracać plecami.

Po pewnym czasie nadeszła Agda, wołając nas na obiad. Lasse zeskoczył zaraz z desek, dogonił Agdę i idąc koło niej gadał, ile tylko miał sił. Agda nie zauważyła, że przyczepił jej na plecach kartkę. „Ach, jak lubię Oskara!” – napisane było na papierze. Gdy Oskar przyszedł na obiad, Agda kręciła się tam i z powrotem po kuchni, a na plecach miała kartkę z napisem: „Ach, jak lubię Oskara!”

Oskar uderzał się dłońmi po kolanach, śmiał się i mówił:

– To dobrze, kochana Agdo, to dobrze!

Lasse, Bosse i ja śmieliśmy się jeszcze więcej. W końcu Agda przypomniała sobie o zwyczaju, przejechała ręką po plecach, zerwała papier i spaliła go w piecu. Śmiała się jednak razem z nami.

Gdy zjedliśmy obiad, skorzystałam z odpowiedniej chwili i przyczepiłam papier do wiszącej na krześle kurtki Lassego. Lasse włożył ją na siebie i nic nie zauważył. Gdy wróciliśmy do tartaku, Lasse łąził po deskach z dużą białą

kartką na plecach, na której było napisane: „Jestem taki głupi, że wszyscy mnie żałują”.

Och, jak śmieliśmy się z niego! I to Lasse, który cały czas mówił, że nikomu nie uda się przyczepić mu kartki!

W Wielki Czwartek przebraliśmy się wszyscy jak zwykle w ten dzień za Baby Jagi^[8]. Chłopcy też. Włożyłam kraciatą chustkę Agdy, pasiasty fartuch i długą czarną spódnicę. Wzięłam też z pieca chlebowego długi pogrzebacz, by mieć na czym jechać. Lasse jechał na wielkiej miotle podwórzowej. Pojechałam konno do Zagrody Północnej i zawiozłam listy z życzeniami świątecznymi do Britty i Anny. „Wesołych Świąt życzy stara czarownica. Teraz jadę na Łysą Górę” – napisałam w liście.

Tatusz palił zeszłoroczne liście w naszym ogrodzie, a my – czarownice – galopowaliśmy przez slosy tłących się liści i udawaliśmy, że jesteśmy na Łysej Górze. W ogrodzie pachniało już zupełnie wiosną, bo zawsze tak pachnie, gdy się pali liście.

Anna i ja umówiliśmy się, że pójdziemy zobaczyć, czy przyłaszczki już się przebijają w naszym ulubionym miejscu za przystanią.

W Wielką Sobotę mama i tatuś mieli jechać na przyjęcie do pastora w Wielkiej Wsi, a ja, Lasse i Bosse mieliśmy zaprosić Ollego, Brittę i Annę do siebie na pisanki wielkanocne. Mama ma przecież fermę kurzą, więc mamy bardzo dużo jajek.

Bosse myśli, że to Albertyna znosi niemal wszystkie jaja. Albertyna – to własna kura Bossego.

– Pewnie myślisz, że Albertyna może strzelać jajkami niczym karabin maszynowy – powiedział do niego Lasse.

Jedliśmy w kuchni. Stół był pięknie nakryty niebieskim obrusem, na którym stały nasze żółte, wielkanocne talerze. Pośrodku stał wazon z gałązkami brzozy.

Lasse, Bosse i ja pomalowaliśmy wszystkie jajka na czerwono, żółto i zielono. Uważam, że jajka zawsze powinny być kolorowe, bo to naprawdę przyjemnie wygląda. Napisaliśmy też na nich wierszyki. „To jajko jest dla Anny zamiast naleśnika z brytfanny” – napisane było na jednym jajku. Napisał to Lasse, lecz Bosse mówił, że to kiepski wiersz.

– Nikt nie miał chyba zamiaru dawać im naleśników – powiedział Bosse.

– „To jajko jest dla Anny zamiast brytfanny”, czy nie uważasz, że tak

byłoby lepiej? – spytał Lasse.

Nie, Bosse wcale nie uważał, żeby to brzmiało lepiej. Nie zdążyliśmy jednak zmienić wiersza, bo właśnie przyszli Britta, Anna i Olle. Było nam bardzo wesoło tak razem siedzieć przy stole i zajadać. Urządziliśmy konkurs, kto zje najwięcej jajek. Ja nie mogłam zjeść więcej niż trzy, ale Olle zjadł sześć.

– Albertyna to świetna kura – powiedział Bosse, gdy skończyliśmy jeść.

Potem zabraliśmy się do szukania naszych jaj wielkanocnych z cukierkami w środku. Mama je gdzieś przed nami ukryła. Lasse, Bosse i ja dostajemy każdej Wielkanocy po dużym jajku, w którym jest dużo, dużo cukierków. W tym roku mama powiedziała, że jeżeli zadowolimy się trochę mniejszymi jajkami, to kupi również po jajku dla Britty, Anny i Ollego i będziemy im mogli zrobić niespodziankę na naszym przyjęciu. Naturalnie zgodziliśmy się na to zaraz. Mamusia bardzo sprytnie schowała jajka. Moje leżało w szafie, w której stoją rondle. Było całe srebrne, w małe kwiatuszki. Ach, jakież było śliczne! W środku był kurczaczek z marcepana i moc cukierków.

Wieczorem mogliśmy się bawić do późna, ponieważ była to Wielka Sobota. Agda była na spacerze z Oskarem, więc byliśmy zupełnie sami w całym domu. Zgasiliśmy wszędzie światło i bawiliśmy się w chowanego^[*] po ciemku. Liczyliśmy „Entliczek, pentliczek, czerwony stoliczek” i wypadło, że Bosse kryje pierwszy. Och, znalazłam takie świetne miejsce do chowania! Weszłam na okno i schowałam się za firankę. Bosse dreptał tuż obok tam i z powrotem kilka razy, lecz nie zauważył mnie. Najlepiej jednak ze wszystkich schowała się tego wieczoru Britta. W sieni stały wielkie gumowe buty tatusia, a nad nimi wisiała duża burka, którą tatuś wkłada, gdy rano odwozi mleko do mleczarni. Britta weszła w te buty i owinęła się burką. W końcu zapaliliśmy światło i szukaliśmy jej wszyscy, i krzyczeliśmy: „Odwołane!”, „Wychodź!”, lecz Britta stała dalej cichutko jak mysz. I chociaż szukaliśmy wszędzie, nie mogliśmy jej znaleźć. Buty i burka tatusia wyglądały zupełnie jak zwykle. Nie mieliśmy pojęcia, że Britta jest w środku.

– Może ona umarła i w ogóle jej nie ma – powiedział Olle.

Wówczas coś zachichotało w burce i wyszła stamtąd Britta w wielkich butach tatusia. Chciała, żebyśmy się bawili w kota w butach, lecz Anna wolała, żebyśmy poszli do dziadziusia zrobić kogel–mogel.

Poszliśmy więc do dziadziusia. Wzięliśmy ze sobą jajka, cukier i szklanki. Dziadzius siedział przed kominkiem w fotelu na biegunach i okropnie się

ucieszył, gdy przyszliśmy. Usiedliśmy na podłodze przed kominkiem i kręciliśmy kogel-mogel, aż pryskało! Anna ukrećła również dla dziadziusia, bo on jest przecież prawie niewidomy i nie może sam tego zrobić. Dziadzius opowiadał nam, jak kiedyś dawno temu było na świecie. W tamtych czasach dzieci nie dostawały jajek z cukierkami w środku. Opowiedziałam dziadziusiowi, że moje jajko jest ze srebra z małymi kwiatkami.

Strasznie lubię, jak dziadzius opowiada, jak było dawniej. Wyobraźcie sobie, że kiedyś na Wielkanoc, gdy dziadzius był jeszcze mały, było tak zimno, że jego tatuś musiał wziąć tłuczek od moździerza i rozbić lód w beczce z wodą, która stała u nich w kuchni. To musiało być okropne! I do tego nie dostawali wcale jaj wielkanocnych! Biedne dzieci!

[8] W ten dzień w Szwecji jest zwyczaj przebierania się za Baby Jagi, które tradycyjnie jeżdżą na miotłach.

[*] W oryginalnym tłumaczeniu jest "bawiliśmy się w ciuciubabkę", ale opisana jest zabawa w chowanego dlatego uważałem, że lepiej będzie to zmienić.

ANNA I JA ZAŁATWIAMY SPRAWUNKI

Sklep, w którym kupujemy cukier, kawę i takie różne rzeczy, znajduje się w Wielkiej Wsi, tuż koło szkoły. Gdy mamusia potrzebuje czegoś ze sklepu, to przeważnie ja kupuję to w drodze powrotnej ze szkoły.

Pewnego dnia, w czasie ferii wielkanocnych, mama potrzebowała paru rzeczy i powiedziała do mnie:

– Nic na to nie poradzę, Liso, musisz pobiec do sklepu!

Pogoda była taka śliczna, że uważałam, że to jest tylko przyjemność pójść załatwić sprawunki. Powiedziałam więc:

– Dobrze, mamusiu. A co mam kupić?

Mamusia poradziła, że najlepiej będzie, jak sobie wszystko zapiszemy. Nie mogłyśmy jednak znaleźć ołówka, więc powiedziałam:

– Ech, i tak wszystko dobrze zapamiętam!

Więc mamusia zaczęła, wyliczać wszystko, co miałam kupić: dwadzieścia deka drożdży, kawałek kiełbasy dobrze obsuszonej, paczkę imbiru, paczkę igieł, puszkę śledzi, dziesięć deka słodkich migdałów i butelkę octu.

– Tak, tak, tak, zapamiętam wszystko! – powiedziałam.

W tej samej chwili wbiegła do naszej kuchni Anna i spytała, czy nie zechciałabym pójść z nią do sklepu po sprawunki.

– Cha, cha – zaśmiałam się – właśnie miałam iść spytać ciebie o to samo!

Anna miała na głowie swoją nową czerwoną czapeczkę i koszyk w ręce. Włożyłam więc moją zieloną czapeczkę i też wzięłam koszyk w rękę. Anna miała kupić szarego mydła i paczkę sucharów żytnich, i pół kilograma kawy, i kilogram cukru w kostkach, i metr gumki. Miała również kupić kawałek kiełbasy dobrze obsuszonej, zupełnie tak samo jak ja. I Anna też nie zapisała sobie, co ma kupić.

Przed wyjściem pobiegłyśmy jeszcze na górę do dziadziusia, żeby go spytać, czy nie potrzebuje czegoś ze sklepu, a dziadzius poprosił, żebyśmy mu kupiły trochę ślazowych cukierków i buteleczkę spirytusu kamforowego.

Gdy już stałyśmy przed furtką, by wyruszyć w drogę, mamusia Ollego

wybiegła przed drzwi ich sieni.

– Czy idziecie do sklepu?! – zawołała.

– Tak – odpowiedziałyśmy.

– O moje kochane, czy nie zechciałybyście kupić dla mnie paru rzeczy? – zapytała nas.

Odpowiedziałyśmy, że bardzo chętnie to zrobimy. Chciała, żebyśmy dla niej kupiły szpulkę białych nici numer czterdziesty i słoik cukru waniliowego.

– Czekajcie, czekajcie, co to ja jeszcze chciałam – powiedziała i zamyśliła się.

– Może kawałek kiełbasy dobrze obsuszonej? – zaproponowałam.

– Tak, tak, właśnie kiełbasy – powiedziała mama Ollego. – Jak mogłaś się domyślić?

Wyruszyłyśmy więc z Anną, lecz byłyśmy trochę niespokojne, że nie zapamiętamy wszystkiego. Najpierw wyliczałyśmy wszystko jedna drugiej, lecz potem nam się to znudziło. Szłyśmy pod rękę i wymachiwałyśmy naszymi koszykami, a słońce świeciło i piękny zapach unosił się z drzew. Wyśpiewywałyśmy tak głośno, jak tylko się dało: „Kawałek kiełbasy dobrze obsuszonej”. Brzmiało to doprawdy ładnie. Śpiewałyśmy tak: najpierw ja „Kawałek kiełbasy” na powolną i ładną melodię, a potem Anna wchodziła ze swoim „dobrze obsuszonej, dobrze obsuszonej” na skoczną i wesołą melodię. Czasami śpiewałyśmy na melodię, która jest dobra do marszu. W końcu jednak zdecydowałyśmy się na jedną, która była bardzo smutna, ale prześliczna od początku do końca. Była ona tak smutna, że aż chciało się chwilami płakać.

– Och, jak smutno zrobiło się przez tę kiełbasę – powiedziała Anna, gdy w końcu przyszyłyśmy do sklepu.

W sklepie było dużo ludzi, więc musiałyśmy długo czekać, aż przyszła nasza kolej. Właściwie czekałyśmy jeszcze dłużej, bo dorośli ludzie myślą widocznie, że dzieci mogą czekać bez końca w sklepach. Zawsze pchają się pierwsi. W końcu sam wujek Emil, właściciel sklepu, wszedł i zaczął nas pytać, co słychać w Bullerbyn i czy jadłyśmy dużo jajek na Wielkanoc, i czy nie mamy zamiaru wkrótce wyjść za mąż.

– W c a l e nie mamy zamiaru – odpowiedziałyśmy.

– A czego łaskawe panie sobie życzą? – spytał wujek Emil.

Zawsze mówi tak dziwacznie, lecz mimo to lubię go bardzo. Nosi ołówek za uchem i ma małe, rude wąsiki. Częstoje nas zawsze kwaskowatymi

cukierkami, które ma w dużym słoiku.

Najpierw Anna wyliczyła, co miała kupić dla swojej mamy i dla dziadziusia. Wujek Emil ważył i pakował po kolei wszystko, co Anna wyliczała.

Potem przyszła moja kolej na wyliczanie wszystkiego, co miałam kupić dla mamy i mamy Ollego. Zarówno Anna, jak i ja zastanawialiśmy się długo, żeby niczego nie zapomnieć.

Potem wujek Emil poczęstował nas cukierkami i poszliśmy. Zaraz za szkołą spotkałyśmy chłopca, którego znamy. Zauważył, że mamy nowe czapeczki.

Gdy już zrobiliśmy ładny kawałek drogi i doszliśmy do rozdroża, skąd droga skręca do Bullerbyn, spytałam:

– Anno, czy nie przypominasz sobie, czy ja kupiłam drożdże?

Anna jednak wcale nie mogła sobie tego przypomnieć. Zaczęłyśmy więc dotykać wszystkich paczek w moim koszyczku, lecz nie było tam żadnej takiej, w której mogłyby być drożdże. Musiałyśmy wrócić do sklepu.

Wujek Emil śmiał się z nas i dał nam drożdży, i jeszcze raz poczęstował nas kwaskowatymi cukierkami. Potem poszliśmy z powrotem.

Gdy znów stanęłyśmy na rozdrożu, Anna krzyknęła nagle:

– A spirytus kamforowy dla dziadziusia?

– Coś podobnego! – zawołałam.

Zmuszone byłyśmy wrócić do sklepu, bo nie było innej rady. Oj, jak wujek Emil śmiał się z nas! Dał nam spirytusu kamforowego i po parę cukierków.

Gdy następnym razem dochodziłyśmy do rozdroża, Anna miała tak przestraszoną minę, że aż mi się jej żal zrobiło.

– Liso – powiedziała – jestem pewna, że nie kupiłam cukru.

– Anno – odparłam – tylko mi nie mów, że nie kupiłaś cukru. Przecież z całą pewnością musiałaś kupić cukier.

Zaczęłyśmy macać i dusić paczki w koszyku Anny, ale nie było tam nic, co by w najmniejszym choć stopniu przypominało cukier.

Wujek Emil omal nie przewrócił się za ladą, gdy znów nas zobaczył. Dał nam jednak cukru. I dołożył jeszcze trochę kwaskowa tych cukierków.

– Najlepiej będzie, jeśli wyjmę nowy słoik cukierków na zapas – powiedział – bo zdaje mi się, że ten wyjdzie cały.

– Nie, już teraz nie wrócimy – powiedziała Anna. Zanim jednak doszliśmy do rozstajnych dróg, powiedziałam:

– Anno, przebiegnijmy przez rozstaje. To jedyny sposób. W przeciwnym

razie przypomnimy sobie jeszcze więcej rzeczy, o których zapomnialiśmy.

I przebiegaliśmy pędem przez rozstaje.

– Dobrze poszło! – powiedziała Anna.

Nareszcie naprawdę szliśmy do domu. Ach, jaki to był piękny dzień, jeden z pierwszych ciepłych dni. Szliśmy pod rękę i machaliśmy naszymi koszykami. Ale nie za mocno, żeby paczki nie powypadały.

Słońce świeciło, a w lesie tak pięknie pachniało!

– Wiesz, pośpiewajmy znowu trochę! – powiedziała Anna.

Zaczęliśmy śpiewać znowu „Kawałek kielbasy dobrze obsuszonej”, a brzmiało to równie ładnie jak przedtem. Anna powiedziała, że mogłybyśmy to śpiewać w szkole, a nawet na egzaminie. Śpiewaliśmy i śpiewały, i śpiewały przez całą drogę wśród wzgórz aż do Bullerbyn.

I nagle – właśnie gdy ryknęłam „Kawałek kielbasy” szczególnie ładnie, Anna szarpnęła mnie za ramię z zupełnie dziką miną.

– Liso – powiedziała – przecież my nie kupiliśmy kielbasy.

Usiadliśmy na skraju drogi i nie mówiliśmy nic przez długą chwilę. Potem Anna powiedziała, że chciałyby, żeby nigdy nikt nie wpadł na pomysł robienia kielbasy dobrze obsuszonej.

– Dlaczego ludzie nie mogą jeść zwyczajnej kielbasy? – dziwiła się.

– Nie powinnyśmy były przebiegać przez rozstaje – powiedziałam.

Zmuszone byliśmy pójść z powrotem, tak, na to nie było żadnej rady. Uf, jakie to było nudne!

Nie śpiewaliśmy już. Anna powiedziała, że ta piosenka o kielbasie wcale nie pasuje do śpiewania na egzaminie.

– Nie – powiedziałam – ani na egzaminie, ani nigdy więcej! Całkiem głupia piosenka!

Gdy wujek Emil nas zobaczył, złapał się za głowę i pobiegł po nowy słoik cukierków. Ale powiedziałyśmy „nie, dziękuję” i że nie możemy jeść ich więcej.

– Ach tak, więc co chcecie? – zapytał wujek Emil.

– Trzy kawałki kielbasy dobrze obsuszonej – odpowiedziałyśmy.

– Jeżeli w ogóle taka kielbasa może być dobra – mruknęła Anna.

Powłokłyśmy się znów do domu. Gdy doszliśmy do rozdroża, Anna obejrzała się i powiedziała:

– Spójrz! To Jan z Młyna jedzie, to przecież jego stara, brzydka, płowa klacz!

Jan mieszka w młynie, który położony jest kawałek drogi za Bullerbyn.

– Czy mogłybyśmy się zabrać? – spytałyśmy, gdy nas mijał.

– Pewnie, że możecie – powiedział Jan.

Wskoczyłyśmy na wóz i dojechałyśmy aż do Bullerbyn. Zaczęłam już śpiewać „Kawałek kiełbasy dobrze obsuszonej”, lecz Anna przerwała mi:

– Jeśli nie przestaniesz, to zepchnę cię z wozu! Mam dosyć tej piosenki!

Gdy weszłam do kuchni, mama powiedziała:

– Coś okropnego, jak długo cię nie było!

– Nic dziwnego – odpowiedziałyśmy – musiałyśmy przecież kupić tej kiełbasy!

Lecz gdy mama wyjęła wszystkie paczki z koszyka, powiedziała:

– Ale z ciebie zuch, niczego nie zapomniałaś!

PATRZYMY NA WODNIKA

Właściwie szosa kończy się w Bullerbyn. Dalej wyboista, wąska droga prowadzi do Jana z Młyna. Jan jest niewielkim, zabawnym staruszkim. Mieszka zupełnie sam w małym domku w głębi lasu. Tuż obok chatki ma młyn. Położony on jest nad potokiem, który nazywa się Wierzbowy. Potok Wierzbowy nie jest tak spokojny i łagodny jak strumyk, który płynie przez nasze pastwisko. Nie, płynie on wartko, z szumem i hukiem. W przeciwnym razie nie mógłby tam oczywiście stać młyn. Duże koło młyńskie nie kręciłoby się, gdyby wodzie potoku nie śpieszyło się tak bardzo płynąć naprzód i obracać kołem.

Niewiele ludzi wozi ziarno do zmielenia w młynie Jana. Tylko my z Bullerbyn i trochę ludzi, którzy mieszkają po drugiej stronie lasu. Jan jest więc bardzo często sam w swoim młynie. Najdziwniejsze w Janie jest to, że nie lubi dorosłych ludzi. Lubi tylko dzieci. Gdy przychodzimy do Jana, mówi bez ustanku, gdy jednak przychodzą do niego dorośli, nie odzywa się ani jednym słowem, chyba wtedy, gdy musi odpowiadać na pytania.

Pewnego dnia na wiosnę tatuś powiedział Lassemu, że musi zawieźć do młyna żyto, które trzeba zemleć.

– Świetnie! – powiedzieliśmy wszyscy. – To i my pojedziemy.

Mamy starą, czarną klacz, która nazywa się Svea. Tę klacz tatuś ma już okropnie dawno. Nazywa ją „swoją swatką”. Bo kiedy tatuś jechał, żeby się oświadczyć mamusi – to znaczy powiedzieć, że chce się z nią ożenić – Svea ciągnęła bryczkę.

Tatuś zupełnie nie boi się, gdy powozimy wozem zaprzężonym w Sveę. Mówi, że Svea jest mądrzejsza niż wszystkie dzieci w Bullerbyn razem wzięte.

Dwa worki żyta i my, wszystkie dzieci, to był porządny ładunek! Svea odwróciła głowę i wyglądała na trochę niezadowoloną. Lasse pociągnął za lejce i zawołał:

– Hej tam, Svea! Nie bądź niemądra!

I pojechaliśmy leśną drogą. Pełno na niej było korzeni i dołków. Gdy wózek skakał po wybojach, wpadaliśmy ciągle jedno na drugie. Lecz śmieliśmy się tylko z tego.

Z daleka już, chociaż nie widać jeszcze młyna, słysząc w lesie huk Wierzbowego Potoku. Ogromnie lubię jeździć do młyna! Jest tam tak pięknie! I trochę strasznie też. Gdy stoi się i patrzy na koło młyńskie i chce się coś powiedzieć, trzeba niemal krzyczeć, żeby być usłyszonym.

Jan ucieszył się okropnie z naszego przyjazdu. Weszliśmy za nim do młyna. Kręcił się po nim, uśmiechał się sam do siebie i miał bardzo chytrą minę. Gdy już wyładowaliśmy nasze worki i przyjrżeli się wszystkiemu, usiedliśmy przed młynem, a Jan zaczął opowiadać. Widocznie nie mówił już od wielu dni, gdyż gadał więcej niż zazwyczaj.

Jan mówi, że w młynie mieszka mały troll. Widział go już wiele razy. Troll jest przeważnie greczny, lecz czasem płata różne złośliwe figle. To chwyta kamień młyński i trzyma go tak, że nie może się obracać. To znów wysypuje cały worek mąki na podłogę. Pewnego razu, gdy Jan wszedł do młyna bardzo, bardzo wcześnie rano, troll uderzył go w ucho. Jan nie zdążył go nawet zobaczyć, tylko mu coś mignęło w drzwiach. I troll znikł, jak gdyby się w ziemię zapadł. Przeważnie jednak troll bywa greczny. Wtedy zamiata i sprząta w młynie.

Tak, młyn jest rzeczywiście dziwnym miejscem. Za chatką Jana jest mała, otwarta polanka. Tam tańczą elfy – mówi Jan. Jan siedzi czasem w swojej chatce i przygląda im się zza firanki. Gdy tylko elfy zobaczą Jana, natychmiast umykają. Jan widział również nimfę leśną, driadę. Stała za świerkiem i śmiała się, aż rozlegało się po całym lesie. Ach, jaki ten Jan szczęśliwy, że widział to wszystko!

Słyszeliśmy o tym wiele razy przedtem, lecz Jan opowiadał nam to teraz znowu.

– Ale... Wiecie, kogo widziałem tej nocy? – odezwał się prawie szeptem.

Nie, tego przecież nie mogliśmy wiedzieć. Wówczas Jan powiedział nam, że widział Wodnika.

Anna ścisnęła mnie za rękę, a ja ją.

– Gdzie Jan widział Wodnika? – spytał Lasse.

Wtedy Jan powiedział, że widział Wodnika na kamieniu w wodzie tuż przy zaporze młyńskiej i że grał on na skrzypcach tak pięknie, że Jan nie mógł powstrzymać się od płaczu. Pokazał nam kamień, na którym siedział Wodnik.

Niestety, nie było go tam teraz.

– Ukazuje się tylko w nocy – wyjaśnił Jan.

– Czy przychodzi co noc? – spytał go Bosse.

– Tak, wiosną Wodnik bardzo lubi siedzieć tu i grać po nocach.

Svea chciała, żebyśmy wracali do domu, widać to było po niej od razu. Pożegnaliśmy się więc z Janem.

Anna i ja pobiegłyśmy, żeby jeszcze raz spojrzeć na kamień, na którym siedział Wodnik.

Od młyna do gospodarstw po drugiej stronie lasu prowadzi mała dróżka, Lassemu przyszło do głowy, że przyjemnie byłoby pojechać tam i popatrzeć na tamte zagrody, więc cmoknął na Sveę i usiłował ją skierować na tę dróżkę. Lecz okazało się to zupełnie niemożliwe. Svea stała nieruchomo i nawet drgnąć nie chciała. Odwracała tylko głowę i spoglądała na Lassego, jak gdyby chciała sprawdzić, czy czasem nie zwariował.

Nie pozostawało więc nic innego, jak jechać z powrotem do Bullerbyn. Oj, jak Svea pędziła do domu!

– Pójdę w nocy do młyna, żeby zobaczyć Wodnika! Czy ktoś chce iść ze mną? – odezwał się nagle Lasse.

Myśleliśmy z początku, że tylko żartuje – nie żartował jednak wcale. Wówczas Bosse i Olle zawołali, że oni też pójda zobaczyć Wodnika.

– Świetnie – powiedział Lasse. – Czy dziewczynki pójda, czy nie, to zupełnie wszystko jedno.

– Dlaczego i my nie miałybyśmy pójść z wami, jeśli wolno zapytać? – spytała Britta.

– Właśnie, to samo chciałam powiedzieć – dodała Anna.

– Proszę bardzo, jeśli o mnie chodzi – odparł Lasse. – Dobrze wam robi, jak sobie popatrzycie na Wodnika, bo pewnie nie widziałyście ich zbyt wielu w waszym życiu!

– A ty, czy widziałeś kiedy Wodnika? – spytała Britta.

Lasse nic nie odpowiedział, zrobił jednak tajemniczą minę, jak gdyby widywał Wodników tuzinami.

Oj, oj, oj, jakie to było emocjonujące! Lasse powiedział, że musimy wyruszyć o północy. Wszystko to postanowiliśmy siedząc jeszcze na wozie. Lasse uważał, że najlepiej będzie, jeśli nie będziemy pytać o pozwolenie w domu. Uważał, że dorośli miewają czasem dziwne pomysły, gdy dzieci chcą pójść popatrzeć na Wodnika.

– Lepiej będzie, gdy spytamy o pozwolenie później, gdy już będziemy pewni swego – powiedział Lasse.

Lasse ma stary budzik i obiecał, że pobudzi nas wszystkich. No i w środku nocy obudziłam się, bo Lasse stał przy łóżku i ciągnął mnie za włosy. Zerwałam się w jednej chwili.

Wieczorem, zanim poszliśmy do łóżek, Lasse zmajstrował całe urządzenie, za pomocą którego miał zbudzić Brittę i Annę. Do sznura przywiązał kamień. Kamień ten położył na podłodze w pokoju Brilly i Anny, a sznur przeciągnął przez moje okno. Moje okno jest przecież naprzeciwko pokoju Britty i Anny, a domy położone są tuż obok siebie. Teraz zaczął ciągnąć sznurek tak, że kamień łomotał w górę i w dół w pokoju Britty i Anny. Wówczas obudziły się.

Zbudzić Ollego było rzeczą najprostszą. Wystarczyło przeleźć przez lipę rosnącą pomiędzy Zagrodą Południową a Środkową. Chłopcy zawsze chodzą tamtędy, gdy odwiedzają się wzajemnie.

Nie rozumiem zupełnie, jak się nam udało zejść. Byłam pewna, że mamusia i tatuś obudzą się, bo gdy schodziliśmy, schody strasznie skrzypiały. Nie obudzili się jednak.

Nigdy w życiu nie odważyłabym się iść sama w nocy przez las. Las jest przecież wtedy zupełnie inny niż w dzień. Gdy szliśmy drogą w stronę młyna, trzymałam z całej siły Annę i Brittę za ręce. I wyobraźcie sobie, że gdy doszliśmy tak blisko, że słyszeć już było huk potoku, miałam największą ochotę uciec z powrotem do domu!

Lecz Lasse był taki odważny!

– Teraz musimy przemknąć się w pojedynkę i przyjrzeć się Wodnikowi – powiedział.

– W pojedynkę? Nie, dziękuję – odparłam. – Wolę już nic nie zobaczyć niż iść sama...

– Jakaś ty niemądra – wyśmiał mnie Lasse. – Nit możemy przecież iść wszyscy razem jak wycieczka szkolna i powiedzieć mu, że chcemy się na niego pogapić! Ja w każdym razie mam zamiar przedostać się sam.

Olle i Bosse umówili się, że pójdą we dwójki; Britta, Anna i ja miałyśmy podkraść się tam wspólnie. Ach, jak mi serce biło!

– Popęlnę naprzód i rozejrzę się – powiedział Lasse. – Jeśli go nie ma, to krzyknę do was. Liczcie do stu! Jeśli do tego czasu nie krzyknę, to możecie iść za mną, bo będzie to znaczyło, że Wodnik jest.

I poczołgał się naprzód. Och, jakież on jest odważny! Leżeliśmy w mchu i

liczyliśmy do stu, i miałam prawie nadzieję, że usłyszę wołanie Lassego, bo im bardziej zbliżaliśmy się do stu, tym bardziej biło mi serce. Nie słysząc było jednak żadnego głosu.

– To znaczy, że Wodnik jest – powiedział Bosse. Poczłgał się też zaraz z Ollem w jedną stronę, a Britta, Anna i ja poszłyśmy w drugą.

– Zdaje mi się, że umieram – westchnęła Anna

O, tam stoi młyn! A tu zapora młyńska! I o tam, tam jest kamień. I siedział tam! Wodnik siedział! Był zupełnie nagi. I grał. Słysząc to było dość słabo wśród szumu wody. Nie było go też widać dokładnie, bo było przecież ciemno. Siedział tam w każdym razie, to widzieliśmy.

– O, widzę go – szepnęła Anna.

– Słyszycie, jak gra? – szepnęła Britta. To wcale nie brzmi jak skrzypce – szepnęłam. – A co on gra?

– On... on gra piosenkę strażacką – szepnęła Britta.

– Nie, coś podobnego! – powiedziałam.

Tak, grał rzeczywiście piosenkę strażacką. A to ci dopiero dziwny Wodnik! Lecz był nim nie kto inny, tylko właśnie Lasse. Siedział na wielkim głazie i wygrywał na grzebieniu. Zupełnie goły.

– Teraz widzieliśmy przynajmniej Wodnika – powiedział później Lasse, a Bosse obiecał, że jak będzie trochę starszy, to porządnie zbije Lassego.

NOWA SIOSTRZYCZKA OLLEGO

Czasami Lasse i Bosse tak mi obrzydną, że wydaje mi się, że byłoby lepiej nie mieć wcale braci. Drocą się ze mną, gdy bawię się moimi lalkami. Wiecznie się boksują i mają takie twarde kulaki. I zawsze mówią, że to moja kolej wycierać naczynia. Raz nawet Lasse powiedział mamie, że nie może zrozumieć, co to jest za sens mieć dziewczynkę. O wiele lepiej byłoby mieć dziewięciu chłopców, to starczyłoby ich na drużynę piłki nożnej. Wtedy mama powiedziała:

– A ja się cieszę, że mam swoją małą dziewczynkę. Dziewięciu chłopców, a niech ręka boska broni! Wystarczy was dwóch dzikusów.

Więc Lasse poszedł z kwitkiem z tą swoją głupią propozycją.

Czasami jednak wydaje mi się, że dobrze jest mieć braci. Gdy wieczorem robimy wojnę na poduszki i gdy przechodzą do mego pokoju i opowiadają historie o duchach, i kiedy jest Gwiazdka, i przy takich różnych okazjach.

Pewnego razu Bosse był strasznie dzielny. Jeden chłopiec w szkole trzepnął mnie, bo potrąciłam go niechcący i wypadły mu książki. Wtedy Bosse trzepnął go i powiedział:

– Tylko spróbuj powtórzyć!

– To czego ona się rozpycha? – spytał Bengt. On tak się nazywa, ten chłopiec.

– Zrobiła to przecież nieumyślnie. Nie mogła ciebie widzieć. Nie ma przecież oczu na karku, ty głuptasie! – powiedział Bosse.

Och, jak mi się wtedy Bosse podobał! Lasse i Bosse dają mi zawsze cukierki, ilekroć kupują dla siebie. Tak że właściwie to nie jest takie głupie mieć braci.

Chociaż lepiej byłoby oczywiście mieć siostry, to jasne.

– Najważniejszą rzeczą jest, żeby w ogóle mieć rodzeństwo – mówił Olle.

Dopóki nie miał swojej małej siostrzyczki, był zawsze zły, że nie ma rodzeństwa.

– Inni ludzie mogą mieć nowe dzieci, ale tu, w Zagrodzie Południowej, nigdy

ich nie miewamy – mówił ze złością.

Urodziła mu się jednak siostrzyczka. Och, jakież był szczęśliwy! Tego dnia, gdy się urodziła, przyszedł rozpromieniony i powiedział, że musimy zaraz ją obejrzeć. Pobiegliśmy natychmiast.

– Oto ona – pochwalił się Olle i miał taką minę, jak gdyby nam pokazywał ósmy cud świata.

– Czy nie jest śliczna? – powiedział zachwycony.

Śliczna nie była jednak w żadnym razie. Była cała czerwona i pomarszczona – tak, moim zdaniem wyglądała okropnie... Chociaż muszę przyznać, że rączki miała śliczne.

Nigdy nie widziałam nikogo bardziej zdumionego niż Lasse, gdy zobaczył siostrę Ollego. Wytrzeszczył oczy i rozdziawił usta. Lecz nic się nie odezwał.

– Tak, jest bardzo milutka – powiedziała Britta. I wyszliśmy.

Później Lasse mówił do Bossego:

– Biedny Olle! Pomyśl sobie – mieć taką siostrę! Nie dlatego to mówię, żeby Lisa była jakąś pięknoscią, lecz w każdym razie podobna jest do ludzi. Pomyśl, gdy ten dzieciak zacznie chodzić do szkoły, ile Olle naje się przez nią wstydu. Bo brzydszej dziewczyny nigdy jeszcze nie było w naszej szkole!

Upłynęło może trochę więcej czasu niż tydzień, a my przez cały ten czas nie byliśmy ani razu w Zagrodzie Południowej. Olle opowiadał nam co dzień, jaka śliczna jest jego siostrzyczka, a za każdym razem, gdy to mówił, Lasse miał dziwną minę. Pewnego dnia zaproszono nas wszystkich do Zagrody Południowej, bo miały być chrzciny siostry Ollego.

– Biedne dziecko – powiedział Lasse, gdy szliśmy do Zagrody Południowej – najlepiej byłoby dla niej, gdyby umarła, dopóki jest jeszcze mała.

W Zagrodzie Południowej wszystko było pięknie przystrojone. Było dużo kwiatów, bo siostra Ollego urodziła się teraz, na wiosnę, gdy pełno jest pierwiosnków i konwalii. Na kominku stał wazon z zielonymi liśćmi, a stół nakryty był do kawy. Olle był pięknie ubrany. My zresztą też. Pastor już stał i czekał. W pewnej chwili drzwi się otworzyły i weszła ciocia Lisa z małą siostrzyczką Ollego w ramionach. Ach, jakież ten dzieciak zrobił się ładny! Miała duże, niebieskie oczy, zupełnie różową buzię, a usteczka, nie – tego nie da się opisać, jakie miała słodkie usteczka! Ubrana była w długą śliczną sukienkę do chrztu.

Lasse miał równie zdziwioną minę jak wówczas, gdy zobaczył ją pierwszy raz.

– Czy macie znów nowe? – szepnął do Ollego.

– Nowe? Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Olle.

– Nowe dziecko – powiedział Lasse.

– Tylko nie udawaj, że zapomniałeś, że ja mam siostrę – odparł Olle, który nie zrozumiał, że Lasse myślał, że to inne dziecko.

Wówczas Lasse nie odezwał się już więcej.

Pastor ochrzcił siostrę Ollego imieniem Kerstin.

Ach, jak bardzo lubię Kerstin! Jest ona najmiłszym dzieckiem, jakie istnieje na świecie. Britta, Anna i ja biegamy niemal co dzień do Zagrody Południowej, żeby się przyjrzeć, jak ciocia Lisa robi coś przy niej. Ach, jak kopie i wywija wtedy nóżkami i rączkami, nie ciocia Lisa, oczywiście, tylko Kerstin. To tak ślicznie wygląda! Czasem Olle chce ją naśladować, lecz nie wygląda to wcale ładnie. Najwięcej fika, gdy się kąpie w wanience. Okropnie lubi się kąpać. Czasami, gdy leży w swoim łóżeczku, prawie rozmawia. Brzmi to tak: „Gu, gu”. Olle przypuszcza, że niedługo będzie już mogła wszystko mówić. Lecz ciocia Lisa powiada, że to jeszcze potrwa długo, bo Kerstin ma dopiero pięć miesięcy. Gdy Olle przybliży się do łóżeczka i patrzy na nią, Kerstin uśmiecha się natychmiast, zupełnie jak gdyby była zachwycona, że go widzi. Nie ma zębów, lecz mimo to ślicznie wygląda, gdy się uśmiecha. Ollemu aż oczy się świecą, gdy na nią patrzy. Svipp jest troszkę zazdrosny o Kerstin. Chce oczywiście, żeby Olle lubił tylko jego. Lecz Olle klepie mocno Svippa i mówi mu, że jest grzecznym i ślicznym pieskiem, a wtedy Svipp przestaje być zazdrosny.

Pewnego razu pozwolono mnie i Annie zająć się Kerstin. Ciocia Lisa miała masę roboty, bo zajęta była pieczeniem. Ollego na szczęście nie było w domu. W przeciwnym razie na pewno chciałby sam wszystko robić. Ach, jakie to przyjemne zajęcie! Było to tak: Kerstin leżała w łóżeczku i krzyczała wniebogłosy właśnie w chwili, kiedy ciocia zajęta była wyjmowaniem bochenków z pieca. Była mokra, głodna i zła. Kerstin, oczywiście, nie ciocia Lisa. Wtedy ciocia powiedziała:

– Jak sądzicie, czy potrafiłybyście ją wykąpać?

– Oczywiście! – krzyknęłyśmy i okropnieśmy się ucieszyły.

Anna przyniosła wanienkę i wlała wody, a ciocia Lisa spróbowała łokciem, czy jest dostatecznie ciepła. Ja wyjęłam Kerstin z łóżeczka. Wyobraźcie sobie, że zaraz przestała płakać i zaczęła się śmiać. Gdy trzymałam ją na ręku, ugryzła mnie w policzek. To wcale nie bolało i było bardzo miłe. Bo ona

przecież nie ma zębów. Obsłiniła mi policzek, ale to też nic takiego

Wiem, jak należy trzymać niemowlęta. Trzeba je trzymać tak, żeby miały oparcie pod plecami, tego nauczyła mnie ciocia Lisa. Wiem też, jak się trzyma w kąpielu, żeby broń Boże nie zanurzyć głowy.

Trzymałam Kerstin, a Anna myła ją myjką. Kerstin fikała nóżkami i rączkami i mówiła: „Gu, gu”. Chciała koniecznie possać myjkę, lecz to się jej nie udało!

– Ona jest taka słodka, że można by ją zjeść – powiedziała Anna.

Rozłożyła na stole kuchennym kocyk i małe prześcieradełko, żeby wytrzeć Kerstin. Gdy Kerstin była wykąpana, położyłam ją na nim ostrożniuteńko. Owinęłyśmy ją prześcieradełkami i wytarły. Pomagałyśmy sobie nawzajem, Anna i ja. Potem napudrowałyśmy jej całe ciało. Aż tu nagle Kerstin wpakowała sobie do buzi duży palec u nogi i zaczęła go ssać. Ach, jak to miło wyglądało! Nikt na całym świecie nie ma z pewnością takich ślicznych paluszków u nóg, jak ma Kerstin. Zmuszone byłyśmy jednak wyjąć jej z buzi duży palec, gdy wkładałyśmy jej koszulkę i kaftanik. Potem ciocia Lisa pomogła nam owinąć ją w pieluszkę, bo to już było trochę trudniejsze. Majteczki włożyłyśmy jej same. A gdy była zupełnie gotowa, ciocia Lisa dała jej jeść.

Potem Anna i ja wyszłyśmy i wozily Kerstin w wózku. Bawiłyśmy się, że Anna jest tatusiem, a ja mamusią, a Kerstin naszym małym dzieckiem. Nie trwało to długo, gdyż Kerstin usnęła. Mimo to wozilyśmy ją jeszcze i było to bardzo przyjemne. Właśnie gdy bawiłyśmy się w najlepsze, przybiegł Olle. Podszedł od razu do nas i odebrał nam wózek, zupełnie jak gdyby myślał, że mamy zamiar porwać Kerstin. Po jakimś czasie pozwolił nam jednak również trzymać wózek za rączkę i pchać. Opowiedziałyśmy Ollemu, jak to Kerstin ssała duży palec u nogi.

Olle śmiał się bardzo zadowolony i powiedział:

– Tak, trudno wprost uwierzyć, jakie ten dzieciak umie wyprawiać sztuki. Może wstąpi do cyrku, gdy dorośnie.

Ciągnął wózek jeszcze przez chwilę, a potem dodał:

– A więc ssała duży palec u nogi, tak, robi to prawie co dzień. Cieszę się w każdym razie, że mogłyście to zobaczyć.

W tej samej chwili Kerstin obudziła się i spojrzała na Ollego. Połaskotał ją w podbródek i powiedział:

– A więc, malusińska, leżałaś i ssałaś duży palec nogi?

A Kerstin uśmiechnęła się znowu i wyglądała na jeszcze bardziej zadowoloną. Zupełnie jak gdyby ssanie dużego palca u nogi było najlepszym zajęciem pod słońcem.

GDY PADA DESZCZ

Pewnego ranka, podczas wakacji, obudziłam się w bardzo złym humorze. Dzień był też niemiły. Nie można było wyjść na dwór, bo padał deszcz i dął wiatr. Do tego jeszcze posprzeczałam się z Brittą i Anną. Poprzedniego wieczoru bawiłyśmy się w klasy. Brittą i Anna powiedziały, że nastąpiłam na linię, wlcdy, gdy wcale nie nastąpiłam na linię.

– Jeżeli jesteście tak niesprawiedliwe, to nie będę się z wami bawiła w klasy!

– Proszę bardzo – odpowiedziała Brittą – możesz nie nie bawić.

– Chyba nie myślisz, że będziemy cię prosić? – dodała Anna.

Wtedy poszłam do domu. Lecz Britta i Anna jeszcze długo bawiły się w klasy.

Stanełam za firanką w naszej kuchni i podglądałam, jak się bawią, uważałam jednak bardzo, żeby mnie nie zobaczyły. Myślałam sobie też, że już nigdy, nigdy, nigdy nie będę się z nimi bawiła.

Lecz jak mi było nudno! I w dodatku na dworze padał deszcz. Nie miałam pojęcia, co robić. Lasse i Bosse byli przeziębieni i leżeli w łóżku od trzech dni. Poszłam do nich, żeby trochę porozmawiać, lecz obaj byli tacy zaczytani, że tylko coś mruknęli, gdy do nich mówiłam. Właściwie to bardzo chciałam pójść zobaczyć, co robią Britta i Anna, ale przypomniałam sobie zaraz, jakie były niesprawiedliwe, i zaraz znów pomyślałam, że już nigdy w życiu nie pójdę do Zagrody Północnej. Poszłam w końcu do mamy do kuchni.

– Och, mamó, jakie wszystko jest nudne – westchnęłam.

– Co też ty mówisz – zdziwiła się mama – wcale tego nie zauważyłam.

– Tak, bo ciągle pada i pada, i wcale nie wiem, co mam robić.

– Gdybym była na twoim miejscu – poradziła mama – upiekłabym placek.

Mama powiedziała to zupełnie tak, jakby myślała, że ja u m i e m piec placki.

Ale ja przecież nie umiem, a przynajmniej nie próbowałam nigdy.

Lecz wyobraźcie sobie, że upiekłam placek zupełnie sama, i to nawet

całkiem dobry! Chociaż mama mówiła mi oczywiście, co mam robić. Zrobiłam tak: najpierw utarłam dwa jajka i dwie filiżanki cukru w miseczce. Musiałam długo ucierać i było to bardzo przyjemne zajęcie. Potem roztopiłam duży kawał masła w rondelku i wymieszałam wszystko razem. W końcu wlałam do tego mleko i wsypałam mąkę, tylko dokładnie nie pamiętam ile. Do tego dodałam jeszcze utartej skórki cytrynowej i drożdży w proszku.

Gdy piekłam placek, miałam na sobie biały fartuch i białą chusteczkę na głowie. Ach, jakże byłam ciekawa, gdy mama wyjmowała mój placek z pieca! Wyłożyła go na czysty ręcznik. Był jasnobrązowy i pulchny. Wcale nie wiedziałam, że tak dobrze umiem piec ciasto. Mamusia uważała, że powinnam poczęstować Lassego i Bossego plackiem i odrobiną soku. Tak też zrobiłam. Ucieszyli się okropnie. Zdziwili się bardzo, gdy im powiedziałam, że to ja upiekłam placek.

Potem wpadłam na pewien pomysł. Jasne, że Britta i Anna były niesprawiedliwe, ale pomyślałam sobie, że będę mogła im to wybaczyć i poczęstować je moim plackiem. Jak wiecie, Britta, Anna i ja posyłamy do siebie listy w pudełku od cygar, które jeździ po sznurku między oknem w Zagrodzie Północnej a moim pokojem tu, w Zagrodzie Środkowej. Napisałam więc list i włożyłam go do pudełka, po czym gwizdnęłam w ten sposób, w jaki gwizdżemy, gdy wysyłamy list. W liście napisane było tak:

„Przed chwilą upiekłam placek. Czy nie zechciałybyście zajrzeć do mnie i skosztować go?”

Nie upłynęły nawet dwie minuty, a już przybiegły pędem. Nie chciały absolutnie wierzyć, że upiekłam zupełnie sama taki pyszny placek. Lecz powiedziałam im:

– Kochane dzieci! To doprawdy żadna sztuka! To przecież każdy potrafi.

Usiadłyśmy sobie w moim pokoju, piłyśmy sok i jadłyśmy placek. Britta i Anna pobiegly potem zaraz do domu, żeby poprosić swoją mamę, by im pozwoliła też upiec placek.

Deszcz padał tak jak przedtem i znów nie wiedziałam, co mam robić. Poszłam więc znów do mamy.

– Mamusiu, tak jest nudno, zupełnie nie wiem, co mam robić!

– Gdybym była na twoim miejscu – powiedziała mama – to przemalowałabym stół na werandzie.

Mamusi widocznie się zdaje, że ja wszystko umiem zrobić! Pomogła mi rozmieszać farbę w puszcze. Była to bardzo ładna, zielona farba. Zabrałam się

do malowania. Stół zrobił się taki śliczny, zupełnie jak nowy. Żeby sobie nie powalać ubrania, włożyłam stary kombinezon.

Potem poszłam na górę do Lassego i Bossego powiedzieć im, że pomalowałam stół na werandzie. Wskoczyli zaraz z łóżek i zbiegli na dół, żeby zobaczyć. Powiedzieli mamie, że już są zupełnie zdrowi, i chcieli zaraz ubrać się i malować. Mama pozwoliła Lassemu pomalować starą tacę, a Bosse pomalował stołeczek. Lasse chciał potem pomalować również ławkę w kuchni, lecz mama stwierdziła, że nie możemy mieć całego domu na zielono. W pewnej chwili Lasse chlapanął Bossemu na nos zieloną farbą. Wówczas Bosse chciał koniecznie też zrobić plamę na nosie Lassego. Lasse uciekł. Bosse pobiegł za nim ze swoim pędzlem.

Mamusia weszła akurat we właściwej chwili i zobaczyła, jak farba kapie na podłogę. Powiedziała im, że jeżeli natychmiast się nie pogodzą, to wysmaruje ich obu na niebiesko. Bosse był jednak bardzo zły, że nie pomalował Lassemu nosa. Wówczas mamusia wzięła pędzel i zrobiła Lassemu plamkę na nosie, a potem zabrała im pędzle. Tak jest zawsze, gdy się chce, żeby chłopcy zrobili coś pożytecznego!

W tej samej chwili przyszły Britta i Anna z ciastem, które upiekły. Było równie smaczne jak moje. Chociaż moje było może trochę pulchniejsze.

Potem usiedliśmy wszyscy u nas na strychu. Bosse polazł po lipie po Ollego, żeby i on mógł spróbować ciasta Britty i Anny.

Bardzo przyjemnie było na strychu. Deszcz bębnił mocno o dach, a w rynnach aż szumiało. Przyjemnie było siedzieć i zajadać placek i nie być zmuszonym wychodzić. I przyjemnie było już nie gniewać się z Britta i Anną.

– Może ty rzeczywiście nie nastąpiłaś na linię wczoraj wieczorem – powiedziała do mnie Anna.

– Może trochę nastąpiłam – odpowiedziałam.

W poprzek naszego strychu niemal pod samym dachem są dwie belki. Można na nie wleźć, chociaż jest to dość trudne. To na nich właśnie stali chłopcy, gdy przestraszyli nas w noc sylwestrową. Teraz Lasse wpadł na pomysł, żebyśmy tam powłazili wszyscy. Tak też zrobiliśmy. Bardzo wesoło było łązić tam i z powrotem po tych belkach. Można również było skakać z jednej belki na drugą. Trzeba było przy tym bardzo szybko chwycić się dachu, by nie spaść.

Gdy staliśmy na belkach, wszedł na strych tatuś. Przyczailiśmy się i tatuś nas nie zauważył.

– Nie ma tu dzieciaków! – zawołał na dół do mamusi. – Widocznie wlażyły po lipie do Ollego. – I zszedł na dół.

Och, jak śmieliśmy się z tego! (Potem podczas kolacji przyznaliśmy się tatusiowi, że gdy nas szukał, myśmy stali na belkach pod dachem. Wtedy powiedział, że jesteśmy nieznośne urwisy).

W pewnej chwili, gdy staliśmy na belkach, Lasse zawołał:

– Patrzcie! Tu jest zatknięty jakiś papier między dachówkami. Coś jest na nim napisane.

Zleźliśmy czym prędzej na dół, żeby przeczytać, co jest napisane na tym papierze. Podeszliśmy do okienka na strychu, a Lasse rozłożył papier i przeczytał:

„Szókaście skarbu na wyspie na jeziorze. Tam zakopałem prawdziwe perły. Szókaście na środku jeziora. Ktoś, kto kiedyś mieszkał w tym domu”.

– Coś podobnego! – krzyknęła Anna. – To strasznie ciekawe! Ale jaka dziwna ortografia.

– Tak pisano kiedyś dawniej – wyjaśnił Lasse. – Rozumiesz chyba.

– Pomyślcie, prawdziwe perły! – powiedziałam. – Spróbujmy ich poszukać. Może będziemy strasznie bogaci!

Britta nic na to nie powiedziała.

– Jutro wyruszamy na wyspę – zapowiedział Lasse.

– Tak, koniecznie – oświadczyli Bosse i Olle.

Britta milczała dalej.

– „Wyspa na jeziorze” to może być chyba tylko ta mała wysepka na środku jeziora w Zagrodzie Północnej.

Och, jakie to było emocjonujące! Dni deszczowe nie są właściwie wcale takie nudne. Deszcz przestał już zresztą padać. Britta, Anna i ja poszliśmy do dziadziusia, aby mu poczytać gazetę. Anna i ja tak cieszyliśmy się na myśl o tych perłach, że aż podskakiwałyśmy i chciałyśmy czym prędzej opowiedzieć o nich dziadziusiowi.

Wtedy Britta powiedziała:

– Nie bądźcie głupie! Czy nie rozumiecie, że to wszystko chłopcy wymyślili jak zwykle?

– Dlaczego tak myślisz? – spytałyśmy.

– No, bo gdyby tę kartkę napisał ktoś, kto rzeczywiście kiedyś mieszkał w Zagrodzie Środkowej, to przecież nie napisałby „ktoś, kto kiedyś mieszkał w tym domu”. To przecież nie było dla niego „kiedyś”, gdy to pisał, rozumiecie to

chyba.

O tym nie pomyślałyśmy wcale. Britta poradziła, żebyśmy udawały, że nic nie wiemy, i żebyśmy poszły z chłopcami następnego dnia szukać pereł.

SZUKAMY SKARBU

Wczesnym rankiem następnego dnia poszliśmy na wyspę szukać skarbu. Wzięliśmy łódkę z Zagrody Północnej. Lasse wiosłował. Chłopcy przez cały czas rozmawiali o tych perłach

– Wiecie co – powiedział Lasse do Ollego i Bossego – uważam, że możemy dać wszystkie perły dziewczynkom, jeśli je znajdziemy. Perły pasują właściwie najlepiej do dziewczynek.

– Lepiej wiosłuj! – odparł Bosse. – Oczywiście można by też sprzedać te perły i dostać za nie dużo pieniędzy. Lecz jeśli o mnie chodzi – proszę bardzo, możecie dać perły dziewczynkom.

– Dobra jest! – oświadczył Olle. – Dziewczynki mogą sobie wziąć te perły. Proszę bardzo!

– O, jacy wy jesteście dobrzy – powiedziałyśmy.

– W takim razie powinnyście ich szukać – poradził Lasse, gdy zbliżyliśmy się do wysepki. – Bosse, Olle i ja wykąpiemy się tymczasem.

Położyli się w słońcu na skale.

– Szukajcie na samym środku wyspy – powiedział Lasse. – I krzyknijcie nam, gdy je znajdziecie! Obiecacie! Chcemy być przy tym, gdy będziecie otwierać blaszaną puszkę!

– Skąd wiesz, że one są w blaszanej puszcze? – spytała Britta. – Tego przecież nie było na kartce.

Lasse miał trochę zmieszana minę, lecz odpowiedział:

– No przypuszczam, że przecież w czymś muszą być.

Chłopcy kąpali się, a my szukałyśmy.

– Dam ja im blaszaną puszkę! – powiedziała Britta.

W samym środku wyspy był stos kamieni, a na szczycie tego stosu położono kilka dodatkowych kamieni, których nie było tam dawniej. Nie była to więc trudna do odszukania kryjówka. Pod tymi kamieniami była rzeczywiście zardzewiała, blaszana puszka. Oworzyłyśmy ją. Leżała w niej kartka, a na niej napisane było:

„Cha, cha, dziewczynom można wmówić, co się chce! Ktoś, kto kiedyś mieszkał w tym domu”.

Wczesną wiosną pasł się na wyspie zły baran z Zagrody Północnej. Pozostawił po sobie pełno małych czarnych bobków. Wzięliśmy kilka i włożyliśmy je do puszek. A na nowej kartce, którą wzięliśmy ze sobą, napisaliśmy:

„Macie tu swoje prawdziwe perły. Strzeżcie ich pilnie, bo zrobił je ktoś, kto kiedyś mieszkał na tej wyspie”.

Potem schowałyśmy puszkę z powrotem pod kamienie, pobiegłyśmy do chłopców i powiedziałyśmy im, że w żaden sposób nie możemy znaleźć skarbu

– Teraz wy możecie poszukać, a my będziemy się kąpać – powiedziała Britta.

Chłopcy nie chcieli zgodzić się na to. W końcu jednak popędzili w głąb wysepki. Pewno chcieli wymyślić jakiś łatwiejszy schowek dla nas. Skradałyśmy się za nimi. Pełzałyśmy pod krzakami, zupełnie jak Indianie.

Chłopcy stali przy stosie kamieni. Właśnie Lasse wyjmował puszkę.

– To ci dopiero do niczego te dziewczyny, żeby nie móc znaleźć takiej kryjówki – powiedział i potrząsnął puszką.

– Co tam tak grzechocze? – spytał Bosse.

Lasse zdjął pokrywkę i przeczytał na głos, co było napisane na kartce. Potem cisnął puszkę daleko i powiedział:

– Ta zniewaga krwi wymaga!

Wówczas Britta, Anna i ja wyskoczyłyśmy zza krzaków i śmiałyśmy się tak głośno, jak tylko się dało. Opowiedziałyśmy im też, że wiedziałyśmy od początku, że wszystko to wymyślił Lasse. Wtedy Lasse odparł, że chłopcy też od razu wiedzieli, żeśmy wiedziały, że to jego pomysł. Było to naturalnie kłamstwo, ale na wszelki wypadek powiedziałyśmy, że wiedziałyśmy, iż chłopcy wiedzieli, że wiedziałyśmy od razu, że to był pomysł Lassego. A wtedy znów chłopcy powiedzieli – ach, nie umiem już nawet tego wszystkiego powtórzyć, bo było tam tyle razy „wiedzieli” i „wiedziały”, że od samego słuchania mogło się zakręcić w głowie. Wykąpaliśmy się potem przy skale, a chłopcy bryzgali na nas wodą. My też, ma się rozumieć, chlapałyśmy na nich, ile tylko się dało. Potem Lasse wpadł na pomysł, żebyśmy sobie zrobili zbroję kryjówkę i bawili się w zbrojów.

Na wyspie jest stara szopa na siano. Teraz się jej już nie używa i niewiele jest warta. Dach ma zupełnie dziurawy. Obok szopy stoi wysoka sosna.

Postanowiliśmy, że nasza zbójcka kryjówka będzie mieściła się w szopie, Lasse został oczywiście hersztem. Powiedział, że nazywa się Robin Hood^[9]. Bosse był drugim hersztem i nazywał się Rinaldo Rinaldini^[10]. Lasse powiedział, że będziemy brać łup od bogatych i dawać go ubogim. Kiedy jednak zaczęliśmy się zastanawiać, to okazało się, że nie znamy nikogo, kto byłby bogaty. A także nikogo, kto byłby tak bardzo biedny, chyba tylko Kristin z Zagajnika.

Czasami Lasse nam mówił, żebyśmy wyszli na czaty, aby przekonać się, czy jakaś nieprzyjacielska zbójcka flota nie zbliża się do wyspy. Wtedy trzeba było wspinać się po ścianie szopy i przez dziurawy dach włązić na sosnę. Nie miałam jakoś odwagi wdrapać się na sam wierzchołek sosny, lecz Lasse, Bosse i Olle zrobili to. Britta i Anna nie miały odwagi wdrapać się wyżej niż ja.

Ale nawet chłopcy nie zobaczyli żadnej nieprzyjacielskiej floty, chociaż wypatrywali z samego wierzchołka. W końcu Lasse powiedział do mnie i do Anny, żebyśmy popłynęły łodzią na stały ląd i zrabowały trochę jedzenia. Mamy zrabować to bogaczom – powiedział.

Wsiadłyśmy więc z Anną do łodzi i powiosłowałyśmy w stronę lądu. Nie mogłyśmy jednak w żaden sposób wymyślić, kogo mamy ograbić. Poszłam więc do domu do mamy i spytałam, czy mogę zrabować trochę jedzenia ze spiżarni i zabrać je ze sobą na wyspę, ponieważ Lasse, Bosse i ja nic zamierzamy wrócić do domu na obiad.

Mamusia pozwoliła.

W spiżarni były zimne naleśniki z mięsem i kielbasa, i zimne kartofle. Zrobiłam też całą górę kanapek z serem. Wszystko to włożyłam do koszyka. Mamusia przyniosła mi jeszcze dziesięć świeżo upieczonych bułeczek i dużą butelkę mleka.

Potem pobiegłam do Anny. Ona też miała pełen koszyk jedzenia. Miała siekane kotlety i wędzonkę, i cały bochenek chleba, i zupę jagodową w butelce, i sześć kawałków budyniu ryżowego. Gdy wróciłyśmy do kryjówki zbójckiej, rozłożyłyśmy na trawie całe jedzenie. Lasse był bardzo zadowolony.

– Dobrze – powiedział. – Czy zdobyłyście to z narażeniem własnego życia?

Anna i ja nie wiedziałyśmy, co mamy na to odpowiedzieć, ale w końcu odpowiedziałyśmy, że naraziłyśmy troszeczkę nasze życie.

– Dobrze – pochwalił Lasse.

Nakryliśmy na płaskim kamieniu przed zbójceią kryjówką, a potem położyliśmy się na brzuchach dokoła kamienia i jedliśmy. Gdy zajadaliśmy w najlepsze, Bosse powiedział:

– Słuchaj, Robin Hoodzie, przecież powiedziałeś, że mamy dawać ubogim. Nie będziesz tu chyba leżał i wpychał w siebie wszystkiego!

– Jestem ubogi! – odparł Lasse i wziął sobie jeszcze jeden naleśnik z mięsem.

Butelki z mlekiem i zupą owocową podawaliśmy sobie tak, że każdy mógł napić się kilka łyków, gdy mu się zachciało pić. W końcu zjedliśmy wszystko oprócz dwóch kanapek z serem, które schowaliśmy w zbójceiej kryjówce.

Przez cały dzień bawiliśmy się świetnie na wyspie. Kąpaliśmy się wiele, wiele razy i włączaliśmy na drzewa, a potem podzieliliśmy się na dwie bandy zbójceie. Britta, Anna i ja to była jedna banda, która mieszkała w zbójceiej kryjówce i broniła jej przed bandą chłopców. Miałyśmy kije, i to były na niby nasze strzelby. Britta stała na straży przy drzwiach, Anna wyglądała oknem, a ja przez dziurawy dach. W końcu jednak znudziło mi się to, bo bardzo trudno było stać tak wysoko. Zeszłam więc na dół i stanęłam koło Anny. I wyobraźcie sobie, wtedy chłopcy skorzystali z okazji i wdrapali się po tylnej ścianie szopy, której od nas nie było widać, i nagle zeskoczyli z góry i wzięli nas do niewoli, i powiedzieli, że muszą nas zabić. Właśnie w chwili gdy mieli do nas strzelać, Lasse krzyknął:

– Flota nieprzyjacielska na horyzoncie!

To płynął łódką Oskar, żeby nas zabrać do domu. Powiedział, że już jest dziewiąta wieczór, i pytał, co my jesteśmy za dzieci, że nie możemy trafić do domu, gdy już jest tak późno.

Wyobraźcie sobie, nie mieliśmy pojęcia, że już się zrobiło tak późno!

– Czy nigdy nie chce wam się jeść? – spytał Oskar ze złością.

Wtedy dopiero poczułam, że jestem trochę głodna. Mamusia i tatuś już dawno zjedli kolację. Dla nas stały w kuchni na stole kanapki i mleko, i jajka.

[9] Robin Hood – bohater wielu angielskich baśni i ballad. Walczył przeciw bogaczom, a pomagał ubogim.

[10] Rinaldo Rinaldini – herszt rozbójników, szlachetny zbójca; postać z popularnej powieści niemieckiej.

ANNA I JA SPRAWIAMY LUDZIOM PRZYJEMNOŚĆ

Gdy znów jesienią szkoła się rozpoczęła, pani powiedziała nam pewnego dnia, że powinniśmy starać się sprawiać zawsze ludziom przyjemność. Nigdy nie powinno się robić nic takiego, co ludzi smuci – mówiła pani. Po południu tego samego dnia siedziałyśmy z Anną na schodach kuchennych i gawędziłyśmy i wówczas postanowiłyśmy, że zaraz zabierzemy się do tego, by sprawiać ludziom przyjemność. Najgorsze jednak było to, że nie bardzo wiedziałyśmy, jak się do tego wziąć. Miałyśmy zacząć od Agdy, naszej służącej. Zeszłyśmy do niej na dół, do kuchni. Szorowała na kolanach podłogę.

– Nie łażcie po mokrej podłodze – powiedziała.

– Agdo – poprosiłam – czy mogłabyś nam powiedzieć, z czego byś się bardzo ucieszyła i my mogłybyśmy to ci zrobić?

– Tak, gdybyście zechciały wynieść się z kuchni, gdy ja szoruję, to rzeczywiście ucieszyłabym się ogromnie – odparła Agda.

Wyszłyśmy więc znowu na dwór. Lecz to przecież nie było wcale miłe sprawiać ludziom przyjemność w t e n sposób. Pani też wcale tego nie miała na myśli.

Mama była w ogrodzie i zrywała jabłka. Podeszłam więc do niej i spytałam:

– Mamusiu, powiedz, co mogłabym zrobić, żebyś była zadowolona?

– Kiedy ja już jestem zadowolona – powiedziała mama.

To było doprawdy okropne. Nie chciałam jednak ustąpić:

– Ale może mogłabym zrobić coś takiego, żebyś była jeszcze bardziej zadowolona?

– Nie potrzebujesz robić nic innego, jak być nadal moją małą grzeczną córeczką – powiedziała mama. – Wówczas będę wystarczająco zadowolona.

Wróciłam do Anny i powiedziałam jej, że pani w szkole wcale nie ma pojęcia, jak trudno jest znaleźć kogoś, komu można by zrobić przyjemność.

– Spróbujmy z dziadziusem – powiedziała Anna.

Poszłyśmy więc do dziadziusia.

– Czy to przyszli moi mali przyjaciele? – spytał dziadzius. – Sprawiliście mi

prawdziwą przyjemność!

Coś podobnego! To przecież było okropne! Za ledwie zdążyliśmy przestąpić próg, a dziadzius już mówi, że sprawiliśmy mu przyjemność. Wobec tego nie miałyśmy przecież w ogóle nic do roboty.

– Nie, dziadziusiu – powiedziała Anna. – Tylko nie mów, że już jesteś zadowolony. My chcemy zrobić coś, żeby ciebie uradować. Musisz nam pomóc wymyślić coś takiego, gdyż pani powiedziała, że powinniśmy sprawiać ludziom przyjemność.

– Może zechciałybyście przeczytać mi gazetę?

Tak, oczywiście, to mogłybyśmy przecież zrobić, lecz robiłyśmy to tak często, że nie było w tym nic nadzwyczajnego. Aż tu nagle Anna powiedziała:

– Ty jesteś taki biedny, dziadziusiu, bo zawsze musisz siedzieć tu na górze w pokoju, czy nie ucieszyłbyś się, gdybyśmy cię zabrały na spacer?

Dziadzius nie był specjalnie uradowany tym pomysłem, obiecał jednak, że pójdzie z nami na spacer.

Poszliśmy więc. Anna i ja szłyśmy z obu boków dziadziusia i prowadziłyśmy go, bo przecież dziadzius nie widzi, dokąd idzie. Oprowadzałyśmy go dokoła całego Bullerbyn i rozmawiałyśmy, i opowiadałyśmy mu przez całą drogę różne rzeczy. Zaczęło trochę padać i zerwał się wiatr, ale nie zwracałyśmy na to uwagi, bo chciałyśmy za wszelką cenę, żeby dziadzius był zadowolony.

Gdy tak szliśmy, dziadzius odezwał się nagle:

– Czy nie myślicie, że teraz już będzie dość? Chciałbym się położyć.

Zaprowadziłyśmy więc dziadziusia z powrotem do jego pokoju. Dziadzius zaraz się rozebrał i położył do łóżka, chociaż to jeszcze nie był wieczór. Anna otuliła go dobrze kołdrą. Dziadzius wyglądał tak jak gdyby był trochę zmęczony. Zanim wyszłyśmy, Anna spytała go:

– Dziadziusiu, powiedz, co było najprzyjemniejsze z całego dzisiejszego dnia?

Myślałyśmy, że powie, że spacer był najprzyjemniejszy. Lecz dziadzius powiedział:

– Najprzyjemniejszą rzeczą w ciągu całego dzisiejszego dnia było to, że mogłem położyć się do mego wygodnego łóżka. Czuję się jakoś dziwnie i w ogóle jestem zmęczony.

Później Anna i ja musiałyśmy odrabiać lekcje i tego dnia nie miałyśmy już czasu sprawić ludziom żadnej przyjemności. Nie byłyśmy też pewne, czy robimy to tak jak trzeba, i dlatego postanowiłyśmy spytać panią następnego

dnia w szkole, jak właściwie należy to robić. Pani powiedziała, że często bardzo mało do tego potrzeba. Można na przykład zaśpiewać piosenkę komuś, kto jest samotny i chory, albo dać kwiatek komuś, kto nigdy nie dostaje kwiatów, albo pomówić przyjaźnie z kimś, kto czuje się onieśmielony i zapomniany.

Postanowiłyśmy więc z Anną spróbować znów na nowo. Po południu słyszałam, jak Agda mówiła mamie, że Kristin z Zagajnika jest chora. Pobiełam zaraz do Anny i powiedziałam:

– Pomyśl, jakie mamy szczęście! Kristin z Zagajnika jest chora! Chodź, pójdziemy do niej i zaśpiewamy jej coś!

Kristin ucieszyła się bardzo, gdy nas zobaczyła, ale chyba zdziwiła się, czemu nie przyniosłyśmy jej i czegoś w koszyku. Przecież zawsze przynosimy jej pełen koszyk. Pomyślałyśmy sobie jednak, że z pewnością będzie prawdziwie uradowana, gdy zaczniemy śpiewać.

– Czy pośpiewać ci trochę, Kristin? – spytałam.

– Śpiewać? – zapytała Kristin zdumiona. – Ale dlaczego?

– Żeby sprawić ci radość – powiedziała Anna.

– Ach, tak, ależ proszę, śpiewajcie sobie – zgodziła Kristin.

Wówczas huknęłyśmy „Burmistrza Munte” tak, że się rozległo po chatce. Potem zaśpiewałyśmy „Jakże ostry, surowy dmie północny wiatr”, wszystkie siedem zwrotek. Nie mogłam jednak zauważyć, żeby i Kristin wyglądała na bardziej uradowaną, niż gdy zaczynałyśmy. Dlatego też zaśpiewałyśmy jeszcze „Żegnaj mi, ojczyźnie” i jeszcze kilka piosenek, lecz Kristin nie wyglądała na ani odrobinę bardziej zadowoloną. Anna i ja zaczynałyśmy już chrypnąć, lecz nie chciałyśmy skończyć, zanim Kristin nie będzie prawdziwie uradowana, nawet gdyby to nas miało kosztować wiele pracy. Miałyśmy właśnie zacząć „Małą, czarną Sarę”, gdy Kristin wygrzebała się z łóżka i westchnęła:

– Śpiewajcie sobie, ile chcecie! Ja tylko na chwilę wyjdę!

Wówczas Anna oświadczyła, że nie warto już dłużej próbować, więc powiedziałyśmy Kristin do widzenia.

– Może pójdzie lepiej, gdy damy kwiaty komuś, kto nigdy nie dostaje kwiatów – powiedziała Anna.

Wyszłyśmy i zaczęłyśmy się zastanawiać nad tym, komu by tu dać kwiaty. Trzeba było znaleźć kogoś, kto nigdy kwiatów nie dostaje. Akurat zobaczyłyśmy Oskara – wchodził właśnie do obory. Dogoniłyśmy go i spytały:

– Oskarze, czy dostałeś już kiedyś kwiaty?

– Też coś, przecież jeszcze nie umarłem – powiedział Oskar.

Biedak, widocznie myślał, że kwiaty można dostać tylko na własny pogrzeb. Anna spojrzała na mnie zachwycona – już znalazłyśmy kogoś, kto nigdy nie dostawał kwiatów. Pobiegłyśmy więc zaraz na łąkę koło Zagrody Północnej i narwałyśmy wrzosów na bukiet. Był to doprawdy śliczny bukiet i zabrałyśmy go ze sobą do obory. Oskar wywoził właśnie taczkę z nawozem do gnojówki za oborą.

– Proszę, Oskarze, to są kwiaty dla ciebie – powiedziałyśmy i podały mu bukiet.

Oskar myślał z początku, że sobie żartujemy, i nie chciał wziąć bukietu, ale powiedziałyśmy mu, że m u s i go wziąć, i wtedy go wziął. Po chwili, gdy szukałyśmy z Anną królika, który uciekł, przechodziłyśmy koło gnojówki. W gnojówce leżał bukiet Oskara.

– Coś mi się zdaje, że pani myli się z tym wszystkim – powiedziała Anna.

Postanowiłyśmy skończyć ze sprawianiem ludziom przyjemności. Lecz trochę później, po południu, gdy Anna i ja weszłyśmy do naszej kuchni, zobaczyłyśmy, że siedzi tam mężczyzna, który wygląda bardzo nieśmiało. Svensson z Stubbenäset – nazywa się ten mężczyzna. Miał od nas kupić prosiaka, więc Lasse i Bosse pobiegli po tatusia, który orał w polu. Przez ten czas Svensson siedział w kuchni i czekał. Anna wciągnęła mnie do kąta i szepnęła:

– Czy nie uważasz, że on wygląda na nieśmiałego i zapomnianego? Gdybyśmy tak spróbowały jeszcze raz? Troszkę z nim porozmawiać i dodać mu otuchy, tak jak pani mówiła, wiesz przecież.

Postanowiłyśmy to zrobić. Zwykle Anna i ja możemy mówić bez końca, lecz gdy miałyśmy tak rozmawiać, żeby ucieszyć Svenssona, to nie mogłyśmy nic wymyślić. Myślałam i myślałam, aż w końcu powiedziałam:

– Dzisiaj jest piękna pogoda.

Svensson nic nie odpowiedział. Wtedy spróbowałam raz jeszcze:

– Dzisiaj jest ładna pogoda – powtórzyłam.

Potem zrobiło się zupełnie cicho. Po chwili powiedziałam:

– Wczoraj też była ładna pogoda.

– A jakże – odpowiedział Svensson.

Spojrzałam na Annę, gdyż uważałam, że i ona mogłaby trochę pomóc. Wtedy Anna dorzuciła:

– Pewno i jutro będzie ładna pogoda.

– A jakże – odpowiedział Svensson.

W tej samej chwili tatuś wszedł na podwórze, więc Svensson wstał i wyszedł. Zanim jednak zamknął drzwi, wetknął przez nie głowę, zachichotał i spytał:

– A jaka pogoda była przedwczoraj?

– Być może, jednak trochę go uradowaliśmy – powiedziała potem Anna.

– Być może – odpowiedziałam. – Ale teraz koniec. Nie myślę już sprawiać nikomu przyjemności.

A jednak sprawiłam komuś przyjemność. I Anna także. Następnego bowiem dnia pani w szkole powiedziała nam, że jedna dziewczynka z naszej klasy, która nazywa się Marta, przez długi czas nie będzie mogła chodzić do szkoły. Zachorowała na tak ciężką chorobę, że będzie musiała leżeć w łóżku przez wiele miesięcy. Wieczorem, zanim usnęłam, leżałam i myślałam o Marcie i wówczas postanowiłam, że dam jej moją najładniejszą lalkę – Bellę. Bo wiedziałam, że Marta nie ma żadnych zabawek.

Rano opowiedziałam Annie, że mam zamiar dać Marcie moją lalkę, wówczas Anna poszła i przyniosła swoją najpiękniejszą książkę z bajkami. Po lekcjach pobiegłyśmy do Marty. Leżała w łóżku i była bardzo blada. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby ktoś się tak ucieszył jak Marta, gdy położyłyśmy jej na kołdrze Bellę i książkę z bajkami. Ojej, jak się cieszyła! Obejmowała Bellę i książkę i wciąż tylko się śmiała. I zawołała swoją mamusię, żeby przyszła popatrzeć.

Gdy byłyśmy za drzwiami, powiedziałam do Anny:

– No, ale zrobiliśmy jednak komuś przyjemność, chociaż wcale nie myślałyśmy o tym.

A Anna zdziwiła się okropnie i powiedziała:

– Rzeczywiście!

Następnie zaś dodała:

– W każdym razie dobrze się stało, że nie zaczęłyśmy Marcie śpiewać. Bo mnie wydaje się, że ludzie cieszą się o wiele bardziej, gdy dostają lalki lub książki.

– Tak, przynajmniej dzieci – stwierdziłam.

DZIADZIUSZ KOŃCZY OSIEMDZIESIĄT LAT

Ubiegłej niedzieli dziadziusz skończył osiemdziesiąt lat. Tego dnia wstaliśmy wszyscy bardzo wcześnie. O godzinie ósmej rano poszliśmy do dziadziusia wszyscy: tatuś i mama, i Lasse, i Bosse, i ja, i Agda, i Oskar z Zagrody Środkowej, i wujek Nils, i ciocia Lisa, i Olle, i nawet Kerstin z Zagrody Południowej, no i oczywiście wszyscy z Zagrody Północnej. Ciocia Greta, mamusia Britty i Anny, ślicznie przybrała tacę ze śniadaniem. Wszyscy mieliśmy kwiaty dla dziadziusia.

Dziadziusz był już ubrany i siedział w swoim fotelu na biegunach i wyglądał tak ładnie i miło. My – wszystkie dzieci – zaśpiewaliśmy mu piosenkę, a wujaszek Erik miał przemówienie. Na końcu przemówienia powiedział tak:

– Nikt nie miał i nie ma takiego ojca jak ja!

Wtedy dziadziusz zaczął płakać, a łzy kapały mu na brodę. Niewiele brakowało, a ja też zaczęłabym płakać.

Przez cały dzień przychodziły listy, kwiaty i depesze dla dziadziusia.

– Ho, ho, tak, tak, że też ludzie pamiętają o takim staruszkę jak ja – mówił dziadziusz.

My, dzieci, zostałyśmy u dziadziusia, bo bardzo przyjemnie było odczytywać mu listy i depesze. Cię kawa jestem, ile razy właściwie dziadziusz powiedział "ho, ho, tak, tak" w dniu swoich urodzin. Siedział cichutko w fotelu, lecz od czasu do czasu mówił:

– Osiemdziesiąt lat! A to się człowiek nażył długo! Ho, ho, tak, tak.

Gdy powiedział to po raz piątą, Anna podbiegła do dziadziusia i powiedziała:

– Dziadziusiu! Obiecuj, że nigdy, nigdy nie umrzesz!

Lecz dziadziusz nie odpowiedział na to, poklepał tylko Annę po policzku i powiedział:

– Moja mała! Moja mała!

Gdy listy i depesze przestały już przychodzić, zaczęliśmy czytać dziadziusiowi gazetę. I wyobraźcie sobie, że w gazecie w jednym miejscu napisane było tak: „Osiemdziesiąt lat kończy w niedzielę 13 października były

właściciel gospodarstwa wiejskiego, Anders Jan Andersson, Zagroda Północna, Bullerbyn". Przeczytałyśmy to dziadziusiowi, a dziadzius przytaknął i wyglądał na bardzo zadowolonego, gdy mówił:

– Więc piszą o tym nawet w gazecie, ho, ho, tak, tak!

Chociaż ja nie mogłam zrozumieć, że były właściciel gospodarstwa wiejskiego Anders Jan Andersson to to samo, co dziadzius. Mogliby chyba równie dobrze napisać:

„Dziadzius z Bullerbyn kończy w niedzielę osiemdziesiąt lat”.

Czytałyśmy całą gazetę, lecz dziadzius od czasu do czasu chciał, żebyśmy mu znów przeczytały o byłym właścicielu gospodarstwa. W gazecie napisane były zresztą same smutne rzeczy. Że będzie wojna i wojna.

– Pomyślcie, jeśli wojna przyjdzie i zniszczy całe Bullerbyn – powiedział Bosse.

– Czy może tak być, dziadziusi?

– E, nie – rzekł dziadzius – tak chyba nie będzie. Pan Bóg będzie chyba osłaniał swą dłonią małe Bullerbyn!

– Mam nadzieję, że tak będzie – powiedziała Britta – bo chcę mieszkać w Bullerbyn tak długo, jak długo będę żyła.

Britta, Anna i ja wymyśliłyśmy coś dobrego. Wymyśliłyśmy, żeby Lasse ożenił się z Britta, gdy będzie duży, i że będą wtedy mieszkali w Zagrodzie Środkowej, żeby Bosse ożenił się z Anną i żeby mieszkali w Zagrodzie Północnej, i żeby Olle ożenił się ze mną, i żebyśmy mieszkali w Zagrodzie Południowej. W ten sposób wszyscy zostaniemy w Bullerbyn. Gdy siedzieliśmy u dziadziusia, opowiedziałyśmy chłopcom, cośmy wymyśliły, lecz Lasse powiedział na to:

– No, mogę mieć chyba ładniejszą żonę niż Britta!

A Bosse obiecał, że kiedyś pojedzie do Ameryki i zostanie wodzem Indian, i ożeni się z Indianką, która będzie miała na imię Śmiejąca Woda, czy coś w tym rodzaju.

– To będzie ślicznie, gdy będziesz ją wołał – powiedział Lasse. – „Śmiejąca Wodo, czy kawa już gotowa?”, „Śmiejąca Wodo, czy nastawiłaś kartofle?”

Na to Bosse odparł, że kartofli nie będą jedli, bo on kartofli nie lubi. A Olle dodał, że gdy będzie duży, chciałby mieszkać razem z Kerstin w Zagrodzie Południowej.

– A jeśli już koniecznie będę musiał się ożenić, to owszem, mogę z Lisą, ale na pewno nie obiecuję!

Och, co za głupi chłopcy! Ale oni się jeszcze przekonają, że my wyjdziemy za nich za mąż, czy będą tego chcieli, czy nie. Nam chyba też wolno kiedyś o czymś zdecydować! Ja przynajmniej mam zamiar wyjść za Ollego. Szkoda tylko, że nie ma włosów. Może jednak urośnie mu trochę, zanim będzie duży. Dziadzius bardzo śmiał się, gdy słyszał, co mówimy.

– Ho, ho, tak, tak, wiele jeszcze lat do tego czasu upłynie! Wszystko jest dobrze, dopóki jesteście dziećmi.

Gdy dziadzius poczuł się zmęczony, powiedzieliśmy mu dobranoc i poszliśmy do domu. Na dworze było zupełnie ciemno, więc Lasse, Bosse i ja odprowadziliśmy Ollego aż do drzwi kuchennych, żeby nie potrzebował iść sam w ciemności...

Nie, teraz to już naprawdę nie mogę wam opowiedzieć więcej o nas, dzieciach z Bullerbyn. Muszę iść spać, bo jutro mamy wszyscy kopać kartofle. Z tego powodu mamy trzy dni wolne od nauki. Bardzo przyjemnie jest kopać kartofle. Wkładamy na siebie nasze najgorsze ubrania i gumowe buty na nogi. Czasami jest na kartoflisku trochę zimno i marzną nam ręce. Wtedy chuchamy w nie.

Przed chwilą dostałam w pudełku od cygar list od Britty i Anny. Oto co piszą:

„Słuchaj, Liso, wymyśliłyśmy coś wspaniałego. Poczekaj tylko, jak będziemy na kartoflisku, to porządnie zażartujemy sobie z chłopców. Cha, cha, ale będzie wesoło, ale się rozzłoszczą!”

Ciekawa jestem, co też one wymyśliły, lecz tego dowiem się jutro...

Część III
W BULLERBYN JEST ZAWSZE WESOŁO

W BULLERBYN JEST ZAWSZE WESOŁO

Mam już dziewięć lat i, jak wiecie, mieszkam w Bullerbyn. Bullerbyn to znaczy po polsku Hałasowo. Mama mówi, że nasza osada dlatego tak się nazywa, że my, dzieci z Bullerbyn, strasznie hałasujemy. Trudno pojąć, jak sześcioro dzieci może narobić tyle harmideru – mówi. Wydaje się, że jest nas co najmniej trzy razy tyle. Ja zaś sądzę, że Lasse robi najwięcej tego hałasu. Robi tyle hałasu, co dziesięciu zwykłych chłopców, tego jestem pewna. A Bosse i Olle dopomagają mu, jak mogą. Britta, Anna i ja jesteśmy przynajmniej czasem cicho.

Jeśli ktoś chce dostać się do nas, to musi jechać przez szereg stromych pagórków. Bo Bullerbyn leży bardzo wysoko. Gdyby leżało trochę wyżej, to można by strącać gwiazdy zwykłymi grabiami – mówi Lasse. Ponieważ mieszkamy tak wysoko, mamy w Bullerbyn piękny widok. Chociaż przeważnie widzi się tylko dużo, dużo lasu. Jest jednak wiele ludzi, którzy uważają, że to miło widzieć tak dużo lasu. Przyjeżdżają tu i przyglądają się.

Pewnego razu przyjechała samochodem bardzo wytworna pani z dziewczynką.

– Chciałyśmy tylko obejrzeć ten widok – powiedziała wytworna pani.

Miała czerwony płaszcz i czerwony kapelusz i była bardzo ładna.

Jej dziewczynka była również ładna i miała jasnoniebieską sukienkę i małą czerwoną broszeczkę. Ta dziewczynka nazywała się Monika i była mniej więcej taka duża jak ja.

Mamusia spytała je, czy nie zechciałyby wstąpić do naszego ogrodu i napić się trochę soku wiśniowego. Mnie zaś powiedziała, żebym porozmawiała z Moniką. Wolałabym, żeby Britta i Anna były ze mną i pomogły mi trochę.

Lecz one poszły po sprawunki do Wielkiej Wsi i nie było ich w domu. Za to Lasse, Bosse i Olle byli w domu. Nie rozmawiali jednak z Moniką. Siali tylko za węglem i wyglupiali się. Co chwila wyglądali, coś mówili i śmieli się z tego głośno.

– Czy to są twoi bracia? – spytała Monika.

– Tylko Lasse i Bosse – odpowiedziałam. – Olle nie.

– A który z nich jest Olle? – spytała Monika.

– To ten, który nie ma włosów – powiedziałam.

W tej samej chwili nadszedł Lasse na szczudłach. Zrobił to tylko po to, żeby się popisać, tego jestem pewna. Lasse ma tak wysokie szczudła, że gdy na nich idzie, może zajrzeć w okna na piętrze naszego domu. Zrobił tak kiedyś, gdy siedziałam na górze w moim pokoju i bawiłam się lalkami. Nagle zobaczyłam, że Lasse wsadza głowę przez okno. Uchylił czapki i powiedział:

– Dzień dobry łaskawej pani! Jakże się pani miewa w ten piękny wieczór?

Przestraszyłam się w pierwszej chwili okropnie, lecz potem podbiegłam do okna i zobaczyłam, że Lasse stoi na szczudłach. Chodził na nich po raz pierwszy.

Teraz zaś chciał popisać się przed Moniką. Łaził na szczudłach po ogrodzie i krzyczał do Bossego i Ollego:

– Tu z góry ma się piękny widok!

Agda miała właśnie karmić prosiaki, wystawiła więc wiadro z pomyjami przed drzwi kuchenne. I wyobraźcie sobie, że Lasse poszedł i wywalił się właśnie tam. Wylał całe wiadro świńskich pomyj i sam rozłożył się w nich jak długi.

– Teraz my też mamy piękny widok! – krzyknął Bosse.

Śmiał się i bił po kolanach. Monika też się śmiała Lasse czmychnął czym prędzej do naszej łazienki nad strumieniem i stanął pod kranem, żeby się obmyć Wrócił potem zupełnie mokry, ale równie pewny siebie jak przedtem. Wykręcił włosy z wody, spojrział na Monikę i powiedział:

– Czego się nie robi, żeby ludzie mogli trochę się zabawić!

Mama kazała mu włożyć suche ubranie, zrobił to szybko i wrócił zaraz. Później chłopcy także zaczęli rozmawiać z Moniką. Oprócz Ollego, naturalnie, bo on przecież nie odzywa się do ludzi, których nie zna. W pewnej chwili jednak spytał Monikę:

– Czy chcesz zobaczyć moją małą siostrzyczkę?

Pobiegł prędko do siebie do domu i przyniósł Kerstin. Kerstin ma dopiero półtora roku. Olle okropnie ją lubi. Nic dziwnego, bo Kerstin jest taka milutka i jest jedyną siostrą Ollego!

Olle posadził Kerstin Monice na kolanach, a malutka tak ciągnęła Monikę za włosy, że wyrwała jej mały lok. Lecz Monika nie gniewała się o to wcale. Wiedziała zapewne, że małe dzieci zawsze tak robią

Stałam i patrzyłam na broszkę Moniki, i powiedziałam:

– Jaką śliczną masz broszkę.

– Czy chcesz ją? – spytała Monika.

Wcale jej nie chciałam, to jest – chciałam powiedzieć, że nie dlatego powiedziałam, że to śliczna broszka.

Monika odpięła jednak broszkę i włożyła mi ją do ręki. Jej mamusia także mówiła, żebym ją wzięła. Chociaż moja mamusia powiedziała:

– Nie, to nie uchodzi...

Dostałam jednak tę broszkę. Była cała z małych czerwonych paciorków i najładniejsza, jaką kiedykolwiek widziałam. Teraz jest moja. Mam ją w pudełku w stoliku.

Niebawem Britta i Anna przyszły z Wielkiej Wsi. Gdy zobaczyły samochód na drodze, wytrzeszczyły ze zdumienia oczy. Do Bullerbyn bardzo rzadko przyjeżdżają samochody, bo droga tutaj się kończy. Zresztą jest ona wąska i krzywa. Britta i Anna stanęły przy furtce i nie śmiały wejść do nas, widząc, iż moja mama i mama Moniki siedzą w ogrodzie i piją sok, a ja rozmawiam z Moniką. Wtedy zawołałam do nich:

– Czego tam stoicie i gapicie się? Czy nigdy nie widziałyście ludzi?!

Wówczas weszły i przywitały się z Moniką, a Monika spytała:

– Ile właściwie jest dzieci w Bullerbyn?

– Sześć i pół – powiedział Lasse.

Bo on uważa, że Kerstin jest tak mała, że nie można jej liczyć za całe dziecko.

Wówczas Olle rozżłościł się:

– Pół to ty sam jesteś!

Opowiedziałyśmy Monice, że Britta i Anna mieszkają w Zagrodzie Północnej, Lasse, Bosse i ja w Zagrodzie Środkowej, a Olle i Kerstin w Południowej.

– Ja też chciałabym tu mieszkać – powiedziała Monika.

Gdy mama Moniki wypila sok, wsiadła do samochodu, a wtedy Monika oczywiście musiała również iść.

Jej mama spojrzała jeszcze raz na krajobraz i spytała:

– Ale czy to nie jest nudne i jednostajne mieszkać tak wysoko w lesie?

Wtedy mamusia powiedziała:

– Mamy tyle pracy, że nie mamy czasu o tym myśleć.

Uważam, że mama Moniki była troszkę niemądra, jeśli mogła tak

powiedzieć. Wcale u nas nie jest nudno ani jednostajnie. Ja uważam, że w Bullerbyn jest zawsze wesoło.

Potem samochód odjechał, a Monika machała do nas tak długo, jak długo mogliśmy ją zobaczyć.

Myślę, że nigdy już nie zobaczymy Moniki. Została po niej tylko broszka. Pożyczyłam ją Britcie i Annie, każdej na chwilkę.

Pobiegliśmy potem do dziadziusia. Dziadzius bardzo lubi wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w Bullerbyn, więc musiałyśmy mu przecież opowiedzieć o samochodzie i Monice. Dziadzius mówi, że gdyby nas – dzieci – nie było, to nigdy by nic nie wiedział. Bo wszyscy dorośli w Bullerbyn mają tak mało czasu, że nie mogą przyjść z nim porozmawiać.

Opowiedziałyśmy mu dokładnie wszystko. Bardzo chciał, żeby mu opowiedzieć dużo o samochodzie, więc Bosse opisał go z najmniejszymi szczegółami. Dałam dziadziusiowi do potrzymania w rękę swoją broszkę. Powiedziałam mu, że jest cała z małych czerwonych paciorków, a wtedy dziadzius powiedział, że widzi ją w głowie i że jest to śliczna broszka. Potem powtórzyłam to, co mówiła mama Moniki, że może jest nudno i jednostajnie w Bullerbyn, a wtedy dziadzius odparł:

– Ho, ho, tak, tak, jacy ludzie potrafią być głupi!

Dziadzius uważa tak samo jak ja, że w Bullerbyn jest zawsze wesoło.

DOSTAŁAM JAGNIĄTKO

Może najprzyjemniej jest na wiosnę. Anna i ja staramy się czasem wymyślić, kiedy jest najprzyjemniej. Anna mówi, że najprzyjemniej jest latem, a ja uważam, że najprzyjemniej jest na wiosnę. No i na Gwiazdkę, oczywiście. Anna też tak uważa.

Opowiem teraz o czymś, co zdarzyło się na wiosnę. Mamy tu w Bullerbyn masę owiec. Owce te na wiosnę mają jagnięta.

Nie ma na świecie nic tak ślicznego jak jagniątko. Są śliczniejsze od kociąt i od szczeniąt, i od małych prosiaczków. Uważam nawet, że są ładniejsze od Kerstin, chociaż nie mogę tego powiedzieć głośno, by Olle nie usłyszał.

W tym czasie, gdy owce mają jagnięta, biegniemy każdego ranka do owczarni, żeby zobaczyć, ile nowych jagniątek przybyło w ciągu nocy. Gdy otwiera się drzwi do owczarni, wszystkie owce zaczynają beczeć tak głośno, jak tylko potrafią. A jagniątko beczą tak ślicznie, tak miło, wcale nie tak grubo jak stare owce i barany. Prawie każda owca ma dwa jagniątko.

Pewnej niedzieli rano, gdy przyszedłam do owczarni, zobaczyłam, że na słomie leży nieżywe jagniątko. Pobiegłam natychmiast do tatusia, żeby mu o tym powiedzieć. Poszedł zaraz zobaczyć, jak to się stało, że jagniątko nie żyje. Stało się tak dlatego, że jego mama nie miała mleka w wymieniu. Biedne, biedne jagniątko nie żyło, ponieważ nie miało co jeść. Usiadłam na progu owczarni i płakałam. Po chwili przyszła Anna, a gdy dowiedziała się o wszystkim, zaczęła również płakać.

– Nie chcę, żeby jagniątko umierały – powiedziałam do tatusia.

– Nikt tego nie chce – odparł tatuś. – Bardzo to przykre, lecz jest jeszcze jedno takie, które nie będzie żyło.

Wskazał na małe jagniątko, które trzymał na kolanach i które strasznie nędznie wyglądało. Był to brat nieżyjącego jagniątko. Nie dostawało mleka od swojej mamy, a mleko jest jedyną rzeczą, jaką nowo narodzone jagnięta mogą jeść. Tatuś powiedział, że biedactwo pewnie zginie.

Gdy to usłyszałyśmy, zaczęłyśmy z Anną jeszcze bardziej płakać.

Płakałyśmy okropnie.

– N i e c h c ę, żeby jagniątko umarło! – krzyknęłam i rzuciłam się na ziemię.

Wtedy tatuś mnie podniósł i powiedział:

– Nie płacz, Liso!

A potem dodał:

– Jeśli chcesz, możesz spróbować karmić to jagniątko z butelki. Jak niemowlę!

Tak bardzo się ucieszyłam, jak chyba nigdy przedtem.

Nie wiedziałam, że można karmić jagniątko tak samo jak niemowlę. Tatuś powiedział, żebym nie była za pewna. Przypuszczał, że jagniątko i tak umrze, ale mogłyśmy w każdym razie spróbować.

Anna i ja pobiegłyśmy do cioci Lisy, mamy Ollego, żeby pożyczyć smoczek i butelkę, z której Kerstin kiedyś piła mleko, gdy była zupełnie malutka. Potem pobiegłyśmy znów do tatusia.

– Tatusiu, czy nie mogłybyśmy dać troszkę śmietanki temu małemu biedaczkowi? – zapytałam.

Lecz tatuś powiedział, że gdybym dała jagniątku śmietanki, zachoruje ono zaraz. Jego żołądek znosi tylko mleko rozcieńczone wodą. Tatuś pomógł mi wymieszać mleko, po czym ogrzaliśmy butelkę w ciepłej wodzie. Potem wsadziłam smoczek do pyszczka jagniątka. Wyobraźcie sobie, że zaczęło ssać natychmiast! Widać było, że naprawdę jest głodne.

– Tak, teraz jesteś mamusią, która będzie wychowywać to jagniątko – powiedział tatuś. – Musi ono jednak dostawać pić bardzo często, i wcześnie rano, i późno wieczorem, więc nie wolno, by ci się to sprzykrzyło.

Anna powiedziała, że jeśli tylko mi się sprzykrzy, to wystarczy, gdy jej powiem, a ona bardzo chętnie nakarmi jagniątko. Lecz ja się oburzyłam:

– Też coś, chyba nie myślisz, że karmienie jagniątek może się sprzykrzyć!

Nazwałam jagniątko imieniem Pontus, a tatuś powiedział, że będzie to moje zupełnie własne jagniątko. Całe szczęście, że wszystko zostało załatwione, zanim Lasse i Bosse obudzili się w tę niedzielę, gdyż inaczej na pewno nie poszłoby to tak gładko.

– Że też nie można nawet wyspać się rano, bo przez ten czas Lisa dostaje jagniątko – narzekał Lasse. Był trochę zły, że to nie on dostał Pontusa.

Z początku wszystkie dzieci z Bullerbyn przychodziły patrzeć, jak karmię Pontusa. Znudziło im się to jednak szybko.

Właściwie to dziwne, jak często takie jagnię potrafi być głodne. Wydaje się, że właściwie ciągle jest głodne. Każdego ranka przed pójściem do szkoły biegłam do owczarni i dawałam Pontusowi jeść. Skoro tylko mnie zobaczył, biegł do mnie i wymachiwał swoim małym, krótkim ogonkiem, i beczał tak miło. Był zupełnie biały, lecz na pyszczku miał małą czarną plamkę, tak że można go było od razu odróżnić pomiędzy innymi jagniętami. Gdy byłam w szkole, Agda dawała mu raz jeść. Lecz skoro tylko wróciłam ze szkoły, musiałam go znów nakarmić. Późno wieczorem musiał również dostawać jeść.

Raz chciałam, żeby Anna poszła nakarmić mi Pontusa, lecz powiedziała:

– Jutro! Dzisiaj nie mam czasu!

Obiecałam przecież tatusiowi, że nie sprzykrzy mi się karmienie Pontusa, i nie obrzydło mi to też wcale. Bo lubiłam go tak bardzo. Najbardziej lubiłam go za to, że tak się cieszył, kiedy mnie widział. Pontus myślał z pewnością, że jestem jego prawdziwą mamą. Spytałam Lassego i Bossego, czy nie myślą, że Pontus myśli, że jestem jego prawdziwą mamą, a wtedy Lasse powiedział:

– Tak, na pewno. Jesteś taka podobna do owcy.

Pewnego dnia tatuś poradził mi, abym spróbowała nauczyć Pontusa pić ze skopka. Nie może przecież pić przez smoczek, gdy będzie dużym baranem.

Biedny Pontus nie wiedział wcale, dlaczego pewnego pięknego dnia przyszłam i postawiłam mu skopek przed nosem. Nie wiedział, co ma robić, żeby się napić. Trącał mnie pyszczkiem, żeby zobaczyć, gdzie smoczek, i beczał tak śmiesznie.

Bosse przyszedł ze mną i przyglądał się.

– Pij mleko, i już – powiedział do Pontusa. – Głupi jesteś czy co, pij, i już! – mówił.

Rozzłościłam się okropnie na Bossego.

– Pontus wcale nie jest głupi – powiedziałam. – Nie znasz się na jagniętach! Lecz Pontus wahał tylko mleko i beczał, i był smutny.

Znam się w każdym razie lepiej na jagniętach niż Bosse. Zaraz wpadłam na pomysł, co trzeba zrobić! Wsadziłam rękę do mleka. I wyobraźcie sobie, że wtedy Pontus zaczął ssać moje palce. Ssał i ssał, i w ten sposób wychłęptał całe mleko. Chociaż troszkę rozlał, to prawda.

Później przez pewien czas Pontus ssał moje palce. Lecz jednego ranka, gdy był prawdziwie, prawdziwie głodny, nie czekał, aż ja włożę rękę do mleka. Zaczął pić prosto ze skopka. I poszło świetnie. Odtąd nigdy już nie próbował ssać moich palców. Właściwie to szkoda, bo był taki miły, gdy tak ssał.

Na wiosnę, gdy zrobiło się cieplej, wypuściliśmy owce na pastwisko. Małe jagniątka miały się uczyć jeść trawę. Mimo to trzeba im było jednak dawać mleko, chodziłam więc co dzień na pastwisko ze swoim skopkiem mleka. Gdy stawałam tylko przy furtce, wołałam: „Pontus!”, jak mogłam najgłośniej. Wtedy słyhać było cieniutkie beczenie daleko na pastwisku i Pontus nadbiegał pędem, wymachując swoim krótkim ogonkiem w prawo i w lewo.

Teraz Pontus jest tak duży, że nie dostaje już mleka. Je trawę, chrupie liście i jest takim zuchem, że w końcu będzie z pewnością pięknym baranem.

Kto wie, może będę miała jeszcze więcej jagniąt w życiu. Albo może psy, albo koty, albo króliki. Lecz nikt nie będzie tak miły jak Pontus. Nigdy, nigdy, nigdy nie będę lubiła nikogo tak bardzo, jak lubić Pontusa.

PONTUS IDZIE DO SZKOŁY

Lasse drażnił się wciąż ze mną i mówił:

– Lepiej byłoby w każdym razie mieć psa niż jagnię.

Olle naturalnie trzymał z nim, bo ma przecież psa, który nazywa się Svipp.

– Oczywiście, że lepiej jest mieć psa – mówił Olle.

– Dlaczegoż to, jeśli wolno zapytać? – powiedziałam.

– Ech, psy można zawsze ze sobą zabierać – odpowiedział Olle. – Idą za człowiekiem wszędzie, gdziekolwiek się ruszy.

– Jagnię biega przecież tylko po pastwisku – powiedział Lasse.

– Ale jagniątko jest w każdym razie miłsze – powiedziała Anna, żeby mi pomóc.

– Cóż z tego za pożytek – powiedział Lasse – jeśli spaceruje tylko po pastwisku.

Rozmawialiśmy sobie tak w drodze powrotnej ze szkoły.

Następnego dnia poszłam jak zwykle na pastwisko i zawołałam Pontusa, a gdy nadbiegł pędem i był taki słodki i miły, że można go było zjeść, to pomyślałam sobie, że nie zamieniłabym go na tysiąc psów. I jeszcze coś sobie pomyślałam. Pomyślałam sobie, że to rzeczywiście szkoda, aby chodził tylko po pastwisku, gdzie nikt nie mógł zobaczyć, jaki jest śliczny.

Czasami Svipp biegnie za Ollem aż do szkoły. Pewno dlatego Olle powiedział, że psy wszędzie towarzyszą człowiekowi. Raz pani pozwoliła nawet Svippowi wejść do szkoły i położyć się na podłodze obok ławki Ollego.

Tak, ale to był Svipp! A biednemu Pontusowi wolno było biegać tylko po pastwisku. Stał i pił mleko ze skopka, a ja myślałam sobie, jaki niedobry jest Lasse i jaka to niesprawiedliwość, że psom wolno chodzić wszędzie, a jagniętom nie.

Gdy Pontus wypił mleko, postanowiłam, że wezmę go ze sobą do szkoły. Jak Lasse to zobaczy, to przynajmniej nie będzie już miał nic do gadania.

Trudno mi było zdążyć rano, gdyż najpierw musiałam zawsze pójść na pastwisko nakarmić Pontusa. Tego ranka, gdy miałam zabrać ze sobą

Pontusa do szkoły, wszystkie dzieci stały i czekały na mnie przed furtką Ollego.

– Spiesz się, Liso – krzyknęła Britta – bo spóźnimy!

Wtedy odwróciłam się do Pontusa i krzyknęłam:

– Spiesz się, Pontus, bo się spóźnimy!

Nigdy nie widziałam, żeby się ktoś tak zdziwił jak Lasse, Bosse i Olle, i Britta, i Anna, gdy zobaczyli Pontusa.

– Dokąd... dokąd on idzie? – spytał Lasse.

– Do szkoły – odparłam. – Może skończy się ta gadanina, że tylko psy chodzą wszędzie z ludźmi.

Trudno opisać, jakie mieli zdumione miny.

– Liso, czy jesteś pewna, że masz dobrze w głowie? – spytał Lasse.

– Czy mamusia i tatuś wiedzą o tym? – spytał Bosse.

Gdy Bosse zapytał, czy mamusia i tatuś wiedzą o tym, zaniepokoiłam się trochę. Bo o tym nie pomyślałam. Lecz Anna zaklaskała w ręce, roześmiała się i powiedziała, że dlaczegóż by nie można zabierać ze sobą jagniąt, tak jak się zabiera psy. Właśnie, przecież ja też tak uważałam!

Lasse zaczął chichotać bardzo ucieszony i powiedział:

– A niech idzie! Pani chyba zemdleje!...

Wyruszyliśmy więc wszyscy razem w drogę. Pontus też. Czasami stawał na chwilę, zupełnie jak gdyby się dziwił, że to jest możliwe. Wtedy wołałam „Pontus”, a on odpowiadał „beeee...” tak rozsądnie i doganiał mnie.

Zanim doszliśmy do szkoły, trwało to trochę dłużej niż zazwyczaj i spóźniliśmy się troszeczkę. Było już po dzwonku i dzieci siedziały w klasie. W Bullerbyn i w Wielkiej Wsi nie ma nas dużo, więc siedzimy wszyscy razem w jednej klasie i mamy tę samą panią, chociaż jesteśmy w różnych oddziałach.

Pontus potknął się wchodząc na szkolne schody i musiałam mu trochę pomóc.

– Może on jeszcze nie dojrzał do wieku szkolnego – powiedział Lasse.

Kilka lat temu, gdy Lasse miał zacząć chodzić do szkoły, nie mógł usiedzieć spokojnie ani jednej chwili. Wtedy pani powiedziała, że nie dojrzał jeszcze do wieku szkolnego. Odesłała go z powrotem do domu i kazała mu przyjść za rok. Uważała, że powinien się jeszcze trochę pobawić. Dlatego też teraz powiedział tak o Pontusie.

Britta zastukała w drzwi i weszliśmy.

– Przepraszam, że spóźniliśmy się – powiedziała Britta.

Zaledwie to powiedziała, Olle zaczął chichotać. My wszyscy staliśmy zupełnie cicho, lecz Olle chichotał, jak gdyby go ktoś łaskotał.

– To nadzwyczajne, jak ci dziś wesoło – powiedziała pani.

Pontus stał ukryty za nami, tak że nikt nie mógł go widzieć. Nagle jednak dało się słyszeć słodkie, cichutkie „beeee...” i Pontus wytknął głowę. Wszystkie dzieci aż podskoczyły w ławkach. Pani też zresztą.

– Coś podobnego... – powiedziała. – Czyżbyście odważyli się przyprowadzić tu jagnię?

– Lisa... – zaczął Bosse, ale zamilkł, bo pomyślał sobie pewnie, że pani będzie się na mnie gniewać. Ja też zaczęłam troszkę obawiać się tego.

– Uczymy się przecież o zwierzętach domowych powiedziałam bardzo cicho – więc pomyślałam sobie, że...

– Co sobie pomyślałaś? – spytała pani.

– Że dobrze będzie, jak wszyscy zobaczą prawdziwe jagnię – odpowiedziałam.

Chociaż nie myślałam tego wcale przedtem, dopiero teraz przyszło mi to do głowy.

Pani zaczęła się strasznie śmiać i wszystkie dzieci także. Szczególnie Olle. Śmiał się tak, że aż coś w nim piszczało.

Potem przyprowadziliśmy Pontusa przed katedrę, a wszyscy podchodzili i głaskali go. Przeczytaliśmy następnie w książce od przyrody o owcach i ja musiałam opowiedzieć, jak wykarmiłam Pontusa butelką. Wszystkim okropnie się podobał.

Zaśpiewaliśmy też „Biały baranku” specjalnie dla niego. Wydaje mi się jednak, że Pontusa zmęczył trochę hałas i że zaczął tęsknić do pastwiska. Jednak nadal był grzeczny i stał spokojniutko obok mojej ławki przez resztę lekcji. Chwilami podskakiwał troszkę i beczał. Za każdym razem Olle zaczynał się śmiać. Opierał głowę o ławkę i śmiał się tak, że wszyscy inni też musieli się śmiać.

Gdy jest ciepło i ładnie, siadamy sobie zawsze na schodach wiodących do szkoły i jemy nasze śniadanie na dużej pauzie. Teraz też tak zrobiliśmy. Jak zwykle miałam ze sobą butelkę mleka, więc dałam ją Pontusowi. Musiałam od pani pożyczyć skopka i wlałam mu tam mleko. Wszystkie dzieci przyglądały się, jak Pontus pił. Anna dała mi połowę swego mleka, żebym nie była głodna.

Potem Pontus biegał sobie po podwórku szkolnym, a nawet miał zamiar

zabrać się do szczypania marchewki, która właśnie zaczęła wschodzić w ogrodzie pani. Wypędziłam go jednak stamtąd i powiedziałam, że ma się uspokoić do czasu, aż znowu wróci do domu, na pastwisko. Gdy lekcje się skończyły i już mieliśmy iść do domu, Lasse powiedział:

– Jutro będziemy się uczyć o bydle rogatym. To będzie wesoło! Przyprawdę ze sobą byka!

Olle zaczął się tak śmiać, że aż dostał czkawki.

– Będzie może trochę ciasno, gdy stanie koło mojej ławki – stwierdził Lasse. Lecz pani powiedziała, że teraz już dosyć przyprawdzania żywych zwierząt do szkoły. Nawet gdyby to miało być bardzo pożyteczne przy nauce przyrody. W każdym razie na dłuższą metę byłoby to za kłopotliwe.

– No, tak, bo jak zaczniemy uczyć się o krokodylu... – powiedziała Anna.

Wówczas Olle aż pisnął ze śmiechu i ledwo mógł wykrztusić:

– Wtedy przyprawdę ze sobą krokodyla!

Pontus bardzo się zmęczył w drodze powrotnej. Nieśliśmy go na zmianę przez wszystkie pagórki. Potem odprowadziliśmy go wszyscy na pastwisko. Nigdy jeszcze nie widziałam jagnięcia biegnącego tak szybko jak Pontus, gdy wypuściliśmy go na łąkę. Galopował do owiec i beczał tak, że rozlegało się po całym pastwisku.

– Od razu widać, że on jeszcze nie dojrzał do wieku szkolnego – powiedział Lasse.

GDY WRACAMY ZE SZKOŁY

Gdy my, dzieci z Bullerbyn, wracamy ze szkoły, jest nam zawsze bardzo wesoło. Idziemy i rozmawiamy o wszystkim, co zdarzyło się w szkole, a czasem opowiadamy sobie bajki albo też rozmawiamy o tym, co będziemy robić, gdy dorośniemy, i różne takie inne rzeczy.

Czasem siadamy sobie na skraju drogi i odpoczywamy trochę, a czasem włączymy na drzewa lub idziemy po płocie zamiast po drodze, żeby nie było zawsze tak samo.

Mama mówi, że nie może zrozumieć, dlaczego trzeba dwa razy tyle czasu, żeby wrócić ze szkoły niż żeby do niej dojść. Ja też tego nie rozumiem. To jest doprawdy dziwne. Ale na to nie ma rady. Wydaje mi się, że temu nie można już zaradzić.

Pewnego dnia na wiosnę, gdy wróciliśmy bardzo późno, mama powiedziała do mnie:

– Opowiedz teraz dokładnie, co robiliście po drodze ze szkoły!

Więc opowiedziałam. To było tak:

– Najpierw poszliśmy do sklepu w Wielkiej Wsi i kupiliśmy cukierków ślazowych dla dziadziusia. Dziadziuś okropnie lubi cukierki ślazowe i kupujemy mu je bardzo chętnie. Bo trzyma je w narożnej szafce w swoim pokoju i częstuje nas prawie za każdym razem, gdy do niego przychodzimy. To Britta kupowała cukierki ślazowe. Mieliśmy wielką chęć spróbować trochę, lecz wiedzieliśmy, że nie wolno. Britta schowała je do swego tornistra i powiedziała:

– Jeżeli cała szóstka zacznie próbować to dla dziadziusia zostanie tylko torebka.

– To na nic – stwierdził Lasse. – Najlepiej będzie, jeśli popędzimy do domu, zanim stanie się nieszczęście!

Ruszyliśmy w stronę domu. Lecz Bosse jest tak łakomy na cukierki i podobne rzeczy, że powiedział:

– Gdybym tak miał koronę! Kupiłbym cukierków za całą koronę!

– Tak, ale nie masz przecież korony – powiedziała Anna. – Wyjątkowo!

– Lecz gdybym tak mógł znaleźć koronę – rozmarzył się Bosse. – Przypadkiem!

– Nie może ci się to nigdy przytrafić – powiedziała Britta – bo gdy idziesz, gapisz się w górę. Mógłbyś chociaż patrzeć na ziemię!

Wtedy Bosse postanowił, że będzie patrzył na ziemię. I nie uszedł z pewnością więcej niż pięćdziesiąt metrów, gdy znalazł koronę. To był przecież niemal cud! Może istnieją trolle, które słyszą, czego kto sobie życzy, i rozsypują korony na drodze. Ta korona leżała na rozdrożu, skąd droga skręca do Bullerbyn.

Bosse stał z początku i gapił się tylko na koronę tak, jak gdyby myślał, że to nieprawda. Potem podniósł ją i pobiegł pędem z powrotem, by kupić w sklepie cukierków, tak jak powiedział przedtem. Czekaliśmy na rozstaju. Gdy wrócił, poczęstował nas wszystkich cukierkami.

– Pomyśl, jak łatwo jest znajdować pieniądze – powiedział Bosse. – Jakie sumy człowiek już przegapił!

Ach, jak uważnie wpatrywaliśmy się w ziemię od tej chwili, a Lasse powiedział:

– Gdyby tak mieć koronę!

Bo myślał, że może jakiś troll i jemu da koronę. Nie znalazł jednak korony.

Wtedy powiedział:

– Gdyby tak mieć pięćdziesiąt öre!

Nie znalazł jednak pięćdziesięciu öre! Nie chciał mimo to ustąpić i powiedział:

– Gdyby tak mieć dziesięć öre!

Lecz i tych również nie znalazł. Wówczas powiedział ze złością:

– Zobaczycie, że znajdę jeden öre!

Lecz i jednego öre nie znalazł ani on, ani nikt z nas. Po tej koronie Bossego nikt z nas nie znalazł ani jednego öre.

W drodze do domu Bosse częstował nas cukierkami, a w końcu wpadł na pomysł, żebyśmy urządzili konkurs, kto będzie najdłużej trzymał w ten sposób cukierek w ustach, by się nie rozpuścił. Wymyślił to z pewnością po to, żeby cukierków nie ubywało tak prędko. Był to w każdym razie dobry konkurs. Włożyliśmy wszyscy po cukierku do ust i ssaliśmy go tak wolno, jak tylko się dało.

Po jakimś czasie zatrzymaliśmy się i stanęliśmy w kółko. Potem

wyciągnęliśmy języki i porównywaliśmy nasze cukierki, a wówczas okazało się, że nic prawie z nich nie zostało. Byliśmy wówczas w połowie drogi do Bullerbyn, tuż przed domkiem szewca Grzecznego. Szewc wytknął głowę przez okno w kuchni i powiedział, że jeśli jest wśród nas ktoś, kto ma trochę oleju w głowie, to może zabrać podzielowane buty Agdy. Pochowaliśmy czym prędzej języki, bo nie chcieliśmy, żeby ktoś widział, jak porównujemy cukierki. Britta wygrała konkurs. Lasse wziął buty Agdy i schował je do swego tornistra.

Potem Olle chciał, żebyśmy zrobili konkurs, kto najdłużej potrafi wstrzymać oddech, urządziliśmy więc taki konkurs. Na wszelki wypadek jednak odczekaliśmy, aż odejdziemy dalej od domku szewca. Bo szewc uważałby może za głupie i to, że staje się pośrodku drogi i wstrzymuje oddech.

Wstrzymywaliśmy oddech bardzo długo. Powiedziałam mamie potem, że to oczywiście nie dlatego przyszedliśmy tak późno do domu, że tak długo wstrzymywaliśmy oddech, ale w każdym razie było to troszkę dlatego. Lasse twierdził, że wygrał, lecz wówczas Olle powiedział:

– Nie, Bosse był bardziej niebieski na twarzy niż ty!

Później Lasse zaproponował:

– A może byśmy tak spróbowali, kto najdalej potrafi pluć? Nie ma jednak sensu, żeby dziewczynki próbowały. W pluciu są do niczego.

Britta, Anna i ja rozżłościłyśmy się okropnie. Umiemy przecież chyba pluć równie dobrze jak kto inny! Britta powiedziała nawet, że jeżeli nie mamy brać udziału w pluciu, to w takim razie chłopcy wcale nie potrzebują przychodzić na jej urodziny następnego dnia. Wówczas pozwolili nam. Z góry wiadomo było, że Lasse wygra. Chociaż Anna pluła doprawdy dalej niż Bosse i Olle.

Szewc ma łąkę, która na wiosnę stoi pod wodą. Wygląda wówczas zupełnie jak małe jezioro. Na łące tej leży olbrzymi kamień. Na wiosnę wystaje on ponad wodę, zupełnie jak wyspa. Gdy doszliśmy do łąki szewca, stanęliśmy, żeby sobie trochę odpocząć.

– Chciałbym przedostać się do tego kamienia – powiedział Lasse.

Powiedzieliśmy wszyscy, że my też byśmy chcieli. Wówczas Lasse przyniósł kilka żerdzi z płotu, które ułożył jak mostek do kamienia. Przechodziliśmy więc po kolei przez ten pomost. Najpierw Lasse. Pogoda była śliczna i słoneczna i bardzo przyjemnie było siedzieć na kamieniu w blasku słońca.

– Gdybyśmy tak mieli coś do jedzenia! – powiedziała Anna.

Nie mieliśmy jednak nic do jedzenia. Cukierki się skończyły. Wówczas Lasse zaczął szukać w swoim tornistrze. Były tam buty Agdy i kanapka z serem, której nie zjadł na drugie śniadanie.

Bawiliśmy się, że kamień jest okrętem, który błąka się po morzu, i że my jesteśmy marynarzami, którzy każdego dnia mogą umrzeć z głodu, jeśli pomoc nic nadejdzie. Lasse podzielił swój chleb z serem na sześć równych kawałków i dał nam mówiąc:

– Towarzysze, tylko to dzieli nas od śmierci. Lecz bądźcie tacy dzielni jak wasz kapitan!

To on był oczywiście kapitanem. Potem powiedział, że najgorsze jest to, że nie mamy wody i czeka nas śmierć z pragnienia. Wówczas odezwał się Bosse:

– Ależ... przecież cała łąka szewca jest pełna wody, aż chlupocze!

Lasse odpowiedział na to, że Bosse jest głupi. Dokoła naszego okrętu jest słona woda, a Lasse rozstrzela każdego, kto spróbuje napić się jej.

– Bo jeśli się wypije słonej wody, to można zwariować – powiedział.

Położył się następnie na kamieniu i udawał, że bredzi z głodu i pragnienia, a Bosse powiedział:

– Coś mi się wydaje, że on się napił tej słonej wody!

Potem Lasse ukląkł, złożył ręce i krzychał: „Na pomoc, na pomoc” tak, że aż się rozlegało i aż ciarki przechodziły po mnie. Gdy tak krzychał w najlepsze, zobaczyliśmy nagle pędzącego szewca. Myślał, że Lasse naprawdę wzywa pomocy, i był zły jak osa.

– Skoro żeście tam powłazili, to możecie chyba równie dobrze stamtąd powyłazić, zatracone bachory!

Wlaził jednak do wody i przeniósł nas, każde z osobna, z kamienia na ląd. To jednak było grzecznie z jego strony, że nas uratował, chociaż cały czas wymyślał i nawet nóg sobie nie zamoczył, bo miał gumowe buty. Właściwie było to zupełnie niepotrzebne. Nie mieliśmy jednak odwagi mu tego powiedzieć.

Umykaliśmy stamtąd czym prędzej, a on krzychał jeszcze za nami, że nic na świecie mu tak nie obrzydło, jak dzieciaki z Bullerbyn i żebyśmy na drugi raz zostawili jego żerdzie w spokoju.

Gdy już uszliśmy spory kawałek drogi, spojrzałam na tornister Lassego i zawołałam:

– A co zrobiłeś z butami Agdy?

Lasse miał przerażoną minę. Powiedział, że buty zostały oczywiście na

kamieniu. Położył je tam, gdy szukał kanapki. Zawróciliśmy więc wszyscy, bo było nam żal Lassego, że musi iść sam.

Tak, buty leżały na kamieniu, zawinięte w gazetę. Lecz szewc zabrał żerdzie. Ponieważ było tak ciepło i słonecznie, Lasse powiedział, że możemy wszyscy zdjąć buty i przejść w bród do kamienia.

Tak też zrobiliśmy. Woda nie była specjalnie zimna. Bawiliśmy się, że kamień jest wyrzuconym na mieliznę wrakiem, a my jesteśmy piratami, którzy muszą się dostać na jego pokład, żeby uratować drogocenny skarb – to jest buty Agdy.

Udawaliśmy też, że na wraku pełno jest innych piratów, którzy też chcą zdobyć skarb, więc biegaliśmy wokoło po wodzie i strzelaliśmy do tamtych piratów. Lasse dowodził nami, gdy wdrapywaliśmy się na wrak z nożami w zębach. (To były oczywiście tylko patyki, ale udawaliśmy, że to są noże).

W końcu stanęliśmy wszyscy na kamieniu, a Lasse zaczął wymachiwać butami Agdy nad głową i krzyżeć:

– Łup jest nasz! Śmierć każdemu, kto się do nas zbliży!

Wtedy przyszedł szewc... To właśnie on zbliżał się do nas! Biedny, aż mi go było żal, gdy nas zobaczył! Bo teraz zrozumiał, że na próżno nas uratował. Przez długą chwilę stał z otwartymi ustami i nic nie mówił. Siedzieliśmy na kamieniu cicho jak myszy. W końcu jednak życie wstąpiło w szewca.

– Wynoście się – krzyżał – wynoście się, zanim sprowadzę na siebie przez was nieszczęście!

Zsunęliśmy się więc z kamienia, przebrnęliśmy na ląd, schwyciliśmy nasze buty i pończochy i umykaliśmy, ile tylko sił w nogach. A szewc krzyżał za nami, że to dziwna rzecz, że nie ma takiego miejsca w Bullerbyn, gdzie moglibyśmy siedzieć i krzyżeć do woli.

Potem poszliśmy do domu. Nie zatrzymywaliśmy się już po drodze. Tylko raz zatrzymaliśmy się, żeby zajrzeć do gniazdka, które Bosse nam pokazał. Wdrapywaliśmy się więc po kolei na drzewo i zaglądaliśmy do gniazdka. Leżały w nim cztery jasnoniebieskie jajeczka. Bosse ma już takie jajeczka w swoim zbiorze. Bosse bardzo interesuje się ptakami i ptasimi gniazdkami. Oglądaliśmy jajeczka bardzo ostrożnie. To nie trwało przecieź długo.

Chociaż gdy opowiedziałam to wszystko mamie, powiedziała:

– Teraz zaczynam rozumieć, że jest wprost niemożliwe, żebyście wracali ze szkoły wcześniej niż o piątej.

Lasse poszedł do Agdy i powiedział, że jutro dostanie swoje podzielowane

buty. Są w bezpiecznym miejscu. Nie powinna się wcale obawiać, że
przepadną w ciągu nocy. Leżą bowiem na wraku i są strzeżone przez piratów.
I przez okropnie złego szewca.

OLLEMU RUSZA SIĘ ZĄB

Pewnego dnia pani spytała Ollego:

– Dlaczego siedzisz z palcami w ustach, Olle?

Olle zawstydział się bardzo i powiedział:

– Bo ząb mi się rusza.

– To wyrwij go, jak przyjdiesz do domu – powiedziała pani. – Teraz przecież zajmujemy się rachunkami. Jutro wszyscy obejrzymy dziurkę, gdzie siedział ząb.

Gdy Olle to usłyszał, miał zupełnie przerażoną minę. On uważa, że to okropne wyrwać ząb, nawet jeśli się rusza. Ja też tak uważam.

– Ech, to wcale nie boli wyrwanie takiego małego, mlecznego zęba – powiedział tatuś.

Bardzo być może, że to właściwie tak bardzo nie boli, lecz jest to ogromnie niemiłe w każdym razie. Zwykle dostajemy dziesięć öre za każdy ząb, który nam tatuś wyrwie. Tatuś wyrwa oczywiście tylko te, które się ruszają, ale to wystarczy...

Bosse wcale nie boi się wyrwania zębów. Uważam więc, że właściwie nie powinien dostawać dziesięciu öre. Zakręca tylko grubą nitkę dookoła zęba i – ciach – pociąga i już ząb wyrwany. Ale tatuś daje Bossemu mimo to dziesięć öre za to, że jest taki odważny.

Lecz Olle, biedaczek, boi się jeszcze więcej niż ja wyrwania zębów. Gdy wracaliśmy ze szkoły, próbowaliśmy wszyscy po kolei, czy ząb już bardzo się rusza. I rzeczywiście bardzo się ruszał.

– Taki jak ten twój mogę wypstryknąć raz–dwa – pochwalił się Bosse.

– Nie wypstrykniesz – powiedział Olle.

Całą drogę szedł ze zwieszoną głową i niewiele mówił.

– E, nie smuć się z tego powodu – powiedziałam.

Bo to tylko wtedy jest nieprzyjemnie, gdy się ma samemu taki ruszający się ząb.

– Wiem, co zrobimy – powiedział Lasse. – Gdy przyjdziemy do domu,

zawiązesz grubą nitkę wokół zęba, a drugi jej koniec przywiążemy do płotu. Wtedy rozżarzę kawałek żelaza, do czerwoności i przejadę ci tym żelazem przed samym nosem. Tak się przestraszysz, że odskoczysz w tył, a wówczas ząb wyleci.

– Dam ja ci rozżarzone żelazo – powiedział Olle ze złością.

Nie uważał wcale, żeby to była dobra propozycja. Gdy wróciliśmy do domu, zawiązał jednak grubą nitkę wokół zęba, aby móc za nią od czasu do czasu pociągnąć i w ten sposób jeszcze bardziej rozruszać ząb. W jakiś sposób musi go się pozbyć. Pani powiedziała przecież, że obejrzy dziurkę następnego dnia. Zdaje mi się, że to najbardziej gnębiło Ollega. To, że ząb musiał usunąć już na jutro. Inaczej pani rozumiałaby, że Olle boi się wyrywania zębów, a on wcale tego nie chciał.

Anna próbowała go pocieszyć i mówiła:

– Ech, pani na pewno do jutra zapomni o twoim zębie.

Anna wiedziała jednak równie dobrze jak Olle, że nasza pani prawie nigdy niczego nie zapomina. Lasse mówił, że ona jest wprost niebezpieczna z tą swoją dobrą pamięcią.

Jak zwykle wieczorami na wiosnę bawiliśmy się w piłkę na dole, na drodze. Przez cały czas długa, czarna, gruba nitka zwisała Ollemu z ust. Gdy biegał, wyglądało to bardzo śmiesznie. Chwilami zapominał widocznie o zębie, nitce i całej biedzie, śmiał się i rozmawiał jak zwykle. Nagle jednak zaczynał markotnieć, pociągał bojaźliwie za nitkę i wzdychał.

– Teraz jest siódma, a ty jeszcze nie wyrwałeś tego zęba – odezwał się w końcu Lasse. – Może jednak spróbujemy z tym żelazem?

Bosse poprosił, żeby jeszcze raz pokazać mu ząb, i powiedział:

– To przecież głupstwo, on trzyma się tylko na jednym cieniutkim pasemku skóry. Wyciągnij go, i już!

Olle wzdrygnął się, gdy to usłyszał. Właśnie to ostatnie cieniutkie pasemko jest najgorsze!

Gdy już mieliśmy dość grania w piłkę, poszliśmy na górę do dziadziusia.

Opowiedzieliśmy mu, że Olle ma ruszający się ząb.

– Musi go dziś wieczorem wyciągnąć, bo pani nauczycielka chce jutro obejrzeć dziurkę.

Gdy Lasse to mówił, Olle był bliski płaczu.

– Ho, ho, tak, tak... Zęby... Gdy ja byłem mały... – zaczął dziadzius.

– O tak, dziadziusiu, opowiedz, jak to było, gdy byłeś mały – poprosiła Anna

i wdrapała się dziadziusiowi na kolana.

Wtedy dziadzius opowiedział, że kiedy był dzieckiem, miał tak okropny ból zęba przez cały miesiąc, że w końcu zmuszony był pójść do kowala, żeby mu wyrwał ów ząb. W gminie tej nie było jeszcze wtedy dentysty. Kowal wziął wielkie obcęgi od podków i wyrwał dziadziusiowi ząb i to strasznie bolało. Lecz gdy dziadzius wrócił do domu, znów go ząb okropnie rozboleł. Bo kowal wyrwał niewłaściwy ząb.

Potem ząb bolał dziadziusia jeszcze przez cały miesiąc, ale nie miał już odwagi iść do kowala. To tak okropnie bolało, gdy kowal rwał duże, trzonowe zęby zwykłymi cęgami. W końcu jednak ból był nie do zniesienia i dziadzius musiał do niego pójść. Tym razem kowal wyrwał właściwy ząb. Musiał szarpać z całej siły, bo ząb siedział bardzo mocno i miał bardzo duże korzenie.

– Biedny dziadzius – westchnął Olle.

Myślę jednak, że był zdania, że jego własny ząb jest co najmniej równie trudny do wyrwania, chociaż nie miał wcale korzeni.

– Jak trudno jest wyobrazić sobie, dziadziusiu, że byłeś małym dzieckiem i bałeś się wyrwania zębów – powiedziała Anna.

– Ho, ho, tak, tak... to było dawno – odparł dziadzius. – Teraz mam tylko trzy zęby i wypadną mi same lada dzień.

– I teraz już nigdy nie potrzebujesz się bać – powiedziała Anna zadowolona.

– Tak, tak, moja mała – powiedział dziadzius – teraz już nie muszę się bać.

Potem podszedł do narożnej szafki i wyjął dla nas ślazowych karmelków. Dał nam wszystkim, każdemu po kilka, mówiąc:

– Nie jedzcie cukierków! Tylko zęby będą was od tego bolały! Ho, ho, tak, tak...

Powiedzieliśmy dziadziusiowi dobranoc i wyszliśmy na dwór.

– No, jakże będzie z twoim zębem? – zapytał Lasse. – Czy ma siedzieć tak długo, aż będziesz taki stary jak dziadzius?

Olle rozgniewał się, czemu się wcale nie dziwię.

– Przeszkadza ci? To chyba mój ząb, o ile wiem!

– Tak, ale kiedy go wyciągniesz? – zapytała Britta.

Olle zaczął dłubać przy nitce i odpowiedział:

– Jutro rano. Może...

Potem pobiegł do siebie, biedaczek. Wówczas Lasse odezwał się:

– Szkoda Ollego. Wiem, co zrobię. Kiedy Olle zaśnie, wejdę do niego i wyrwę mu ząb.

– Ale jakże będziesz mógł to zrobić? – dziwiliśmy się.

– Dam radę. Lekarz dentysta Lasse Eriksson wyrywa zęby ze znieczuleniem – powiedział i wypiął dumnie brzuch.

Wtedy powiedzieliśmy, że chcemy pójść z nim razem i popatrzeć.

Pobiegliśmy więc wszyscy do pokoju Lassego i Bossego i usiedliśmy w oczekiwaniu.

Wszystkie trzy domy w Bullerbyn stoją tak blisko siebie, że tylko parę metrów dzieli Zagrodę Południową, gdzie mieszka Olle, od Środkowej, w której my mieszkamy. Pomiedzy domami zaś rośnie lipa, po której zawsze Lasse, Bosse i Olle przełazą, gdy się odwiedzają. Pokój Ollego położony jest akurat naprzeciwko pokoju Lassego, w którym siedzieliśmy i czekali.

Słyszeliśmy, że Olle coś jeszcze robi w swoim pokoju.

– Czy położysz się niedługo, Olle? – zawołał w końcu Lasse.

– Idź i połóż się sam! – krzyknął Olle.

– Ja i Bosse już leżymy! – zawołał Lasse, a my chichotałyśmy cichutko.

Bo oni leżeli przecież na podłodze i mieli ubrania na sobie.

– Czy nie jesteś śpiący, Olle? – spytał Bosse po chwili.

– Tak, ale wy tak krzyczycie, że nie można spać! – odpowiedział Olle.

Mieliśmy więc nadzieję, że jednak się położył.

– Zgaś światło, Olle! – zawołał Lasse.

– Ty sam zgaś! – krzyknął Olle.

Wtedy Lasse zgasił światło. Siedzieliśmy po ciemku i czekaliśmy.

Po krótkiej chwili Olle zgasił światło w swoim pokoju.

– Żeby chociaż prędko usnął, bo inaczej ja usnę – powiedziała Anna ziewając.

Wówczas usłyszeliśmy, jak coś zaszleściło na lipie. To szedł Olle. Britta, Anna i ja wśliznęłyśmy się szybko do dużej szafy w ścianie, a Lasse i Bosse rzucili się na swoje łóżka i podciągnęli sobie kołdry pod brodę.

– Słuchaj, Bosse – powiedział Olle. – Ja może jutro będę chory i nie będę mógł iść do szkoły. W takim razie nie czekajcie na mnie.

– Chory?... Dlaczego miałbyś być chory? – spytał Lasse. – Gdybyś tylko chodził w porę spać wieczorami, to byłbyś zdrow jak ryba.

– Boli mnie brzuch – poskarżył się Olle i wlażł z powrotem do siebie.

Jestem pewna, że brzuch bolał go tylko dlatego, że był tak zdenerwowany tym zębem.

Czekaliśmy długo i w końcu tak nam się chciało spać, że ledwie patrzyliśmy

na oczy.

– No, już teraz chyba zasnął – powiedział w końcu Lasse.

I wylazł na lipę.

– Czy jeszcze nie śpisz, Olle? – zapytał jak mógł najciszej.

– Nie, teraz już śpię – odpowiedział Olle.

Musieliśmy więc znów usiąść i jeszcze trochę poczekać.

W końcu Lasse powiedział, że musi pójść zobaczyć, czy Olle zasnął, bo jeżeli jeszcze nie, to znaczy, że jest chory i że trzeba wezwać do niego lekarza.

Wówczas wyleźliśmy na lipę wszyscy tak cichutko, jak tylko się dało. Lasse miał ze sobą swoją kieszonkową latarkę. Zaświecił nad łóżkiem Ollego. Olle leżał i spał, a gruba nitka zwisała mu z ust. Zrobiło mi się okropnie nieprzyjemnie, bo sama wiedziałam, jak to jest nieprzyjemnie rwać zęby. Jeśli to będzie bardzo bolało, to może Olle zacznie krzyczeć... I co powie, gdy nas wszystkich zobaczy?

Lasse ujął mocno grubą nitkę i powiedział:

*Raz, dwa, trzy na me wezwanie,
a za czwartym niech się stanie,
a za piątym niech tu będzie,
a za szóstym huknie wszędzie.*

I właśnie, gdy wymawiał „huknie”, pociągnął – i na końcu nitki dyndał już ząb. A Olle nawet się nie obudził. Mruknął tylko przez sen:

– Tak mnie brzuch boli...

Bosse próbował go obudzić, lecz nie mógł. Lasse powiedział, że to nawet dobrze, bo Olle może pomyśleć, że to jakieś duchy przyszły i wyrwały mu ząb. Lasse przywiązał nitkę do lampy pod sufitem, a na tej długiej nitce dyndał ząb. Gdy Olle obudzi się rano – zobaczy od razu. Pomyślcie, jak się ucieszy!

Następnego dnia Ollego wcale nie bolał brzuch. Stał przed swoją furtką i czekał na nas jak zwykle. Tak się śmiał, że na samym przedzie widać było między zębami dużą dziurę.

– Czy to ty zrobiłeś, Lasse? – zapytał.

Wtedy opowiedzieliśmy mu, że byliśmy wszyscy u niego na górze. Olle śmiał się jeszcze bardziej, gdy mu opowiedzieliśmy, co mówił przez sen. Był tak wesół, że aż skakał i kopał wszystkie kamienie leżące na drodze.

W końcu odezwał się:

– Właściwie to nie tak trudno wyrywać zęby.

– Pewno że nie, oczywiście ze znieczuleniem – powiedział Lasse.

Postanowiliśmy, że zawsze będziemy sobie nawzajem wyrywać w nocy zęby, to znaczy oczywiście te, które będą się ruszały. Gdy przyszliśmy do szkoły, Olle poszedł prosto do pani, otworzył szeroko usta i powiedział:

– Niech pani zobaczy, wyrwałem ząb!

– Prawdę mówiąc, to ja – mruknął Lasse ze swojej ławki. Lecz pani tego nie słyszała.

ANNA I JA SAME NIE WIEMY, CO ROBIMY

Anna i ja mamy za przystanią specjalne miejsce, gdzie rosną pierwsze sasanki. Mamy również drugie miejsce, gdzie rosną śnieżyczki. A zawilce rosną na szystkich łąkach w Bullerbyn – aż się od nich roi. Zbieramy zawilce, śnieżyczki i sasanki. Gdy trzyma się bukiet przed nosem, wówczas wie się, że to wiosna, nawet jeśli się ma oczy przymknięte.

Anna i ja mamy jeszcze jedno ulubione miejsce na wiosnę. Jest nim głęboki parów. Mamy dwie skrzynki po cukrze, na których tam siedzimy. Woda szumi wokół nas, ale my nie jesteśmy mokre – przynajmniej nie bardzo. Wokół parowu rośnie czeremcha. Rośnie ona tak gęsto, gęsto, że tworzy zupełnie zieloną salę z liści. Siedzimy tam dość często. Gdy czeremcha kwitnie, słońce świeci i woda szumi dokoła nas, jest doprawdy bardzo przyjemnie. Lecz Britta tego nie rozumie. Pewnego dnia, gdy siedziałyśmy tam – Anna i ja – przyszła Britta i wysunęła nos spomiędzy krzaków. Zobaczyła nas na dole w parowie i zapytała:

– Co robicie?

Anna i ja spojrzaliśmy na siebie.

– Same nie wiemy!

Wtedy Britta stwierdziła, że jeśli się samemu nie wie, co się robi, to nie ma to wielkiego sensu i że równie dobrze można robić coś innego, i poszła sobie. Lecz Anna i ja siedziałyśmy dalej; chociaż nie wiedziałyśmy, co robimy.

W parowie rosną śnieżyczki. W pewnej chwili ja powiedziałam Annie, że jestem księżniczką Śnieżyczką. Anna mnie, że jest księżniczką Sasanką.

– Witaj w moim zielonym pałacu! – zawołałam.

– To ty witaj w m o i m zielonym pałacu – powiedziała Anna.

Potem sprzeczałyśmy się ze sobą przez chwilę o to, czyj właściwie jest zielony pałac. Wówczas jednak przyszło nam na myśl, że Sasanka i Śnieżyczka mogą być bliźniętami i że każda z nich mieszka w swojej części pałacu.

*O mój zielony pałacu,
o moja szumiąca rzeko*

– mówiła Anna tym swoim głosem, który ma tylko wtedy, gdy się we dwie bawimy. A ja powtarzałam:

*O mój zielony pałacu,
o moja szumiąca rzeko...*

Narwałam gałęzi czeremchy i wpięłam sobie we włosy. Anna zrobiła to samo.

– O moje białe, białe kwiaty – powiedziałam i pomyślałam, że teraz Anna powie to samo. Ale nie zrobiła tego.

– O moje białe, białe... króliki – powiedziała.

– Jakie znów króliki? – zapytałam.

– Moje zaczarowane króliki – odpowiedziała Anna. Powiedziała mi, że w swym zielonym pałacu ma złotą klatkę z dwoma małymi, zaczarowanymi królikami.

– Cha, cha, ty tego nie masz! – zawołałam.

W tej samej chwili zobaczyłam małą żabkę, która siedziała na brzegu parowu, i zawołałam:

– O moja zaczarowana mała żabko! – i pobiegłam złapać żabkę. Każdy człowiek wie przecież, że żaby są przeważnie zaczarowanymi księżętami. W bajkach oczywiście. Anna też wiedziała o tym i zazdrościła mi okropnie mojej żabki.

– Czy mogę ją chwilę potrzymać? – zapytała.

– Trzymaj swoje białe króliki – odparłam.

Lecz Anna tak bardzo prosiła, żeby dać jej przez chwilę potrzymać moją żabkę, że w końcu pozwoliłam.

– Pomyśl, Liso, jeśli to naprawdę zaczarowany królewicz...

– Kręci ci się w głowie od zapachu czeremchy – odpowiedziałam.

Zacząłam się jednak zastanawiać. Może to rzeczywiście dlatego, że czeremcha tak mocno pachniała w słońcu, i mnie zakręciło się w głowie. Nagle bowiem pomyślałam sobie, że kto wie, czy to nie jest zaczarowany książe. W czasach, kiedy istnieli zaczarowani księżęta, istniały też zapewne zwykłe żaby, które nie były zaczarowanymi księżętami. Wówczas mogło się

zdarzyć, że jakiś zaczarowany księżę został zapomniany tylko dlatego, że ludzie myśleli, że to zwykła żaba. Jeśli więc żadnej księżniczce nie zależało na tym i żadna go nie pocałowała, to musiał on dalej być żabą w nieskończoność, nawet i teraz, gdy bajki się skończyły. Biedaczek, siedział tu teraz w rowie, w Bullerbyn, zupełnie zapomniany. Spytałam Annę, czy też tak myśli. Ona też tak przypuszczała.

– Tak – powiedziałam – w takim razie pozostaje nam tylko jedna rzecz do zrobienia. Musimy go pocałować, żeby czary przestały działać.

– A pfe! – wzdrygnęła się Anna.

Wówczas powiedziałam jej, że gdyby księżniczki w dawnych czasach były równie głupie jak ona, to po dziś dzień mielibyśmy rowy pełne zaczarowanych księżąt.

– Ale my przecież nie jesteśmy prawdziwymi księżniczkami...

– Musimy w każdym razie spróbować powiedziałam. – Jeżeli jedna drugiej pomoże, to może jakoś pójdzie.

– Zaczynaj ty, księżniczko Śnieżyczko – poprosiła Anna i podała mi zaczarowanego księcia.

Trzymałam go w ręku i patrzyłam na niego i kiedy pomyślałam o tym, że muszę go pocałować, zrobiło mi się jakoś nieprzyjemnie w żołądku. Ale nie było rady.

Wtedy przypomniała mi się pewna rzecz.

– Słuchaj, Anno! Jeśli to rzeczywiście jest zaczarowany księżę, to pamiętaj, że żaba była moja.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Anna.

– Tak, bo on otrzyma księżniczkę i połowę królestwa – wiesz przecież...

Wtedy Anna się rozłościła:

– Jeśli ci pomogę i pocałuję go, to chyba będzie mój tak samo jak twój. Niech sam wybiera.

Wówczas postanowiłyśmy, że księżę będzie mógł wybrać sam, czy będzie wolał księżniczkę Sasanę, czy księżniczkę Śnieżyczkę.

Powiedziałam:

*Raz, dwa, trzy na me wezwanie,
a za czwartym niech się stanie,
a za piątym niech tu będzie,*

Przymknęłam oczy i pocałowałam żabę.

– Widocznie jest bardzo mocno zaczarowana – powiedziała Anna – jeśli jeszcze nie zamieniła się w księcia. Nie wiem nawet, czy to ma sens, żebym i ja ją jeszcze pocałowała.

– Tylko się nie wykręcaj! Proszę bardzo, księżniczko Sasanko!

Wówczas Anna wzięła żabę i pocałowała ją szybko, szybko, ale tak się śpieszyła, że z pośpiechu upuściła ją do rowu, a żabka dała nurka tak prędko, jak tylko mogła.

– Ty gapo! – krzyknęłam. – Czmychnął nasz zaczarowany książę!

– Wiesz co – powiedziała Anna. – Mnie się zdaje, że księżniczki powinny być prawdziwe, żeby to mogło odnieść skutek z taką obrzydliwą żabą.

Wówczas usłyszałyśmy głośny śmiech za krzakami. Stali tam Britta, Lasse, Bosse i Olle. Widzieli i słyszeli wszystko.

– Patrzcie! Oto siedzą te, co same nie wiedzą, co robią! – powiedziała Britta.

A Lasse wznosił oczy do nieba i wołał:

*O mój zielony pałacu,
o moja szumiąca rzeko,
o moje białe, białe kwiaty!*

– O moje białe, białe króliki! – darł się Bosse.

– A wtedy żaba dostała królestwo i pół księżniczki! – wołał Olle skrecając się ze śmiechu.

Wtedy Anna wzięła pustą puszkę od konserw, którą miałyśmy w parowie, napełniła ją wodą i chlusnęła prosto na Ollego.

– Oszalałaś?! – krzyczał Olle. – Co ty robisz?!

– Jestem taka zła, że sama nie wiem, co robię – powiedziała Anna.

Ja też nabrałam w rękę wody i chlusnęłam nią prosto w ucho Lassemu.

– Tak, Anna i ja same nie wiemy, co robimy! – powiedziałam.

SKRZYNIA MĘDRCÓW

O ten ząb, który mu wyrwał Lasse, Olle dbał tak, jak gdyby to była bryła złota. Nosił go w kieszeni w pudełku od zapalek, czasem go wyjmował i przyglądał mu się.

W parę dni później Bossemu zaczął ruszać się ząb. Nie było to dla niego przecież żadną sztuką wyrwać go sobie tak jak zwykle. Teraz jednak przyszło Bossemu do głowy, żeby i jemu usunięto ząb podczas snu. Dlatego też wieczorem, zanim poszedł spać, przywiązał długą, grubą nitkę do zęba, a potem przymocował ją do klamki u drzwi. Gdy następnego ranka Agda weszła do pokoju, żeby obudzić chłopców i pociągnęła klamkę, ząb wyskoczył, a Bosse obudził się.

– To nadzwyczajne, ile przyjemności można mieć z zębami – powiedział Bosse, gdy tego dnia szliśmy do szkoły.

On również włożył swój ząb do pudełka od zapalek. Szli z Ollem i porównywali swoje zęby. Lassego drażniło to, że nie miał wyrwanego zęba.

– Ciekawe, gdzie też mogłem położyć ten trzonowy ząb, który wyrwał mi dentysta, gdy był w Bullerbyn w ubiegłym roku – zastanawiał się.

Wieczorem przeszukiwał swoją szufladę bardzo dokładnie i znalazł wiele ładnych rzeczy, które, jak sądził, zginęły już raz na zawsze. W pudełku od cygar leżało kilka kasztanów i kilka łusek od naboii, i zepsuty gwizdek, i pięciu zepsutych żołnierzy ołowianych, i zepsuty ołówek wysuwany, i zepsuty zegarek, i zepsuta latarka kieszonkowa, no i trzonowy ząb. Ząb też był zepsuty. Dlatego trzeba go było usunąć. Lasse przyjrzał się wszystkim swoim zepsutym rzeczom i powiedział, że zreperuje je wszystkie, gdy tylko będzie miał trochę czasu. Oprócz zęba, oczywiście. Ząb włożył do pudełka od zapalek. Przez cały wieczór Lasse, Bosse i Olle chodzili ze swymi pudełkami od zapalek i grzechotali nimi, i tak zadzierali nosy, że nawet nie chcieli jeszcze raz zagrać z nami w piłkę.

Britta, Anna i ja grałyśmy w klasy i nie zwracałyśmy na nich uwagi.

– Tak mi już obrzydły te zęby – powiedziała Britta – że niedługo wypluję

swoje własne.

W tej samej chwili nadeszli chłopcy. Przez dłuższy czas siedzieli w pokoju Lassego i Bossego. Miny mieli bardzo przebiegłe.

– Nie mówcie nic dziewczynkom o naszym zamiarze – zaklinał Lasse.

– O, nie – powiedział Bosse. – A toby dopiero było, gdybyśmy im to powiedzieli!

– Nie ma mowy – dodał Lasse.

Britta, Anna i ja omal nie pękłyśmy z ciekawości. Byłyśmy jednak rozsądne, więc nie odezwałyśmy się.

– Teraz twoja kolej, Anno – powiedziałam.

I dalej grałyśmy w klasy, jak gdyby chodziło o nasze życie, i udawałyśmy, że wcale nie jesteśmy ciekawe.

Lasse, Bosse i Olle usiedli na skraju drogi i przyglądali się.

– Chyba dobrze to schowałeś? – spytał Bosse Lassego.

– Bądź spokojny – zapewnił Lasse. – Skrzynię Mędrców należy chować w bezpiecznym miejscu!

– Tak, bo inaczej dziewczynki mogłyby się do tego dostać – powiedział Olle – a to byłaby prawdziwa bieda.

Lasse zrobił taką minę, jak gdyby nie mógł sobie wyobrazić większej biedy.

– Nie mów takich okropnych rzeczy, Olle! Gdyby się to dostało w ręce dziewczynek... oj, oj, oj!

– Teraz twoja kolej, Liso – powiedziała Britta.

I grałyśmy dalej w klasy, i udawałyśmy, że nie słyszymy ani jednego słowa o Skrzyni Mędrców.

Wtedy chłopcy poszli sobie. Kroczyli wszyscy trzej rzędem, a Anna pokazała ich palcem i szepnęła:

– Oto idą mędrcy, hi, hi!

Zacząłyśmy się śmiać z całej siły, wówczas Lasse odwrócił się, i powiedział:

– To dobrze, że nie tracicie humoru, chociaż są sprawy i rzeczy, o których nie macie, biedactwa, pojęcia!

Wtedy postanowiłyśmy odszukać Skrzynię Mędrców. Wiedziałyśmy oczywiście, że jest to jeden ze zwykłych, głupich pomysłów chłopców, ale chciałyśmy w każdym razie dowiedzieć się, co to jest ta Skrzynia Mędrców.

Chłopcy poszli na pastwisko, żeby pojeździć konno na naszej czarnej kłaczy, Swei. Wsunęłyśmy się szybko do pokoju Lassego i Bossego. Zacząłyśmy szukać. Ojej, jak szukałyśmy! Ale to wcale nie jest łatwo znaleźć Skrzynię

Mędrców, gdy się nawet nie wie, jak ona wygląda. Zaglądałyśmy do szuflad i pod łóżka, i na półki w szafie, i do pieca, i wszędzie na strychu. Lecz Skrzyni Mędrców nigdzie nie znalazłyśmy.

Gdy w najlepsze zajęte byłyśmy szukaniem, usłyszałyśmy, jak drzwi na strychu skrzypnęły i wtarabanili się chłopcy. Oj, jak musiałyśmy się śpieszyć! Na strychu wisi moc starych ubrań. Schowałyśmy się za nie i stałyśmy cichutko jak myszy.

– Wyjmijmy ją i przyjrzyjmy się jej jeszcze raz — powiedział Bosse.

– Najpierw sprawdźmy, gdzie się podziały dziewczynki — poradził Lasse. — Może są u Lisy w pokoju i wygłupiają się z lalkami.

– Ech, to byłoby słyhać, jak gadają, wiesz chyba — powiedział Olle. — Pewnie są w Zagrodzie Północnej. Wyjmij skrzynię!

Stałyśmy, nie mając odwagi się poruszyć. Bałam się okropnie, że kichnę albo że zacznę się śmiać. Wyglądało to tak, jak gdyby Lasse szedł prosto na mnie, i o mało nie umarłam z przerażenia. Lecz zatrzymał się w porę, pochylił się i wyjął coś, czego nie mogłam dojrzeć. Anna trąciła mnie, a ja też trąciłam ją na znak, że wiem, o co chodzi.

– Mędrcy, przysięgnijcie, że nigdy nie zdradzicie kryjówki! — zawołał Lasse.

– Dobrze, ale jak mamy to powiedzieć? — spytał Bosse.

Jemu nie jest tak łatwo coś wymyślić jak Lassemu i mnie. A Olle zapewnił:

– Przysięgamy, że nigdy nie zdradzimy kryjówki!

– Przysięgnijcie, że nigdy nie pozwolicie na to, by Skrzynia Mędrców dostała się w ręce niewiernych! — powiedział Lasse.

Znów szturchnęłam Annę — to oczywiście Britta, Anna i ja byłyśmy niewiernymi.

Bosse i Lasse przysięgali, że nigdy nie pozwolą na to, by Skrzynia Mędrców dostała się w ręce niewiernych.

– Bo jeśli dostanie się w ręce niewiernych — powiedział Lasse — to straci swą tajemniczą moc.

Och, jaką miałam straszną chęć zobaczyć tę dziwną skrzynię, lecz chłopcy stali tak, że zasłaniali ją. W końcu Lasse schował ją z powrotem pod obluzowaną deskę, po czym wynieśli się znów na dół.

Wówczas zabrałyśmy się do dzieła. Skoro tylko drzwi na strychu się zatrzasnęły, wyskoczyłyśmy z ukrycia i podniosłyśmy deskę w podłodze. No i rzeczywiście była tam Skrzynia Mędrców! Było to tylko stare pudełko od cygar. SKRZYNNIA MĘDRCÓW napisane było wielkimi literami na pokrywce,

a pod napisem narysowana była trupia czaszka.

– Otwórz prędzej, Britto, zobaczymy, co tam jest ładnego w środku! – niecierpliwiła się Anna.

Britta otworzyła pudełko. Anna i ja wyciągnęłyśmy szyje, jak tylko mogłyśmy, żeby zobaczyć, co tam jest w środku. Były tam tylko trzy małe, białe ząbki. Było to wszystko, co zawierała Skrzynia Mędrców!

– Czasami wydaje mi się, że chłopcy nie mają dobrze w głowie – powiedziała Britta.

Agda trzyma wszystkie swoje rzeczy w starej komodzie, która stoi na strychu. Mama powiedziała, że w żadnym wypadku nie wolno nam ruszać rzeczy Agdy. Ale Agda jest taka dobra... Pokazuje mi czasem całą masę ślicznych rzeczy, które ma w komodzie. Ma tam małą różową poduszeczkę do igieł, obszytą koronką, i dużo ładnych pocztówek, na których są kwiaty, i butelkę od perfum, która tak ślicznie pachnie, i bransoletkę, która jest prawie złota, i... och, jest tam tyle rzeczy, że nie mogę ich wszystkich wyliczyć.

Gdy w zeszłym roku był w Bullerbyn dentysta, wstawił Agdzie nowe sztuczne zęby. Bo powiedział, że nigdy nie widział takich brzydkich sztucznych zębów jak jej stare i że to przecież szkoda, żeby miała takie zęby, skoro poza tym tak miło wygląda. Agda nie wyrzuciła starych zębów. Powiedziała mi, że może je nosić czasami w dni powszednie, a przynajmniej, kiedy jest brzydka pogoda, a nowe schowa na niedzielę.

– Będą chyba wystarczająco dobre, by w nich chodzić karmić prosięta i doić krowy – powiedziała.

Wkrótce jednak znudziły jej się te stare zęby, bo nowe były przecież o wiele ładniejsze. Agda bardzo lubi Oskara, więc chciała zapewne ładnie wyglądać również i w dni powszednie.

Wiedziałam, że stare zęby leżą w górnej szufladzie komody Agdy. Teraz zaś przyszła mi świetna myśl do głowy.

– Wiecie, co zrobimy? – powiedziałam do Britty i Anny. – Włożymy sztuczne zęby Agdy do Skrzyni Mędrców! Jeżeli tajemnicza moc może powstać z trzech mizernych ząbków, to co dopiero z całego garnituru!

Britta i Anna strasznie się z tego ucieszyły.

– To jest o wiele lepsze niż wykradzenie Skrzyni Mędrców – powiedziała Britta. – Bo skoro chłopcy mają głupie pomysły, to trzeba im pokazać, że się tego nie bierze na serio. Dziewczynki nie mogą przecież brać udziału w byle jakich głupstwach.

Włożyliśmy więc zęby Agdy do pudełka od cygar i schowaliśmy je tam, gdzie było przedtem. Potem wyszliśmy zobaczyć, co robią chłopcy. Grali na drodze w kulki. Usiadliśmy przy drodze i przyglądaliśmy się.

– A, więc mędracy mają zwyczaj wieczorami grywać w kulki – powiedziała Britta.

Nic nie odpowiedzieli. Lasse miał ręce pełne kul, a ja dodałam:

– Myślę, że Skrzynia Mędrców byłaby chyba dobra do przechowywania kulek.

Nic nie odpowiedzieli. Tylko Lasse westchnął głęboko. Miało to znaczyć, że uważa, że niewierni są głupszy niż zwykle.

– No, możecie nam chyba opowiedzieć o Skrzyni Mędrców – Britta szturchnęła w bok Lassego.

Lasse odparł, że nie ma w tym nic takiego, co można by opowiedzieć dziewczynkom. Skrzynia Mędrców pełna jest tajemniczej mocy i można nią czynić cuda. Ukryta jest w zatajonym miejscu, a my nigdy, nigdy, nigdy nie dowiemy się gdzie. Tylko tajne bractwo, które rozporządza tą Skrzynią, wie, gdzie ona się znajduje. Gdyby było inaczej, utraciłaby ona swą tajemniczą moc – powiedział Lasse.

– Czy tajne bractwo to ty, Bosse i Olle? – dopytywała się Britta.

Lasse milczał i miał tajemniczą minę. Britta, Anna i ja zaczęliśmy się śmiać na cały głos.

– Zdaje mi się, że one denerwują się tym, że nie wiedzą, gdzie schowaliśmy pudeł... Skrzynię Mędrców – dogadywał Bosse.

– Schowaliście ją z pewnością w waszej szafie – powiedziała Britta przebiegle.

– Wyobraź sobie, że nie – odparł Bosse.

– Ach tak, to chowacie ją zapewne na strychu pod jakąś oblużowaną deską w podłodze – powiedziała Anna.

– Wyobraźcie sobie, że nie! – powiedzieli Lasse, Bosse i Olle, wszyscy naraz. Lecz jacy byli zaniepokojeni! Odechciało im się zupełnie grać w kulki.

– Może pójdziemy obejrzeć twoje ptasie jaja, Bosse – zaproponował Lasse.

Obejrzeć ptasie jaja Bossego! Myślał, że damy się na to nabrać! Wiedziałyśmy przecież doskonale, że chcą czym prędzej uratować Skrzynię Mędrców.

– Ptasie jajka? Och, widzieliśmy je przecież tyle razy! – powiedział Bosse, który czasami trochę wolno myśli. Wówczas Lasse spojrzał na niego ze

złością, a Bosse nareszcie zrozumiał, o co chodzi.

– Dobrze, oczywiście, możemy obejrzeć ptasie jajka! – zgodził się z okropnie chytrą miną.

I chłopcy poszli sobie wolniutko, żebyśmy niczego nie podejrzewały.

My zaś czym prędzej pobiegłyśmy do mamy Ollego i powiedziałyśmy jej, że chcemy tylko wziąć coś z pokoju Ollego, i wbiegłyśmy pędem na schody, i przelazłyśmy po lipie do pokoju Lassego i Bossego, i pobiegłyśmy pędem na strych, gdzie schowałyśmy się za ubraniami. Zaledwie zdążyłyśmy tam stanąć, a już usłyszałyśmy tupanie chłopców na schodach.

– Jak myślicie, co Anna miała na myśli, gdy mówiła o tej podłodze na strychu? – spytał Bosse.

– Tss! – powiedział Lasse. – Tak sobie pewnie gadała. Najlepiej jednak będzie, jeśli na wszelki wypadek przeniesiemy Skrzynię Mędrców w jakieś inne miejsce.

W tej samej chwili Lasse podniósł deskę, lecz nie mogliśmy nic zobaczyć, gdyż chłopcy nam zasłaniali.

– Otwórz, to obejrzę mój ząb – powiedział Bosse.

– Mędrcy – powiedział Lasse. – Tego, co ukryte jest w tej Skrzyni, nie mogą nigdy oglądać oczy niewiernych! Tylko nasze!

Potem zrobiło się cicho, więc zrozumiałyśmy, że Lasse otworzył pokrywkę. Później musieli zobaczyć zęby Agdy, bo usłyszałyśmy tylko wrzask. Wybiegłyśmy z ukrycia ze śmiechem, a ja powiedziałam:

– Teraz macie już pewnie tyle tej tajemnej mocy, że wystarczy wam na cały rok!

Wówczas Lasse cisnął zęby Agdy na podłogę i powiedział, że dziewczyny nie powinny w ogóle istnieć na świecie, bo one tylko wszystko psują. Anna zaś prosiła:

– Lasse kochany, zrób jakiś cud z pudełkiem od cygar!

– Chcecie dostać lanie, co?! – krzyknął Lasse

Potem Lasse, Bosse i Olle powyrzucali swoje zęby i poszliśmy wszyscy razem grać w piłkę.

LASSE POLUJE NA DZIKIE BAWOŁY

Są dwie rzeczy, których zazdroszczę Britcie i Annie. Przede wszystkim dziadziusia. Dziadzius mowi, że ponieważ nie ma w Bullerbyn więcej dzieci oprócz nas, to on zupełnie dobrze może być dziadziusiem nas wszystkich. Wówczas Anna mówi:

– Tak, być może. Ale tak naprawdę, naprawdę, n a p r a w d ę to jesteś tylko moim dziadziusiem. No i Britty, oczywiście.

Gdy przychodzimy do dziadziusia, aby mu poczytać gazetę, Anna siada mu na kolanach, a dziadzius wciąż mówi do niej „moje złotko”. Nie rozumiem, jak on widzi jakąś różnicę między Anną a nami, przecież jest niemal niewidomy. A jednak widzi. Mimo że Anna nie jest owłosiona jak Ezaw w historii biblijnej. Dla ojca Ezawa nie było żadną sztuką rozróżniać dzieci, skoro jedno było włochate, a drugie gładkie. Dziadzius jest naprawdę zuchem, bo przecież Anna nie jest ani trochę włochata.

Dziadzius jest jednak tak dobry dla nas wszystkich, że właściwie to nic nie szkodzi, że nazywa Annę „swoim złotkiem”.

Britta i Anna mają oprócz tego swoje własne jezioro. To jest ta druga rzecz, której im zazdroszczę. Wystarczy przebiec przez ich pastwisko, a już jest się nad jeziorem Zagrody Północnej. Kąpiemy się w nim latem. Na brzegu jest śliczna plaża. Pewnego razu, gdy posprzeczałyśmy się, Anna zabroniła mi kąpać się w ich jeziorze. Wówczas mamusia Anny powiedziała, że mogę się w nim kąpać, ile mi się podoba. Bo takie jest prawo. Anna nie może więc zabronić mi kąpać się w jeziorze Zagrody Północnej, gdybyśmy się nawet nie wiem jak posprzeczały.

Zresztą sprzecząmy się bardzo rzadko.

Po drugiej stronie jeziora nie ma piaszczystej plaży. Są tam wysokie góry. Przynajmniej mnie się wydaje, że one są wysokie. Lasse mówi, że powinnam w takim razie zobaczyć Góry Skaliste. Bawimy się czasem, że to są na niby Góry Skaliste. Podpływamy do nich na łódce z Zagrody Północnej.

Lasse mówi, że to z pewnością jakiś olbrzym rozrzucił wszystkie te

ogromne bloki skalne i głazy w Górach Skalistych. Kiedyś, dawno temu, gdy jeszcze nie było ludzi. Kiedy jeszcze nie było Bullerbyn. To całe szczęście, że ktoś wpadł na pomysł, żeby zbudować Bullerbyn. Bo inaczej nie mielibyśmy przecież gdzie mieszkać. Lasse mówi, że wówczas mieszkalibyśmy w grocie w Górach Skalistych. Jest tam piękna grota pod kilku ogromnymi, ogromnymi głazami.

Rośnie tam sosna, do której zawsze przywiązujemy łódź, gdy przepływamy na drugą stronę jeziora. Potem wspinamy się wysoko w góry, lecz nie w byle jakim miejscu. Mamy specjalne miejsca, gdzie wiemy, że można uchwycić się rękoma. A jest to doprawdy konieczne, bo bardzo trudno jest wspiąć się na góry. Mamy tam również szczelinę, którą nazywamy Nosiskiem. Jest ona bowiem tak wąska, że niemal zawsze mamy podrapane nosy, gdy się przez nią przeciskamy. M u s i m y tamtędy przeciskać się, gdyż innej drogi nie ma. Dalej jest skała, która sterczy do góry i trzeba przechodzić po wąziutkiej krawędzi, żeby ją obejść. Tę skałę nazywamy Złamanym Ryjkiem. Bo Lasse mówi, że Bosse spadł tam kiedyś i złamał sobie ryjek. Wcale tak nie było, bo Bosse spadł i p r a w i e że złamał sobie rękę. Lasse powinien dostać w skórę za to, że tak mówi. Skała ta nazywa się jednak w każdym razie Złamany Ryjek. Najbardziej niebezpieczne miejsce nazywa się Ręką Trupa. Kto tam spadnie, tego odwiozą do domu na taczkach – mówi Lasse. Gdy się więc w końcu uda przejść przez te wszystkie trudne miejsca, dochodzi się do najwyżej położonego miejsca. Idąc potem kawałek dalej, w głąb lasu, dochodzi się do groty. Grotę tę nazywamy Grzmiącą Jamą.

Pewnej niedzieli, tuż przed wakacjami, poszliśmy sobie w Góry Skaliste. Zabraliśmy torbę z jedzeniem i powiedzieliśmy w domu, że nie będzie nas cały dzień.

Lasse przywiązał jak zwykle łódkę do sosny, po czym zaczęliśmy wspiąć się na górę. Rozmawialiśmy sobie o tym, co jest przyjemniejsze: wspiąć się na góry czy wspiąć się na drzewa. Wszyscy byliśmy zdania, że jednak trochę, odrobinę przyjemniej jest wspiąć się na góry. Znaleźliśmy nowe miejsce, które nazwaliśmy Wciągibrzuchem dlatego, że trzeba było wciągać brzuch, aby się tamtędy przecisnąć. To miejsce nie było oczywiście nowe. Przeciskaliśmy się przez Wciągibrzuch już wiele razy przedtem. Ale wtedy nie wiedzieliśmy, że to się nazywa Wciągibrzuch.

Gdy mieliśmy przedostać się przez Ręką Trupa, dostałam gęziej skórki, bo było to takie emocjonujące.

Mamusia nigdy pewnie nie widziała Ręki Trupa. W przeciwnym razie nie pozwoliłaby nam z pewnością bawić się w Górach Skalistych. Lasse spojrział w dół w przepaść i powiedział:

– Każdy, kto ma zamiar zlecieć, niech mi poda rękę lub nogę!

Nie mogliśmy jednak podać ani ręki, ani nogi. Były nam bowiem potrzebne do przytrzymywania się. Ale nikt nie spadł. Potem doszliśmy już do Grzmiącej Jamy.

Tuż obok Grzmiącej Jamy jest piękna polanka w lesie. Tam nakryliśmy sobie do śniadania. Gdy idzie się na wycieczkę, to jest się zaraz głodnym. Uważaliśmy wszyscy, że najlepiej będzie, jeśli od razu zaczniemy jeść. Mieliśmy ze sobą naleśniki z konfiturami. Chyba ze sto! I mleko, i sok, i kanapki, i ciastka.

Olle miał pierożki. Sześć pierożków. Dla każdego z nas po jednym. Nie mogliśmy jednak jeść pierożków na zimno. Bo mieliśmy taką masę naleśników. Anna i Britta przyniosły ze sobą obwarzanki, jakie zwykle piecze ich mamusia – są bardzo smaczne. Spróbowaliśmy ich wszyscy. W końcu został tylko jeden obwarzanek, a Bosse strasznie, strasznie chciał go dostać. Bo on okropnie lubi ciastka i cukierki.

Olle był trochę zły, że nikt nie chce jeść jego pierożków. Britcie widocznie zrobiło się go żal bo powiedziała:

– Dostaniesz obwarzanek, Bosse. Musisz jednak najpierw zjeść pierożki Ollego.

Bosse był już dość najedzony, lecz zabrał się do pierożków. Bo tak bardzo chciał dostać obwarzanka. Pierwszy pierożek spałaszował w okamgnieniu. Drugi także. Chociaż nieco wolniej. Westchnął, gdy zabrał się do trzeciego. Lecz Britta trzymała mu obwarzanek przed nosem. Wepchnął więc w siebie jeszcze i trzeci... I zabrał się do czwartego. Nadgryzł go i powiedział:

– Czwarty już zapycham!

– Głuptasie – powiedział Lasse – nie mówi się „czwarty”, tylko „czwartego”.

– Jestem taki najedzony, że nawet już nie wiem, jak się nazywam – odpowiedział Bosse.

Anna skakała dokoła Bossego na jednej nodze i wołała:

*Raz, dwa, trzy na me wezwanie,
a za czwartym niech się stanie,
a za piątym niech tu będzie,*

– Zdaje mi się, że huk może nastąpić w każdej chwili – powiedział Bosse i nie chciał już więcej pierożków.

– I tak dostaniesz obwarzanek – zlitowała się Britta.

Lecz Bosse powiedział, że już nigdy w życiu nie zje obwarzanka i nigdy, nigdy, nigdy w życiu pierożka.

Potem poszliśmy do groty. Lasse powiedział, że w epoce kamiennej z pewnością mieszkali w niej ludzie. Brrrr... jak ci biedacy musieli w zimie marznąć! Między skałami były przecież duże szczeliny, przez które na pewno wpadał śnieg.

Britta wpadła na pomysł, żebyśmy się bawili w ludzi z epoki kamiennej. Lassemu bardzo się to podobało. Powiedział zaraz, że on, Bosse i Olle wyjadą zapolować na dzikie bawoły, aby je potem oswoić. Britta, Anna i ja miałyśmy siedzieć w grocie i podgrzewać dla nich jedzenie.

To jest naprawdę bardzo dziwne! W cokolwiek się bawimy, chłopcy zawsze mogą robić coś przyjemnego, ale my – dziewczynki – musimy tylko podgrzewać jedzenie lub robić coś równie nudnego. Britta chciała narwać gałęzi i zamieść nimi grotę, i powtykać gałęzie brzozy w szczeliny, żeby było przytulniej.

Na to Lasse powiedział:

– Róbcie sobie, co chcecie, nawet gdyby to miało być nie wiem jak głupie. Chodźcie, chłopcy, idziemy na polowanie!

Bosse tak się objadł pierożkami, że był zupełnie do niczego, i powiedział, że nie ma siły polować na bawoły.

– W takim razie możesz chodzić koło groty i bić kobiety i dzieci – powiedział Lasse. – Najważniejsze, żebyś miał jakieś zajęcie.

– Niech tylko spróbuje – pogroziła Britta.

Bosse był jednak tak najedzony, że położył się na trawie przed grotą i leżał tam przez cały czas, my zaś zamiatałyśmy grotę. Lasse i Olle polowali na dzikie bawoły. Potem Lasse i Olle wrócili i wznosili przeraźliwe okrzyki, żebyśmy wiedziały, że polowanie się udało. Słyszałam już wiele razy w swoim życiu, jak Lasse wrzeszczy, ale nigdy jeszcze nie słyszałam takiego wrzasku. Lasse powiedział, że to są okrzyki z epoki kamiennej i że wtedy krzyczeli tak mężczyźni, gdy wracali z polowania. Okropnie się chwalił, że polowanie było bardzo niebezpieczne, i opowiadał, że schwytał masę dzikich bawołów. Nie

zobaczyłyśmy jednak żadnego.

Potem zaczął padać deszcz, więc siedzieliśmy w grocie i było bardzo przyjemnie. Niebo tak pociemniało, że myśleliśmy, że już nie będzie pogody tego dnia. Nagle jednak słońce zabłysło zza chmury. Wyszliśmy więc z groty i patrzyliśmy w dal na jezioro.

Wówczas zauważyliśmy, jak ślicznie wygląda wyspa, która leży na samym środku jeziora Zagrody Północnej. W tym miejscu, gdzie czasem się kąpiemy, słońce lśniło na każdym kamieniu. Wówczas Lasse zaproponował:

– Gdybyśmy tak podpłynęli tam łodzią i wykąпали się?

Zaledwie dwa dni temu pytaliśmy mamę, czy już niedługo będziemy mogli się kąpać, a mama powiedziała:

– Nie, jeszcze za wcześnie! Musicie jeszcze trochę poczekać!

– T e r a z już poczekaliśmy trochę – stwierdził Lasse.

Popłynęliśmy więc do wyspy. Rozebraliśmy się przy naszym płaskim kamieniu i zrobiliśmy wyścigi, kto pierwszy zdąży wejść do wody. Pierwszy dopadł jeziora Bosse – widocznie pierożki opadły mu już trochę w żołądku.

Woda była tak przeraźliwie zimna, że czym prędzej wyskoczyliśmy z niej wszyscy. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzeliśmy po wyjściu z wody, był zły baran z Zagrody Północnej. Miał wielkie, zakrzywione rogi i posępną minę. Ten baran nie może paść się na pastwisku razem z trzodą. Przeskakuje przez wszystkie płoty i bodzie każdego, kogo zobaczy. Na wiosnę pasie się na wyspie zupełnie sam. Okropny to kłopot, gdy trzeba go tam przewieźć. Wujek Erik i tatuś, i wujek Nils wiążą mu nogi powrozem, kładą go do łodzi, a wujek Erik przewozi go na wyspę i tam wypuszcza. Byliśmy okropnie zaskoczeni, gdy wyszedłszy z wody zobaczyliśmy, że na brzegu stoi zły baran i wpatruje się w nas. Zapomnieliśmy zupełnie, że on jest na wyspie. Ten zły baran nazywa się Ulrik.

– Wielkie nieba! – krzyknęła Anna. – Zapomniałam zupełnie o Ulriku!

Myślę, że Ulrik uważa, że to okropne, że ludzie wiążą go i kładą do łódki, a wszystkie jego żony i jagnięta stoją i przypatrują się. Z pewnością nudzi mu się też chodzić zawsze samemu po wyspie.

Tym razem był z pewnością bardziej zły niż zwykle. Pochylił głowę i ruszył pędem na nas, bodąc na wszystkie strony. Ollego uderzył tak mocno, że się przewrócił. Olle oczywiście. Zerwał się jednak szybko i umykał, jak gdyby się paliło. My także zaczęliśmy uciekać. Bosse, Anna i Britta wleźli na wysoki kamień, ja i Olle na drzewo, Lasse zaś schował się za krzakiem.

– Tak dzielnie polujesz na bawoły! – krzyknęłam do Lassego. – Masz tu teraz takiego prawie–bawoła. Zobaczymy, jak się zachowasz, gdy go będziesz chwycił!

A Anna i Britta krzyczały:

– Lasse, bawół nadchodzi! Łap go teraz!

Lecz Lasse nie miał odwagi odpowiedzieć zza krzaka, żeby Ulrik nie usłyszał, że ktoś tam się ukrywa.

Ulrik był okropnie zły, że nie mógł nas ubóść. Stał pod drzewem, na którym siedzieliśmy z Ollem, i bódł w nie tak, że aż leciały kawałki kory. Gdy zaś to nie pomogło, podbiegł do kamienia, na który wdrapali się Britta, Anna i Bosse. Stał i wpatrywał się w nich z wściekłością.

– Gap się, ty – powiedziała Britta.

W końcu jednak zaczęliśmy się zastanawiać, jak by tu się wydostać. Wcale na to nie wyglądało, że Ulrikowi znudzi się nas pilnować.

– Gdyby tak chociaż mieć pierożka! – powiedział Bosse.

Resztę pierożków schowaliśmy w Grzmiącej Jamie i zapomnieliśmy wziąć je z sobą. Teraz, gdy Bosse wspomniał o pierożkach, poczuliśmy wszyscy, że jesteśmy głodni.

– Czyś ty usnął tam za krzakiem?! – krzyknął Olle do Lassego.

Lasse wytknął głowę i rozejrzał się. Próbował przemknąć się do kamienia, na którym byli Britta, Anna i Bosse. Lepiej jednak, gdyby tego nie robił! Ulrik zobaczył go i aż podskoczył z zachwytem. Puścił się pędem na Lassego. Lasse zaczął uciekać, a my krzyczeć. Był to okropny widok, gdy Lasse biegał pomiędzy krzakami jałowca, a Ulrik sadził tuż–tuż za nim.

– Uciekaj, Lasse! Uciekaj! – krzyczała Anna.

– Uciekam przecież! – krzyknął Lasse.

W pewnej chwili Ulrik przewrócił Lassego, a wówczas wrzasnęliśmy tak, jak wrzeszczano w epoce kamiennej. Ulrik widocznie trochę się przestraszył tego wrzasku. Lasse zerwał się i pobiegł dalej. Ulrik puścił się pędem za nim, a my krzyczeliśmy jeszcze głośniejsze. Nic to jednak nie pomagało.

Na wyspie jest stara szopa na siano. Ma dziurawy dach i nikt jej już nie używa. Drzwi do szopy były otwarte. Tam to wbiegł Lasse. Ulrik za nim. Wtedy zaczęłam płakać.

– Och, teraz w tej szopie już na pewno na śmierć Lassego zabodzie.

W tej samej chwili zobaczyliśmy Lassego wyłazącego przez dziurawy dach. Zsunął się po nim szybko na ziemię, zamknął drzwi do szopy i zawołał:

– Bawół jest schwytyany!

Nareszcie odważyliśmy się zejść. Wleźliśmy wszyscy na szopę i przyglądaliśmy się Ulrikowi przez dziurawy dach, a Bosse splunął na barana i powiedział:

– A niech cię licho, przebrzydły baranie!

A ja powiedziałam:

– Oby Pontus nigdy nie był takim starym, złym baranem!

Mieliśmy już wszyscy chęć wrócić do domu. Lasse powiedział, żebyśmy wszyscy wsiedli do łódki. On sam miał otworzyć drzwi Ulrikowi, a potem pędem dobiec do łódki, zanim Ulrik zrozumie, o co chodzi. Bo mimo że był złym i głupim baranem, nie mógł przecież siedzieć zamknięty w szopie i zginąć głodową śmiercią – twierdził Lasse.

Zrobiliśmy tak, jak mówił Lasse, bo przecież zawsze tak robimy. Gdy odpływaliśmy, Ulrik stał na brzegu i miał taką minę, jak gdyby bardzo się smucił, że odjeżdżamy.

– Jeśli będziecie kiedyś chcieli, powiedzcie mi tylko zawczasu, to nałapię wam więcej dzikich bawołów – powiedział Lasse bardzo rad z siebie.

Tego dnia nie mieliśmy już na to ochoty. Byliśmy tak głodni i zmęczeni, że chcieliśmy tylko wrócić do domu.

– Spytam mamę, może ma jeszcze trochę pierozków – powiedział Bosse.

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA W BULLERBYN

Być może, że Anna mimo wszystko ma rację, że najprzyjemniej jest latem. Chociaż ja lubię chodzić do szkoły, a kiedy pani żegna się z nami po egzaminie, to chce mi się płakać, bo wiem, że długo jej nie zobaczę. Lecz zapominam o tym prędko, bo wakacje są w każdym razie bardzo przyjemną rzeczą.

Zaraz pierwszego wieczoru po rozpoczęciu wakacji chodzimy nad jezioro w Zagrodzie Północnej łowić ryby. Nic chyba bardziej nie mówi o tym, że jest lato, jak łowienie ryb. Zrobiliśmy sobie wędki. Są to tylko długie gałęzie leszczyny. Mamy za to prawdziwą żyłkę i pływak, i ciężarek, i korek – wszystko kupiliśmy w sklepie w Wielkiej Wsi.

Ten wieczór, gdy rozpoczynają się wakacje, Lasse nazywa Wielkim Wieczorem Rybackim. Pagórek, na którym siedzimy, gdy łowimy ryby, nazywamy Okonim Wzgórzem. Anna mówi, że nazywa się on tak dlatego, że nigdy nie można tam złowić okonia. Jedyłą rzeczą, jaką można tam złapać, to bąble po komarach – powiada Anna. Gdy łowiliśmy tam ostatnio, Bosse złowił jednak dwa duże okonie, a Britta dwie płotki.

Siedziałyśmy potem z Anną na schodach kuchennych i liczyłyśmy bąble po komarach. Miałam czternaście na prawej nodze i pięć na lewej. Anna miała po dziesięć na każdej.

– Można by z tego zrobić zadanie rachunkowe – powiedziała Anna. – Zapiszemy je na kartce dla pani! Jeśli Lisa ma czternaście bąbli na jednej nodze i pięć na drugiej, a Anna dziesięć na każdej, to kto ma więcej bąbli i ile mają razem?

Przypomniwałyśmy sobie jednak, że mamy już przecież wakacje. To głupio zajmować się rachunkami podczas wakacji. Drapałyśmy więc tylko nasze bąble, siedziałyśmy sobie i było nam bardzo przyjemnie, aż w końcu musiałyśmy pójść spać. Ach, jakaż to pyszna rzecz wakacje!

Opowiem teraz, co robiliśmy w wieczór świętojański. Na łące w Zagrodzie Południowej ustawiliśmy wielki słup. Najpierw pojechaliśmy wozem

drabiniastym do lasu i nałamaliśmy gałęzi, którymi mieliśmy ozdobić słup. Tatuś powoził. Nawet Kerstin pojechała z nami. Śmiała się i była z tego bardzo zadowolona. Olle dał jej do rączki małą gałązkę i wymachiwała nią przez całą drogę. A Olle śpiewał jej tę starą piosenkę:

*Kerstin miała złoty wózek,
w wózeczku tym jechała,
złoty biczyk miała w rączce,
wszystkim pięknie się kłaniała.*

Śpiewaliśmy zresztą wszyscy. Agda była też z nami. Łamała gałęzie i śpiewała:

*Teraz jest lato,
teraz jest słońce,
teraz są liście i kwiaty.*

A wówczas Lasse śpiewał tak:

*Teraz jest lato,
teraz jest słońce
i krowie placki na łące.*

Muszę przyznać, że rzeczywiście miał rację – w tym, że na łące są krowie placki.

Ale koniecznie o tym nie potrzebował przecież śpiewać.

Gdy wróciliśmy z lasu, Agda, Britta i Anna poszły i nałamały moc bzu, który rośnie za naszą drewnią. Potem zanieśliśmy bez do Zagrody Południowej. Tam Oskar i Kalle wyciosali już pal. Kalle jest parobkiem w Zagrodzie Południowej. Przybraliśmy pal gałęziami i liśćmi i przywiązaliśmy na nim dwa wielkie wianki bzu. Potem wbiliśmy go w ziemię i tańczyliśmy wokół tej wielkiej zielonej kolumny. Wujek Erik, tatuś Anny, ślicznie gra na harmonii. Grał moc ślicznych, wesołych melodii, a my wszyscy tańczyliśmy przy tej muzyce. Oprócz dziadziusia i Kerstin. Dziadzius siedział na krześle i przysłuchiwał się. Kerstin siedziała z początku na jego kolanach. Ciągnęła go

przez cały czas za brodę, więc przyszedł jej tatuś i zabrał ją, i posadził sobie na ramieniu. W ten sposób Kerstin także tańczyła, razem z nami. Lecz biedny dziadzius nie mógł przecież tańczyć. Chociaż nie wydaje mi się, żeby martwił się specjalnie z tego powodu. Powiedział tylko:

– Ho, ho, tak, tak. Ależ to było dawno, kiedy tańczyło się w noc świętojańską!

Potem usiedliśmy wszyscy na łące i piliśmy kawę, którą ugotowała mama i ciocia Greta, i ciocia Lisa. Jedliśmy też bułeczki i ciastka.

Dziadzius wypił trzy filiżanki kawy. Przepada po prostu za kawą.

– Tak, koniecznie muszę dostać kawy – mówił dziadzius.

Ja wcale nie lubię kawy. Lecz gdy się ją pije na zielonej łączce w wieczór świętojański, smakuje ona o wiele lepiej niż zazwyczaj. W lesie siedział ptak, który śpiewał na cały głos, gdy piliśmy kawę. Bosse powiedział, że to drozd. Bardzo lubię drozdy.

Bawiliśmy się również w „Ostatnia para naprzód” i takie różne gry. To strasznie przyjemnie, gdy mamusia i tatuś bawią się razem z nami. Być może nie byłoby to takie przyjemne, gdybyśmy się z nimi musieli bawić co dzień. Uważam jednak, że w wieczór świętojański mogą się bawić razem z nami. Gdyśmy się bawili, Svipp biegał wokół i czekał. Zdaje mi się, że on także uważał, że jest bardzo wesoło.

Tego wieczoru mogliśmy kłaść się spać tak późno, jak tylko chcieliśmy. Agda powiedziała, że jeżeli się przelezie przez dziewięć płotów, zanim się pójdzie spać, i jeśli się zerwie dziewięć rodzajów kwiatów i położy się je pod poduszkę, to w nocy będzie się miało sen. O tym, za kogo się wyjdzie za mąż.

Britta, Anna i ja miałyśmy wielką ochotę przeleźć przez dziewięć płotów, chociaż zdecydowałyśmy już dawno, za kogo wyjdziemy za mąż. Ja wyjdę za Ollego, a Britta i Anna za Lassego i Bossego.

– Czy masz zamiar przeleźć przez dziewięć płotów? – spytał Lasse Britty. – Proszę bardzo, możesz to zrobić, jeśli o mnie chodzi. Ale niech ci się przyśni kto inny, nie ja, bardzo cię o to proszę. Nie dlatego, żebym wierzył w przesady, ale może to trochę pomoże.

– Miejmy nadzieję! – powiedział Bosse.

– Tak, trzeba mieć tę nadzieję! – przyznał Olle. Bo chłopcy są tacy głupi i nie chcą się z nami ożenić.

Agda powiedziała nam, że nie wolno nic mówić, gdy się przełazi przez płoty. Przez cały czas nie wolno śmiać się ani rozmawiać.

– Co? Przez cały czas nie wolno rozmawiać? – powiedział Lasse. – W takim razie, Liso, możesz z powodzeniem pójść i położyć się spać!

– Dlaczego? – spytałam.

– No, bo przez dziewięć płotów nie przelezie się w dwie minuty, a ty dłużej niż dwie minuty nie możesz przecież milczeć. Zdarzyło się to tylko raz, gdy miałaś świnkę!

Nie zwracałyśmy uwagi na chłopców i zabrałyśmy się do przełazenia.

Zaczęłyśmy od płotu w Zagrodzie Południowej i weszłyśmy do zagajnika, który jest za nim. Oj, jak dziwnie jest w lesie, kiedy jest ciemno! Nie było wprawdzie zupełnie ciemno, tylko mroczno, lecz w każdym razie było tam dziwnie. Ptaki już nie szczebiotały, więc było zupełnie cicho, a wszystkie drzewa i kwiaty pachniały prześlicznie. Gdy przelazłyśmy przez pierwszy płot, każda z nas zerwała po kwiatku.

Jest jedna rzecz, której nie rozumiem. Dlaczego tak strasznie chce się śmiać wtedy, gdy wiadomo, że n i e wolno się śmiać. Zaledwie przelazłyśmy przez pierwszy płot, zaczęło się. Lasse, Bosse i Olle przeleźli też za nami tylko po to, żeby się z nami drażnić i pobudzać nas do śmiechu.

– Nie włącz w krowie placki! – powiedział Lasse do Anny.

– Tu na pewno nie ma krowich plac... – powiedziała Anna, która nagle przypomniała sobie, że nie wolno rozmawiać. Wtedy Britta, Anna i ja zaczęłyśmy chichotać. A chłopcy się śmieli.

– Nie chichoczcie – ostrzegł Lasse. – Pamiętajcie, że nie wolno wam się śmiać.

Wówczas zaczęłyśmy jeszcze bardziej chichotać. Chłopcy biegli za nami przez cały czas i ciągnęli nas za włosy albo szczypali nas w ramiona, żebyśmy się śmiały. Nie mogłyśmy ich odpędzić, bo nie wolno nam było mówić.

– Ubbelibubbelimuk! – powiedział Lasse.

To przecież właściwie wcale nie było śmieszne, ale, ojej, jak śmiałyśmy się z tego! Wpakowałam sobie chusteczkę od nosa do ust, ale to wcale nie pomogło, bo śmiech i tak przez nią się wydobywał. Gdy przelazłyśmy przez dziewiąty płot, przestałyśmy się śmiać i byłyśmy tylko złe na chłopców, że nam wszystko popsuli. Położyłam mimo to pod poduszkę moje kwiaty. Był tam złocisty jaskier i żółta komonica, i biała przytulia, i liliowy dzwonek, i rumianek, i purpurowa skalnica, i włochaty posłonek, i jeszcze dwa kwiatki, które nie wiem, jak się nazywają. W nocy nie przyśniło mi się jednak nic a nic. Jestem pewna, że tylko dlatego, że ci głupi chłopcy pobudzali nas do

śmiechu.

A za Ollego i tak wyjdę za mąż, i już!

„WIŚNIOWA SPÓŁDZIELNIA”

W Bullerbyn mamy bardzo dużo drzew wiśniowych. I w naszym ogrodzie, i w ogrodzie Anny i Britty. W ogrodzie Ollego nie ma drzew wiśniowych, a przynajmniej nie ma takich, na których byłyby ładne wiśnie. Za to w Zagrodzie Południowej mają drzewo z pysznymi gruszkami i dwa, na których rosną smaczne, małe, żółte śliweczki. Myślę, że największa czereśnia, jaka jest na świecie, rośnie pod oknem dziadziusia. To drzewo nazywa się „czereśnią dziadziusia”. Gałęzie jej zwisają niemal do samej ziemi. Co roku jest obsypana wielkimi czereśniami. Dziadzius mowi, że możemy jeść tyle czereśni, ile chcemy. Nie wolno nam jednak zrywać ich z najniższych gałęzi, bo te są dla Kerstin, żeby sobie mogła zrywać sama. I zrywa sobie sama, chociaż jest taka malutka. Olle musi jednak uważać na nią, bo połyka pestki. Robimy tak, jak dziadzius nam mowi. Nie zrywamy czereśni z gałęzi Kerstin. Możemy przecież wleźć na drzewo i zrywać do woli. Jest tam mnóstwo wygodnych gałęzi i konarów, na których można sobie usiąść i jeść. Można się opychać czereśniami, jak długo się chce, a w każdym razie dotąd, aż zacznie boleć brzuch. Co roku bolą nas brzuchy, gdy przychodzi pora czereśni. Potem za to nie bolą nas aż do pory dojrzewania śliwek.

Lasse, Bosse i ja, każde z nas ma swoje drzewo wiśniowe. Moja wisienka nie jest duża, lecz rosną na niej pyszne, małe czarne wisienki. W tym roku miała wprost nieludzko dużo owoców. I drzewa Lassego i Bossego też.

Wiśnie można suszyć i przechowywać na zimę. Mama zawsze to robi. Wysypuje wiśnie na blachę i wkłada je do ciepłego pieca. Wówczas wiśnie robią się suche i pomarszczone, a mama może je przechowywać, jak długo zechce, i robić z nich w zimie zupę owocową.

Mieliśmy tyle wisien, że nie mogliśmy ich ani rusz zjeść, chociaż Britta, Anna i Olle pomagali nam w tym. Któregoś dnia Lasse chciał ususzyć sobie trochę wisien, więc nasypał ich pełną blachę i włożył do pieca. Potem poszedł kąpać się i zapomniał o tym. Gdy zajrzał później do pieca, było tam tylko trochę czarnych, żałosnych pestek na blasze.

– Tak się nie robi z wiśniami – powiedział wtedy.

Siedzieliśmy któregoś wieczoru u dziadziusia i czytaliśmy mu gazetę. W gazecie napisane było, że w Sztokholmie litr wiśni kosztuje dwie korony. Lasse zmartwił się okropnie tym, że jego drzewo nie rośnie w Sztokholmie.

– Stanałbym sobie wówczas na rogu ulicy i sprzedawałbym wiśnie, i byłbym bogaty jak król – powiedział.

Próbowaliśmy obliczyć, ile pieniędzy zarobilibyśmy, gdyby nasze drzewa rosły w Sztokholmie. Wyszło tak okropnie dużo, że Lasse aż zbladł, gdy o tym pomyślał.

– Gdyby jezioro Zagrody Północnej było na Saharze, to też mogłabym sprzedawać wodę po dwie korony za litr – powiedziała Britta, która uważała, że Lasse jest głupi.

Zdaje się, że Lasse nie spał w nocy, tylko leżał i rozmyślał o tym, że w Sztokholmie można było dostać dwie korony za litr wiśni. Następnego bowiem dnia powiedział, że ma zamiar otworzyć sklep z wiśniami na dole przy szosie, która jest po drugiej stronie Wielkiej Wsi. Szosą tą przejeżdża moc samochodów.

– A kto wie, czy nie przejeżdżają tamtędy także jacyś wariaci ze Sztokholmu – dodał.

Bosse i ja powiedzieliśmy, że my też chcemy sprzedać nasze wiśnie. Założyliśmy więc spółdzielnię, którą nazwaliśmy „Wiśniową Spółdzielnią”. Britta, Anna i Olle przyłączyli się do niej również, chociaż nie mieli własnych drzew wiśniowych. Pomagali nam jednak zrywać nasze wiśnie.

Wstaliśmy o piątej rano, by rwać wiśnie. Gdzieś koło ósmej były już wszystkie w dużych koszach. Potem zjedliśmy porządne porcje kaszy, żeby na jakiś czas starczyło. A potem wyruszyliśmy w dół pagórkami do Wielkiej Wsi. Tam wstąpiliśmy do sklepu wujka Emila i kupiliśmy całą masę brązowych torebek papierowych za pieniądze, które pożyczaliśmy ze skarbonki Bossego.

– Cóż to takiego będzie? – spytał wujek Emil.

– Będziemy sprzedawać wiśnie – odpowiedział Lasse.

Kosze zostawiliśmy na ganku przed sklepem. Olle stał i pilnował ich.

– Wiśnie to pyszna rzecz – powiedział wujek Emil – to może można kupić sobie trochę?

Pomyślcie, jak świetnie! Lasse wyszedł i przyniósł jeden z koszy, a wujek Emil wziął miarkę litrową i odmierzył sobie dwa litry i dał nam za nie dwie korony. Powiedział, że taka jest cena wiśni w tych okolicach. Dobrze się stało,

że dowiedzieliśmy się o tym. Oddaliśmy Bossemu pieniądze, pożyczone z jego skarbonki, i sporo nam jeszcze zostało. Wujek Emil poczęstował nas cukierkami, a gdy Olle zobaczył to przez szybkę w drzwiach, wpadł do sklepu jak oparzony. Gdy dostał cukierka, wybiegł równie szybko z powrotem.

Podziękowaliśmy bardzo wujkowi i poszliśmy. Przed sklepem zobaczyliśmy, że Olle zbiera wiśnie, które wysypały mu się na trawę.

– Co ty robisz!?! – krzyknął Lasse ze złością.

– Ja... ja tylko oczyszczam twoje wiśnie – odpowiedział Olle z bardzo wystraszoną miną.

Ale wysypał tylko kilka, więc nie było to nic takiego.

Szosa samochodowa przebiega niedaleko od Wielkiej Wsi. Na jesieni i w zimie nie przejeżdża tędy zbyt wiele samochodów, przeważnie tylko ciężarówki. W lecie za to jest ich moc, bo ludzie chcą zobaczyć, jak tu jest ładnie.

– Jeżeli w ogóle mogą coś zobaczyć, jadąc z taką dziką szybkością – powiedział Lasse, gdy pierwszy samochód przemknął koło nas.

Zrobiliśmy duży szyld, na którym napisane było WIŚNIE, i podnosiliśmy go do góry, ilekroć przejeżdżał jakiś samochód. Lecz samochody mijały nas tylko w dzikim pędzie.

– Ci, którzy siedzą w samochodzie, myślą z pewnością, że na szyldzie napisane jest JECHAĆ OSTROŻNIE lub coś w tym rodzaju – powiedział Lasse – i dlatego pędzą z taką wariacką szybkością.

Bosse uważał, że to bardzo przyjemnie jest przyglądać się, jak śmigają w takim pędzie. Zapomniał prawie o wiśniach. Oczy zrobiły mu się zupełnie okrągłe, tak gapił się na przejeżdżające auta. Rozpoznawał markę każdego samochodu. Usiadł na skraju szosy i udawał, że prowadzi samochód, i próbował warczeć jak motor. A w pewnej chwili powiedział, że musi z pewnością być jakiś defekt w motorze, bo słyhać w nim jakiś turkot.

– Ech, bo to w ogóle nie warczy jak motor. To warczy jak Bosse – powiedziała Britta.

Lasse był zły, że samochody nie chciały się zatrzymać, i powiedział:

– Poczekajcie. Ja ich nauczę.

Gdy nadjechał następny samochód, Lasse wyskoczył na sam środek szosy, podniósł szyld i nie odskoczył, aż dopiero w ostatniej chwili. Wówczas samochód zatrzymał się z okropnym zgrzytem i wygramolił się z niego jakiś człowiek, który chwycił Lassego za ramię i powiedział, że powinien dostać

takie lanie, żeby nie mógł usiąść.

– I nie waź się robić tego po raz drugi – pogroził.

Lasse obiecał mu, że już tego nie zrobi. I wyobraźcie sobie, że wtedy ten człowiek kupił od nas litr wisien i pojechał sobie dalej.

Na szosie był okropny kurz. Przykryliśmy wiśnie papierem, co było bardzo rozsądne z naszej strony. Ale siebie samych nie mogliśmy przecież przykrywać. Gdy samochody mijały nas, wznosiła się za nimi czarna chmura kurzu i cały ten kurz leciał na nas.

Było bardzo nieprzyjemnie, więc powiedziałam:

– Fe, jak okropnie kurzy.

Wtedy Lasse zapytał mnie, dlaczego tak mówię.

– Dlaczego nie mówisz: „Fe, jak słońce świeci” albo „Fe, jak ptaszki śpiewają” – dopytywał się. Kto to postanowił, że ma się lubić, gdy słońce świeci, a nie lubić, gdy się kurzy?

Wówczas postanowiliśmy, że będziemy lubić, gdy się kurzy. I gdy następny samochód przejeżdżał i cały kurz dmuchnął na nas tak, że ledwie mogliśmy widzieć się nawzajem, Lasse powiedział:

– Ach, jak dzisiaj pięknie się kurzy.

Britta przyznała:

– Tak, na tej szosie ślicznie się kurzy, przepięknie.

Bosse zaś dodał:

– Gdyby tak chciało trochę więcej pokurzyć.

Na to doprawdy nie musiał długo czekać. Wielka ciężarówka nadjechała pędem i nie wiedziałam, że może w ogóle być tyle kurzu, ile podniosło się za tym samochodem. Przypuszczam, że był to taki sam obłok, jak ten, który napotkali Izraelici na pustyni. Anna stała w kłębach największego kurzu, lecz wyciągnęła ręce przed siebie i zawołała:

– Ach, jakież piękny, piękny kurz!

Potem zaczęła kaszleć i nie mogła powiedzieć już nic więcej. Gdy kurz opadł, spojrzeliśmy na siebie. Wszyscy byliśmy szaroczarni od góry do dołu. Britta wytarła sobie nos i pokazała nam chusteczkę, która była zupełnie czarna w tym miejscu. Wtedy wszyscy wytarliśmy sobie nosy. Olle nie miał ze sobą chusteczki, więc wytarł nos w chustkę Bossego. Britta powiedziała, że wcale niełatwo było zobaczyć, czy Olle zabrudził chusteczkę na czarno, bo chusteczka Bossego była czarna od początku.

– Odczep się – powiedział Bosse na to.

Mimo że kurzyło się tak przyjemnie, uważaliśmy wszyscy, że to bardzo przykre, że żaden samochód nie chce się zatrzymać. W końcu Lasse doszedł do wniosku, że stanęliśmy na szosie w głupim miejscu. Zupełnie pośrodku prościutkiej drogi, gdzie samochody jechały całym pędem. Powinniśmy raczej przenieść się za zakręt – stwierdził. Tak też zrobiliśmy. Stanęliśmy trochę dalej, w miejscu, gdzie były dwa duże zakręty, jeden po drugim. Wpadliśmy też na pomysł, żeby stanąć wzdłuż drogi, trzymać się za ręce i podnosić ramiona w górę i w dół, gdy nadjeżdżał samochód.

– Teraz powinno się udać – powiedział Lasse.

Tak też było. Prawie każdy samochód się zatrzymywał.

W pierwszym, który się zatrzymał, siedział jakiś tatuś i mamusia i czworo dzieci i wszystkie dzieci krzyczały, że chcą wiśni. Ich tatuś kupił im trzy litry wiśni, a ich mamusia powiedziała:

– Ach, jak to świetnie, bo nam się tak chce jeść i pić.

Były to moje małe, czarne wisienki. Ten tatuś opowiadał, że jadą daleko, daleko, aż za granicę.

A to dopiero dziwne! Moje wiśnie miały jechać za granicę, gdy ja sama miałam zostać w Bullerbyn. Gdy powiedziałam to innym, Lasse odparł:

– Ech, dzieci zjedzą wiśnie o wiele wcześniej, niż dojadą za granicę. Rozumiesz to chyba.

Uważałam mimo wszystko, że moje wiśnie dojadą za granicę, nawet jeśli będą w żołądkach tych dzieci.

Ojej, jak dużo wiśni sprzedaliśmy! Jeden pan kupił cały kosz. Był to koszyk Bossego. Ten pan powiedział, że jego żona robi z nich sok, bo on przepada za sokiem wiśniowym.

– Pomyśl, jakie to dziwne – powiedział potem Bosse tylko po to, żeby się ze mną drażnić. – Pomyśl, że z moich wiśni będzie sok wiśniowy, a ja sam nie będę sokiem wiśniowym.

W końcu sprzedaliśmy wszystkie wiśnie, co do jednej. W pudełku od cygar, które wzięliśmy na pieniądze, mieliśmy trzydzieści koron. Była to Skrzynia Mędrców, która nareszcie na coś się przydała. Trzydzieści koron to strasznie dużo pieniędzy. Podzieliliśmy je tak, że każdy dostał po pięć koron. Bo nawet jeśli Britta, Anna i Olle nie mieli swoich wiśni, to przecież pomogli nam w każdym razie zrywać je i sprzedawać.

– Teraz, gdy już nie macie wiśni w waszym ogrodzie, możecie jeść, co tylko zechcecie w naszym – zaproponowała Britta.

– Dostaniecie ode mnie śliwek, jak tylko dojrzeją – powiedział Olle, gdy dostał pięć koron.

Nikt więc nie może powiedzieć, że podział był niesprawiedliwy.

W drodze powrotnej do domu wstąpiliśmy do cukierni w Wielkiej Wsi, gdzie zjedliśmy po ciastku i wypiliśmy po lemoniadzie. Stać nas było na to. Postanowiliśmy zaoszczędzić resztę pieniędzy. Moje ciastko przybrane było zielonym marcepanem i było pyszne.

Gdy przyszedliśmy do domu i gdy mama zobaczyła Lassego, Bossego i mnie, aż załamała ręce i powiedziała, że brudniejszej „Wiśniowej Spółdzielni” nie widziała nigdy. Chciała, żebyśmy zaraz poszli do budki nad jeziorem porządnie się umyć. W tej samej chwili nadbiegła Anna wołając:

– Co za szczęście! W łaźni jest napalone!

W Zagrodzie Północnej jest fińska łaźnia nad jeziorem. Wzięliśmy ze sobą czyste ubrania i pomknęliśmy co tchu przez pastwisko.

W łaźni zmyliśmy cały przepiękny kurz. Porównywaliśmy wodę w naszych balijkach, żeby zobaczyć, kto ma najbrudniejszą. Lecz nie było widać żadnej różnicy.

Potem siedzieliśmy w łaźni, żeby się porządnie wypocić. Rozmawialiśmy też trochę o tym, że może z czasem założymy spółdzielnię śliwkową.

W łaźni było okropnie gorąco, więc w końcu tak byliśmy rozgrzani, że omal skóra na nas nie popękała. Wówczas zanurzyliśmy się w jeziorze, żeby się ochłodzić. Ach, jakie to było przyjemne! Ochlapywaliśmy się nawzajem wodą, pływaliśmy i nurkowaliśmy. Gdy wyszliśmy z wody, nie było na nas śladu przecudnego kurzu, nawet na włosach. Powycieraliśmy w wodzie nosy, żeby pozbyć się również całego ślicznego kurzu z nosa.

Pogoda była piękna. Usiedliśmy sobie nad brzegiem jeziora i wygrzewaliśmy się w słońcu.

– Fe, jak słońce świeci – powiedział Lasse.

A Olle roześmiał się i powiedział:

– Fe, jak ptaki śpiewają.

MOŻE ANNA I JA ZOSTANIEMY PIASTUNKAMI DO DZIECI

Pewnego dnia pastor z Wielkiej Wsi urządzał wielkie urodzinowe przyjęcie i zaprosił wszystkich z Bullerbyn. Ale oczywiście bez dzieci. Tylko mamę i tatusia, i wujka Erika, i ciocię Grete, i wujka Nilsa, i ciocię Lisę. I dziadziusia też. Ciocia Lisa martwiła się, że nie będzie mogła pojechać ze wszystkimi. Przez Kerstin. Ktoś musiał przecież zająć się Kerstin. Wtedy Anna i ja powiedziałyśmy, że się nią zaopiekujemy. Chciałyśmy i tak zostać piastunkami do dzieci, gdy będziemy duże, więc trzeba, żebyśmy jak najprędzej zaczęły się wprawiać.

– Czy koniecznie musicie wprawiać się na mojej siostrze? – spytał Olle.

Miał on wielką chęć zająć się Kerstin sam, lecz musiał wydoić krowy i nakarmić prosięta i kury, w czasie gdy jego mama i tatuś byli na przyjęciu. Britta miała również ochotę pomóc przy Kerstin, lecz była okropnie przeziębiona, leżała w łóżku i ledwo mogła mówić.

Ciocia Lisa ucieszyła się okropnie, gdy dowiedziała się, że chcemy zająć się Kerstin.

A Anna i ja cieszyłyśmy się z tego jeszcze bardziej. Uszczypnęłam Annę i spytałam:

– Czy to nie będzie przyjemne?

A Anna uszczypnęła mnie również i powiedziała:

– Och, żeby już prędzej pojechali, mogłybyśmy już zacząć.

Trwa to jednak zawsze ogromnie długo, zanim dorośli wybiorą się na przyjęcie. Tylko dziadzius był już gotów o szóstej rano, mimo że mieli wyjechać dopiero o dziesiątej. Miał na sobie swoje piękne czarne ubranie i najlepszą koszulę. Gdy wujek Erik zaprzągnął konie, dziadzius wsiadł zaraz do bryczki i czekał, chociaż ciocia Greta nie zaczęła jeszcze wkładać na siebie swojej najładniejszej sukienki.

– Czy cieszysz się, dziadziusiu, że jedziesz na przyjęcie? – spytała Anna.

Dziadzius powiedział, że bardzo się cieszy. Mnie się jednak zdaje, że nie cieszył się znów tak bardzo, bo westchnął:

– Ho, ho, tak, tak, wszystkie te przyjęcia, na które człowiek wciąż musi jeździć.

Wtedy wujek Erik powiedział, że upłynęło już pięć lat od czasu, gdy dziadzius ostatnio był na przyjęciu, więc nie potrzebuje się uzalać, że jest ich za wiele.

Ciocia Lisa upominała nas bardzo do ostatniej chwili. Potem tatuś i wujek Nils, i wujek Erik cmoknęli na konie i odjechali.

Ciocia Lisa powiedziała nam, że Kerstin ma być jak najwięcej na powietrzu, bo wtedy jest najgrzeczniejsza. O godzinie dwunastej miałyśmy jej dać jeść. Jedzenie było przygotowane do odgrzania. Potem miałyśmy ją położyć spać na parę godzin po obiedzie.

– Ach, jak to będzie przyjemnie – cieszyła się Anna.

– Tak – powiedziałam – mam zamiar zostać piastunką do dzieci, gdy będę duża, na pewno.

– Ja też – powiedziała Anna. – To wcale nietrudno zajmować się dziećmi. Trzeba tylko zawsze pamiętać, żeby mówić do nich łagodnie i uprzejmie. Wtedy są posłuszne. Czytałam to któregoś dnia w gazecie.

– Tak, to przecież jasne, że trzeba mówić do nich łagodnie i uprzejmie – potwierdziłam.

– Tak, lecz możesz mi wierzyć, że są ludzie, którzy ryczą na dzieci – powiedziała Anna. – Te dzieci stają się wprost nieznośne i nie są wcale posłuszne. Tak napisane było w gazecie, więc wiem to na pewno.

– Któż mógłby ryczeć na takie małe złotko – rozczuliłam się i połaskotałam Kerstin w piętke.

Kerstin siedziała na kocyku na trawie i wyglądała na bardzo zadowoloną. Ona jest taka milutka, ta Kerstin. Ma takie śmieszne wypukłe, małe czółko i zupełnie niebieskie oczy. W buzi ma cztery ząbki u góry i cztery u dołu. Gdy się śmieje, wyglądają one zupełnie jak ziarnka ryżu. Nie umie jeszcze mówić. Umie tylko powiedzieć „hej, hej” i prawie wciąż to mówi. Może to za każdym razem ma znaczyć coś innego – tego nie można wiedzieć na pewno.

Kerstin ma drewniany wózek, w którym się ją wozi.

– Może weźmiemy ją na spacer w wózku? – zaproponowała Anna.

Tak też zrobiłyśmy.

– Chodź, Kerstin – powiedziała Anna i wsadziła ją do wózka – chodź,

pojedyemy sobie na spacer.

Mówiła łagodnie i uprzejmie, tak właśnie jak należy mówić do małych dzieci.

– O tak, malutka Kerstin, teraz chyba siedzisz wygodnie – mówiła dalej.

Kerstin była jednak innego zdania. Chciała stać wyprostowana w wózku i skakać w górę i w dół i mówić „hej, hej”. W ten sposób nie mogłyśmy jej przecież wieść.

– Zdaje mi się, że będziemy musiały ją przywiązać – powiedziałam.

Wzięłyśmy więc gruby sznurek i przywiązałyśmy ją. Lecz gdy Kerstin nie mogła stać w wózku i skakać, i wołać „hej, hej”, zaczęła tak się drzeć, że słyhać ją było z daleka. Olle nadbiegł natychmiast pędem z obory i krzyknął:

– Co robicie?! Bijecie ją?!

– Nie bijemy jej, głuptasie – powiedziałam. – Mówimy do niej łagodnie i uprzejmie, możesz być tego pewien.

– Dobrze, dobrze – burknął Olle. – Pozwólcie jej robić, co chce, to nie będzie płakała.

Tak, Olle z pewnością najlepiej wiedział, jak należy się obchodzić z jego siostrą, więc pozwoliłyśmy Kerstin stać w wózku i wołać „hej, hej”, ile tylko chciała. Musiałyśmy zrobić tak, że ja ciągnęłam wózek, a Anna biegła obok i chwyciła Kerstin, ilekroć z niego wypadła. W ten sposób dojechaliśmy do głębokiego rowu, a gdy tylko Kerstin zobaczyła ten rów, wylazła z wózka.

– Zobaczymy, co ona ma zamiar zrobić – powiedziała Anna.

No i zobaczyłyśmy! Małe dzieci są doprawdy dziwne. Wydaje się, że nie mogą one biec prędko na swoich małych nóżkach, ale wcale tak nie jest. Jeśli zajdzie tego potrzeba, to małe dziecko może biec prędzej niż królik. Przynajmniej Kerstin. Powiedziała „hej, hej” i popędziła prosto na dół do rowu, zanim zdążyłyśmy chociażby mrugnąć. Pośliznęła się i upadła głową do wody. Wprawdzie Olle powiedział, żeby robiła, co zechce, i być może chciała teraz leżeć w rowie, ale pomyślałyśmy sobie, że najlepiej jednak będzie ją stamtąd wyciągnąć. Była zupełnie mokra, krzyczała i patrzyła na nas ze złością, zupełnie jak gdyby to była nasza wina, że się tam wtarabaniła. Mówiłyśmy jednak do niej łagodnie i uprzejmie, posadziłyśmy ją do wózka i pojechaliśmy z nią do domu, żeby jej włożyć suche ubranie. Beczała całą drogę. Olle wpadł w okropną złość, gdy zobaczył, jak Kerstin wygląda.

– Co wy właściwie wyprawiacie?! – krzyczał. – Czy chcieliście ją utopić?!

Wówczas Anna powiedziała mu, żeby był grzeczny i mówił do nas uprzejmie

i łagodnie, bo my też jesteśmy dziećmi. Chociaż dość dużymi, oczywiście. Kerstin podbiegła do Ollego i objęła go rączkami za nogi, i krzyczała, i chciała, żeby ją pocieszał, więc Anna i ja czułyśmy się tak, jak gdybyśmy naprawdę chciały ją utopić.

Olle pomógł nam wyszukać suche ubranie dla Kerstin. Musiał jednak znów wrócić do obory.

– Posadźcie ją na nocniczku, skoro i tak jest rozebrana – powiedział wychodząc.

Ciekawa jestem, czy on sam próbował kiedy posadzić Kerstin na nocniczku. Jeżeli tak, to bardzo bym chciała widzieć, jak zdołał to zrobić. Anna i ja wyteżaliśmy wszystkie siły i naciskałyśmy Kerstin, żeby usiadła na nocniczku, ale nie zdało się to na nic. Robiła się sztywna jak kołek, darła się wniebogłosy i nie chciała usiąść.

– Głupi bachorze – zaczęłam, ale zaraz sobie przypomniałam, że tak nie należy mówić do małych dzieci.

Ponieważ Kerstin nie chciała usiąść, nie było innej rady, jak ubrać ją w suche ubranie. Trzymałam ją za ramiona, gdy tymczasem Anna próbowała ją ubrać. Kerstin krzyczała przez cały czas i była śliska jak węgorz, i wykręcała się w różne strony tak, że upłynęło chyba z pół godziny, zanim zdołałyśmy ją ubrać. Potem usiadłyśmy obie, bo takie byłyśmy zmęczone. Kerstin przestała w końcu płakać, weszła pod stół kuchenny i zrobiła tam małe jezioro. Potem wstała i ściągnęła ze stołu ceratę, a kilka filiżanek zjechało na podłogę i potłukło się.

– Nieznośny dzieciaku – powiedziała Anna tak łagodnie i uprzejmie, jak tylko mogła. Wytarła pod stołem, pozbierała skorupy i zdjęła z Kerstin mokre majtki.

Podczas gdy ja szukałam suchych majteczek, Kerstin skorzystała z okazji i wymknęła się przez uchylone drzwi. Była już w połowie drogi do obory, gdy dogoniłyśmy ją. Olle wytknął głowę przez wrota obory.

– Czyście rozum straciły?! – krzychał. – Pozwalacie jej biegać bez majtek?

– Wyobraź sobie, że jej nie pozwalamy – powiedziała Anna. – Wcale nas nie pytała o pozwolenie, jeśli chcesz wiedzieć.

Zabrałyśmy Kerstin do domu i włożyłyśmy jej suche majtki, lecz wywijiała się w prawo i w lewo i krzyczała przez cały czas.

– T e r a z... b ę d z i e s z... t a k... d o b r a... i... p o s t o i s z... s p o k o j n i e – powiedziała Anna. Prawie łagodnie i uprzejmie, ale niezupełnie.

Kerstin miała na sobie swoją najładniejszą sukienkę, bo Olle nie mógł znaleźć innej. Była to śliczna, biała sukienka z malutkimi zakładeczkami i zmarszczkami.

– Musisz uważać na tę sukienkę – powiedziałam do Kerstin, chociaż ona jeszcze przecież nie rozumie, co się do niej mówi! To rzeczywiście można było od razu zauważyć. To znaczy to, że nie rozumie, co się do niej mówi.

– Hej, hej – powiedziała i pobiegła do pieca robiąc sobie dużą plamę z sadzy na samym przedzie sukienki. Wyczyściłyśmy zaraz plamę szczotką o tyle, o ile się dało, bo nie bardzo chciała się szczyścić. Kerstin śmiała się i była bardzo zadowolona, gdy czyściłyśmy sukienkę. Widocznie myślała, że się z nią bawimy.

– Już dwunasta – powiedziała Anna. – Teraz damy Kerstin jeść.

Zagrzałyśmy czym prędzej szpinak, który stał w rondelku na piecu. Posadziłam sobie Kerstin na kolanach, a Anna karmiła ją. Jadła ślicznie i szeroko otwierała buzię, więc Anna powiedziała:

– Właściwie to ona jest doprawdy bardzo grzecznym dzieckiem.

Wówczas Kerstin powiedziała „hej, hej” i trąciła łyżkę tak, że cały szpinak poleciał mi prosto w oczy.

Anna śmiała się tak bardzo, że omal nie upuściła talerza. Rozzłościłam się wówczas trochę na Annę. Kerstin śmiała się również, chociaż nie rozumiała przecież, z czego Anna się śmieje. Wydaje mi się nawet, że Kerstin uważa to za zupełnie naturalne, gdy ludzie mają szpinak między oczami.

Potem nie chciała już więcej jeść. Zacisnęła usta i wciąż odpychała łyżkę, tak że połowa szpinaku znalazła się na sukience. Dałyśmy jej napić się zupy owocowej z filiżanki, ale i zupa również znalazła się na sukience. Sukienka nie była już wcale biała, tylko zielona i czerwona i miała białe plamki w miejscach, których nie udało jej się zachłapać szpinakiem lub zupą owocową.

– Z jednej rzeczy się cieszę – powiedziała Anna – a to z tego, że ten dzieciak teraz pójdzie spać.

– O tak, z tego i ja się bardzo cieszę – powiedziałam.

Ściągnęłyśmy więc znów z wielkim trudem z Kerstin całe ubranie i włożyłyśmy jej nocną koszulkę, a gdy w końcu uporałyśmy się z tym, byłyśmy dosłownie wykończone.

– Jeśli komuś potrzebny jest teraz sen, to właśnie nam – powiedziałam do Anny.

Położyłyśmy Kerstin do łóżeczka, wyszłyśmy i zamknęłyśmy drzwi do

kuchni. Wówczas Kerstin zaczęła wrzeszczeć, jak tylko potrafiła najgłośniej.

Próbowałyśmy udawać, że tego nie słyszymy, ale krzyczała wciąż głośniej i głośniej, więc w końcu Anna wetknęła do niej głowę i powiedziała:

– Cicho bądź, przebrzydły dzieciaku!

To jasne, że do małych dzieci trzeba mówić łagodnie i uprzejmie, lecz czasem to jakoś się nie udaje. Chociaż to prawda, co pisali w gazecie, że dzieci stają się nieznośne, gdy się na nie wrzeszczy.

Tak przynajmniej było z Kerstin. Zaczęła wrzeszczeć jeszcze głośniej niż przedtem.

Wtedy weszłyśmy do niej obie. Zrobiła się zaraz wesoła, stanęła w łóeczku, zaczęła skakać i wołać „hej, hej”. Robiła to przez cały czas, gdy byłyśmy u niej w pokoju. Wyciągnęła swą malutką rączkę pomiędzy prętami łóeczka, klepała mnie rączką i przykładała policzek do mojej twarzy.

– Jaka ona jest jednak miła – powiedziałam.

W tej samej chwili Kerstin ugryzła mnie w policzek tak, że ślad po tym miałam jeszcze przez parę dni.

Ułożyłyśmy ją znów w łóeczku i próbowałyśmy okryć ją dobrze koczykiem. Skopywała go jednak w okamgnieniu. Gdy skopała go dziesięć razy, dałyśmy spokój z tym wszystkim. Powiedziałyśmy tylko: „Spij teraz dobrze, Kerstin”, zupełnie łagodnie i uprzejmie, wyszłyśmy i zamknęłyśmy drzwi. Lecz – masz tobie – znowu zaczęła krzyczeć wniebogłosy.

– Nie, teraz już mam tego dość – powiedziała Anna. – Niech wrzeszczy.

Usiadłyśmy przy stole kuchennym i próbowałyśmy rozmawiać. Lecz nie udawało się nam to zupełnie.

Bo Kerstin krzyczała coraz głośniej i głośniej, i głośniej. Był to taki krzyk, że pot na nas występował, gdy słuchałyśmy go. Czasami przez parę sekund było cicho, ale to tylko wtedy, gdy nabierała rozpędu do dalszego wrzasku.

– Może ją coś boli – powiedziałam w końcu.

– Ach, pomyśl, jeśli ją boli brzuszek... – przestraszyła się Anna. – To może być ślepa kiszka lub coś takiego.

W b i e g ł y ś m y więc do Kerstin. Stała w łóeczku zapłakana, lecz skoro tylko nas zobaczyła, powiedziała „hej, hej” i zaczęła skakać i śmiać się.

– Tego dzieciaka nie boli brzuch ani też nic innego – powiedziała Anna. – Chodź, pójdziemy sobie.

Zamknęłyśmy więc znowu drzwi i usiadłyśmy przy stole kuchennym i pociłyśmy się, i słuchałyśmy, jak Kerstin wrzeszczy coraz głośniej i głośniej, i

głośniej. Aż nagle zrobiło się zupełnie cicho.

– Ach, jak przyjemnie – westchnęłam. – Nareszcie zasnęła.

Wzięłyśmy loteryjkę Ollego i zaczęłyśmy grać, i było bardzo przyjemnie.

– Dzieciaki powinny stale leżeć w łóżku, to przynajmniej wiadomo, co się z nimi dzieje – powiedziała Anna.

W tej samej chwili usłyszałyśmy z sąsiedniego pokoju jakiś dziwny dźwięk. Brzmiało to jak pełne zadowolenia mamrotanie, jakie wydają małe dzieci, gdy są zajęte czymś, co im się szczególnie podoba.

– Nie, teraz to już za wiele tego dobrego – powiedziałam. – Czyżby się dzieciak już obudził?

Zakradłyśmy się na palcach i zajrzałyśmy ostrożnie przez dziurkę od klucza. Widać było przez nią łóżeczko Kerstin. Lecz Kerstin w nim nie było. Łóżeczko było puste. Wtedy wpadłyśmy pędem do sypialni. Zgadnijcie, gdzie była Kerstin? Siedziała w otwartym kominku, który był świeżo pobielony na lato. B y ł pobielony, mówię. Bo teraz nie był już biały. Kerstin siedziała na kominku i miała w ręczce pudełko z pastą do butów. Była nią cała uczerniona od góry do dołu, tylko gdzieniegdzie wysmarowana była na biało kredą. Miała pastę do butów we włosach i na rękach, i na koszulce nocnej, a jej łzy wyglądały zupełnie jak małe, czarne, murzyńskie łezki.

Cały kominek wysmarowany był pastą do butów. Widocznie wujek Nils przy kominku czyścił sobie buty przed wyjazdem na przyjęcie i nie nałożył potem przykrywki na pudełko.

– Hej, hej – powiedziała Kerstin, gdy nas zobaczyła.

– Czy napisane było w gazecie, że można bić małe dzieci, czy nie? – spytałam.

– Tego nie pamiętam – odpowiedziała Anna. – W głowie mi się już mąci od tego wszystkiego.

Wówczas Kerstin wyszła z kominka, podeszła do Anny i chciała ją poklepać, ale Anna ryknęła tak głośno, jak tylko mogła:

– B ę d z i e s z t y s t a ła s p o k o j n i e, t y w s t r ę t n y b a c h o r z e ! N i e r u s z a j s i ę !

Lecz Kerstin nie chciała stać spokojnie. Podbiegła prosto do Anny i poklepała ją, chociaż Anna tego nie chciała. Umazała Annie całą twarz pastą do butów.

Zaczęłam się śmiać zupełnie tak samo, jak śmiała się Anna, gdy Kerstin chlapnęła mi szpinakiem w oczy.

– Ciocia Lisa pomyśli, że zamieniłyśmy Kerstin na Murzyniątko – powiedziałam, gdy przestałam się śmiać.

Nie wiedziałyśmy, jak się zmywa pastę do butów, i postanowiłyśmy spytać o to Brittę.

Anna, która już była cała upačkana, miała stać i trzymać Kerstin przy kominku przez ten czas, gdy ja pobiegnę się zapytać.

Gdy mówiłam Britcie, co Kerstin zrobiła, odezwała się tylko:

– Tak, kiepskie z was piastunki.

Potem wytarła sobie nos, odwróciła się do ściany i powiedziała, że jest chora i że nie wie, jak się wywabia plamy od pasty do butów.

W tym czasie Olle wrócił z obory i wpadł w prawdziwy szal, gdy zobaczył, jak Kerstin wygląda.

– Czy postradałyście rozum?! – krzyczał. – Pomalowałyście ją na czarno?!

Próbowałyśmy mu wytłumaczyć, że to nie nasza wina. Lecz Olle był wściekły i powiedział, że to powinno być zabronione, by takie jak my miały zostać piastunkami do dzieci i że w każdym razie możemy postarać się o inne dziecko, na którym będziemy się wprawiać.

Potem pomagałyśmy sobie nawzajem przy zagrzeniu wody w kociołku i wyniesieniu go na trawę, i wsadzeniu do niego Kerstin. Gdy Kerstin szła po podłodze, zostawiała na niej śliczne, małe, czarne ślady stopek. Wsadziłyśmy ją do kociołka i szorowałyśmy porządnie od góry do dołu, umyłyśmy jej również włosy, a wówczas trochę mydła dostało jej się do oczu.

Wrzeszczała tak okropnie, że słyhać to było w całym Bullerbyn, a Lasse i Bosse przybiegli i pytali, czy zarzynamy prosiaka.

– Nie – powiedział Olle – to tylko te dwie świetne piastunki się wprawiają.

Pasty do butów nie udało nam się zmyć tak zupełnie. Gdy już wyszorowałyśmy Kerstin i wytarły, była dziwnego, szarego koloru na całym ciele. Była jednak bardzo zadowolona. Biegała zupełnie golutka po trawie i wołała „hej, hej”, i śmiała się tak, że widać było wszystkie ziarnka ryżu w jej buzi.

– Jakież to rozkoszny dzieciak! – powiedział Olle.

Przypuszczaliśmy, że ten szary kolor z pewnością zetrze się powoli, tak że różowe dziecko, które jest pod spodem, znów wyjdzie na wierzch. Lasse przypuszczał, że pewnie gdzieś koło Gwiazdki.

Potem Olle położył Kerstin do łóżeczka. Nie pisnęła nawet, włożyła tylko duży palec do buzi i momentalnie usnęła.

– Tak trzeba postępować z dziećmi – powiedział Olle i wyszedł nakarmić prosięta.

Anna i ja usiadłyśmy sobie na schodach kuchennych i odpoczywałyśmy.

– Biedna ciocia Lisa, ona ma tak co dzień – westchnęłam.

– Wiesz, co myślę? – powiedziała Anna. – Myślę, że to wszystko, co napisane było w gazecie, to kłamstwo. Bo to zupełnie wszystko jedno, jak się mówi do małych dzieci. Czy się mówi łagodnie i uprzejmie, czy się na nie krzyczy, robią i tak, co chcą.

Potem milczałyśmy przez długą chwilę.

– Anno, czy ty zostaniesz piastunką do dzieci, gdy będziesz duża? – spytałam w końcu.

– Może... – odparła Anna. Potem jednak zamyśliła się bardzo, popatrzyła gdzieś daleko, ponad dach obory, i powiedziała:

– Ale tak zupełnie na pewno to jeszcze nie wiem...

ŁOWIMY RAKI

Głęboko w lesie jest jezioro, które nazywa się Ciche. W Cichym nie można się kąpać, bo jest w nim bardzo wiele mułu na dnie. Lecz można w nim łowić raki. Ojej, ile tam jest raków! Lasse mówi, że w całej Szwecji nie ma drugiego jeziora, które byłoby tak po brzegi zapchane rakami jak Ciche.

Czasem Anna mówi do mnie:

– Cha, cha, jezioro w Zagrodzie Północnej jest tylko moje. Biedna jesteś doprawdy, że nie masz jeziora!

A wtedy ja mówię:

– Właśnie, że ja też mam jezioro. A Ciche to może nie jezioro?

– Cha, cha, to w każdym razie nie tylko twoje jezioro, bo ono jest wszystkich w Bullerbyn – mówi Anna. – Jest więc moje tak samo jak twoje. Właściwie to ja mam dwa jeziora.

Wtedy wpadam w złość i tego dnia nie bawię się już więcej z Anną. A następnego dnia zgadzamy się, że wszystko jedno, czyje są jeziora. Bo przecież kąpiemy się wszyscy w jeziorze w Zagrodzie Północnej i łowimy raki w Cichym. Nikomu innemu prócz nas, którzy mieszkamy w Bullerbyn, nie wolno tam łowić raków i uważam, że tak jest dobrze.

Raki wolno jest łowić dopiero w sierpniu. Ten dzień, gdy się to zaczyna, jest niemal tak przyjemny jak Gwiazdka. Bo tego dnia wolno nam, wszystkim dzieciom z Bullerbyn, oprócz Kerstin oczywiście, iść z tatusiem i wujkiem Erikiem, i wujkiem Nilsem nad Jezioro Ciche. Wieczorem zakładamy kosze na raki, a potem budujemy sobie szałas w lesie i śpimy tam całą noc, a potem wstajemy bardzo, bardzo wcześnie następnego ranka i opróżniamy kosze. Najprzyjemniejsze ze wszystkiego jest to, że możemy całą noc spać w lesie. Bo Ciche położone jest tak daleko od Bullerbyn, a droga do niego tak jest męcząca – mówi tatuś – że nie warto wracać do domu, żeby pospać parę godzin. Co za szczęście, że Ciche leży daleko w głębi lasu! Bo w przeciwnym razie mama z pewnością kazałaby nam wracać do domu i spać w łóżkach.

– Tak się boję, że dzieci się poprzeziębują – mówi mama każdego roku.

– E, tam – mówi tatuś. W tym roku też tak powiedział. A gdy to powiedział, poszliśmy.

Trzeba iść więcej niż pięć kilometrów przez las, żeby dojść do Cichego, a tylko mała, kręta ścieżka wiedzie do jeziora. Mieliliśmy okropnie dużo rzeczy do niesienia: kosze na raki i koce, i plecaki z różnymi rzeczami w środku. Nie warto jednak jęczeć, jeśli się jest zmęczonym, bo wtedy tatuś mówi, że ten, kto narzeka, nie może iść łowić raków ani też nocować w lesie.

Skoro tylko przyszedliśmy nad jezioro, pobiegliśmy zaraz zobaczyć, czy zostało coś z szałasów, które zrobiliśmy w zeszłym roku. Lecz było tam tylko trochę uschniętego jałowca i innych rupieci, które uprzętnęliśmy. Britta, Anna i ja miałyśmy swój szałas pod dużym świerkiem. Gałęzie jego zwisały niemal do samej ziemi. Tatuś i wujek Erik zrąbali krzaki jałowca, a my ułożyliśmy je dokoła świerka tak, że tylko w jednym miejscu był otwór, przez który można było wleźć. Usłaliśmy sobie na ziemi niby–materac z gałęzi świerkowych.

Gdy skończyłyśmy urządzać nasz szałas, poszliśmy obejrzeć szałas chłopców. Oni go robią zawsze w szczelinie skalnej, nad którą układają gałęzie i świerczyne w ten sposób, że tworzą nad nią jakby dach. No i śpią oczywiście na gałęziach choiny.

– Byłoby świetnie, gdyby można mieć trochę spokoju i gdyby dziewczynki tu nie przychodziły – powiedział Lasse, gdy przyszłyśmy.

Wówczas Bosse i Olle również powiedzieli, że byłoby świetnie, gdyby dziewczynki dały im święty spokój.

– Ależ proszę bardzo – zgodziła się Britta. – Dobrze się nawet składa, bo mamy o wiele lepszy szałas od tej waszej rudery.

Wtedy Lasse, Bosse i Olle zaczęli się śmiać i powiedzieli, że jest im nas okropnie żal, ponieważ nie mamy w ogóle pojęcia, jak się buduje szałas. Zanim zdążyłyśmy wymyślić jakąś dobrą odpowiedź, zawołał nas wujek Nils i powiedział, że musimy przyjść pomóc przy naprawie koszy. Kosze na raki są zrobione z siatki i trzeba je co roku naprawiać. Zawsze są w nich tu i tam dziury, a dziur nie może być, bo raki przez nie wyłażą.

Usiedliśmy na płycie skalnej nad jeziorem, reperowaliśmy kosze sznurkiem i rozmawialiśmy sobie przy tym, i bardzo nam było wesoło. Słońce miało już wkrótce schować się i dokoła jeziora było bardzo pięknie i cicho. Oczywiście wtedy, gdy nie rozmawialiśmy.

– Ciche to piękne jezioro – powiedział tatuś.

Wujek Erik wybierał wodę z obu starych łódek, które zawsze stoją na jeziorze. Było w nich tyle wody! Wujek Nils i tatuś wkładali przynętę do koszy. Gdy wszystko już było gotowe, wypłynęliśmy łodziami na jezioro i zakładaliśmy kosze wzdłuż brzegów. Mamy specjalne miejsca, gdzie zastawiamy kosze co roku.

Gdy już objechaliśmy całe jezioro i wszędzie założyliśmy kosze, zaczęło się ściemniać. Wtedy Anna uszczypnęła mnie w ramię i powiedziała:

– Jest p r a w i e przyjemniej niż na Gwiazdkę.

Ja też tak uważam. Bo gdy zrobiło się ciemno, tatuś rozpałił ognisko na płycie skalnej, tak jak robi to zawsze. Usiedliśmy wszyscy dokoła, wyjęliśmy termosy z ciepłym kakao, piliśmy i jedliśmy kanapki. Ogień odbijał się w wodzie i wyglądało to zupełnie tak, jak gdyby drugie ognisko płonęło w jeziorze. Dokoła, w lesie, było zupełnie ciemno i cicho.

– Słyszę, jak chochlik skrada się na palcach tam w głębi, pomiędzy drzewami – powiedział Lasse.

Anna i ja przestraszyliśmy się okropnie. Ale Anna powiedziała:

– E, przecież nie ma żadnych chochlików.

Zacząłyśmy jednak uważać, czy czasem nie usłyszymy, jak chochlik krąży w ciemnościach. Nie usłyszałyśmy jednak nic i powiedziałyśmy to Lassemu.

– No, bo one mają takie włochate stopy – wyjaśnił Lasse. – Przemykają się cichutko, stają za drzewami i patrzą na nas.

– Ech, na pewno tego nie robią – szepnęłam i przysunęłam się nieco bliżej Anny.

– Ależ mówię ci, że tak – powiedział Lasse. – Cały las jest pełen oczu chochlików, które teraz się w nas wpatrują. Nie mają one odwagi zbliżyć się do nas, bo boją się ognia.

Wtedy tatuś powiedział, żeby Lasse przestał wmawiać dziewczynkom rzeczy, które nie są prawdą, potem dołożył gałęzi do ogniska, które strzeliło płomieniem i ślicznie się rozjaśniło. Ja nie wierzę w to, że chochliki istnieją naprawdę. Na wszelki jednak wypadek wdrapałam się tatusiowi na kolana. A Anna usiadła na kolanach wujka Erika. A wujek Erik zaczął gwizdać. Wujek Erik gwizdże tak ślicznie! Może gwizdać jak ptak, jeśli zechce.

Pomyślałam sobie, że jeśli naprawdę są w lesie chochliki, to z pewnością dziwią się, dlaczego siedzimy w nocy wokół ogniska i dlaczego wujek Erik nam gwizdże.

Wujek Erik, tatuś i wujek Nils opowiadali różne historie. Śmieliśmy się

bardzo, bo to były bardzo śmieszne historie. Lasse, Bosse i Olle wzięli swoje latarki kieszonkowe i zeszli w dół nad wodę i szukali raków. Znaleźli dwadzieścia trzy raki, które włożyli do blaszanego pudełka, a Lasse powiedział do Bossego i Ollego:

– Jeżeli dziewczynki będą grzeczne i będą się po ludzku zachowywały, to zaprosimy je na ucztę rakową jutro wieczorem.

– Dobra, ale będzie to oczywiście zależało od tego, jak się będą zachowywały – powiedział Olle.

– Tak, muszą się nadzwyczaj grzecznie zachowywać – dorzucił Bosse.

Gdy ogień zaczął dogasać, wujek Erik powiedział, że już najwyższy czas iść spać. Tatusiowie nie mieli szafasów, więc owinęli się kocami i leżeli przy ognisku.

Britta, Anna i ja wczółgałyśmy się pod nasz piękny, pachnący świerk, owinęłyśmy się też kocami i miałyśmy zamiar spać. Wówczas jednak usłyszałyśmy blisko jakieś ciche stąpanie.

Krzyknęłam więc:

– Kto to?!

– Chochlik – odpowiedział Lasse tak okropnym głosem, jaki tylko mógł z siebie wydobyć.

Wyjrzałyśmy przez otwór pomiędzy gałęziami i zobaczyłyśmy chłopców, którzy stali przed szafasem i świecili latarkami. Powiedzieli, że przyszli obejrzeć nasz szafas. Wczółgali się też po kolei do środka. Zmieściliśmy się wszyscy, chociaż było trochę ciasno.

Stwierdzili, że nasz szafas jest dość dobry, chociaż oczywiście nie tak dobry jak ich. Potem powyłazili, a Lasse powiedział:

– Trzeba przyznać, że ten szafas jest zupełnie przyjemny. Chociaż nie wydaje mi się, żeby był zabezpieczony od chochlików.

Gdy chłopcy poszli, próbowaliśmy zasnąć. Z początku rozmawiałyśmy, ale brzmi to tak dziwnie, gdy się nocą leży w lesie i rozmawia. Ma się takie wrażenie, że ktoś stoi i podsłuchuje.

Zdaje mi się, że Britta i Anna zasnęły o wiele wcześniej niż ja. Leżałam bardzo długo i słuchałam, jak szumi w lesie. Szumiało tylko trochę. Małe fale nadpływały i uderzały o brzeg cichutko, cichutko. Było tak jakoś dziwnie, że w pewnej chwili nie wiedziałam, czy mi jest smutno, czy wesoło. Leżałam i myślałam, czy mi jest smutno, czy wesoło, ale nie mogłam nic wymyślić. Może człowiek staje się trochę dziwny od spania w lesie?

Tatusz przyszedł nas obudzić o czwartej rano. Ucieszyłam się z tego bardzo, choć zimno było jak lichy. Ale słońce świeciło, więc wyszliśmy z szałasów, zabijając ręce dla rozgrzewki. Wzięliśmy po kawałku placka i dostałyśmy od tatusia ciepłego kakao. Nad jeziorem leżała mgła, lecz wkrótce znikła. Tatusz, Lasse i ja wsiedliśmy do jednej łodzi, a wujek Erik, wujek Nils, Britta i Anna, i Olle do drugiej, i powiosłowaliśmy po kosze.

Żał mi jest doprawdy wszystkich ludzi, którzy nigdy o godzinie czwartej rano nie pływali po jeziorze i nie zbierali koszy na raki. Niemal we wszystkich koszach pełno było raków. Lasse, Bosse i Olle nie boją się brać raków do ręki, lecz ja się boję. Bosse wziął jednego raka i siedział, i przyglądał mu się, aż w pewnej chwili wpuścił go z powrotem do jeziora.

– Czyś ty zwariował?! – krzyknął Lasse. – Siedzisz sobie i wrzucasz raki do wody?

– Takie miał jakieś smutne oczy – powiedział Bosse.

– Jakiś ty głupi – powiedział Lasse. – Teraz on będzie się rozbijał w wodzie i rozplotkuje to wszystkim innym rakom w jeziorze, i w końcu nie będziemy już mogli złowić więcej raków w tym roku. Dlaczego go puściłeś?

– Miał takie smutne oczy – powtórzył znów Bosse.

W tej samej chwili spotkaliśmy drugą łódź, więc zawołaliśmy do Ollego, Britty i Anny:

– Czy dużo macie raków?!

– Cała łódź jest prawie pełna! – odkrzyknął Olle.

Potem popłynęliśmy z powrotem do naszego obozowiska i wysypaliśmy tam wszystkie raki do dwóch dużych koszy na bieliznę z pokrywami. Zapakowaliśmy wszystko, co mieliśmy w obozowisku, i powędrowaliśmy z powrotem do Bullerbyn. Na trawie była rosa, a tu i tam pajęczyny świeciły się jak diamenty na gałęziach. Byłam śpiąca i głodna i miałam zupełnie przemoczone nogi, i byłam bardzo, bardzo szczęśliwa. Bo to bardzo przyjemnie iść tak długim szeregiem ścieżką i nieść taką moc raków do domu. Wujek Erik gwizdał, a my śpiewaliśmy.

*Myśliwy szedł na łowy
w zielony, zielony las*

– śpiewaliśmy. Aż nagle Lasse zawołał:

– Widzę dymy z Bullerbyn.

Wówczas wszyscy spostrzeżliśmy dym, który unosił się ponad lasem. Był to dym z trzech kominów. Wiedzieliśmy więc, że w Zagrodzie Północnej i w Zagrodzie Środkowej, i w Zagrodzie Południowej już nie śpią. A gdy uszliśmy jeszcze kawałek drogi, zobaczyliśmy całe Bullerbyn. Słońce odbijało się w szybach i było prześlicznie.

– Strasznie mi szkoda ludzi, którzy nie mają gdzie mieszkać – powiedziałam do Anny.

– A mnie szkoda jest tych, którzy nie mieszkają w Bullerbyn – powiedziała Anna.

Dziadzius już nie spał i siedział pod wiązem, który rośnie pośrodku trawnika przed Zagrodą Północną. Gdy usłyszał, że idziemy, zawołał:

– A są raki tego roku w Cichym?!

Wówczas wujek Erik powiedział, że jest tam tyle raków, że czegoś podobnego dziadzius nigdy nie widział. Lecz dziadzius odpowiedział:

– Ho, ho, tak, tak, akurat ja, co złowiłem takie masy raków z Cichego w moim życiu!

Usiedliśmy na trawie koło dziadziusia i opowiadaliśmy mu, jak przyjemnie zszedł nam czas. Lasse otworzył blaszaną puszkę, w której chłopcy mieli swoje raki, i przystawił dziadziusiowi do ucha, żeby posłuchał, jak raki łążą. To jest taki specjalny dźwięk, gdy raki łążą jedne po drugich, to brzmi tak: „klirr, klirr”.

Dziadzius słuchał i był bardzo zadowolony, śmiał się i powiedział:

– Tak, tak, od razu słysząc, że to raki, co do tego nie można się omylić.

A Lasse zapytał:

– Dziadziusiu, czy możemy sobie u ciebie urządzić dziś wieczorem ucztę rakową?

– Ho, ho, tak, tak, oczywiście, możecie – powiedział dziadzius.

Tytuł oryginału szwedzkiego

Bullerbyboken

Rabén & Sjögren Bokförlag AB, Stockholm, Sweden

© Saltkråkan AB/Astrid Lindgren 1947, 1949, 1952

All foreign rights are handled by Saltkråkan AB, Sweden, www.saltkrakan.se

For information about Astrid Lindgren's books, see www.astridlindgren.com

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1957

Projekt layoutu okładki *Agnieszka Kucharz-Gulis*

Redakcja *Małgorzata Grudnik-Zwolińska*

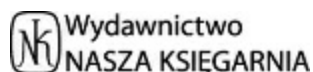
Redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

Korekta *Jolanta Sztuczyńska*

Korekta plików po konwersji *Irmina Garlej*

ISBN 978-83-10-12704-4

Plik wyprodukowany na podstawie *Dzieci z Bullerbyn*, Warszawa 2014



www.nazaksiegarnia.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28

e-mail: nazaksiegarnia@nk.com.pl



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl